

A movie poster for the film 'Deficyt'. The main image shows a young woman, Klaudia Zalewska, wearing a thick, textured knit hat and a matching scarf, looking off to the side. She is wearing a brown coat. The background is a dark, grainy image of a multi-story building with several windows. The title 'DEFICYT' is written in large, white, stylized letters across the middle, with a red shadow effect. The name 'KLAUDIA ZALEWSKA' is at the top right, and 'NOVAE RES' is at the bottom center.

KLAUDIA ZALEWSKA

DEFICYT

NOVAE RES

KLAUDIA ZALEWSKA

DEFICYT



NOVAE RES

Spis treści

[Rozdział pierwszy: Zapachy i dźwięki \(1951-1953\)](#)

[Rozdział drugi: Uciec stąd \(1959-1961\)](#)

[Rozdział trzeci: Nowe życie \(1965-1966\)](#)

ROZDZIAŁ PIERWSZY:

Zapachy i dźwięki (1951-1953)

1.

Uparcie stała na palcach, rozplaszczając zasmarkany, ciekący nos na szybie, żeby zobaczyć cokolwiek z tego, co działo się w środku. W łydkach czuła bolesne skurcze, a małe spocone ręce, drętwiejąc, zsuwały się z odrapanego, blaszanego parapetu. Drobiniki złuszczonej, brązowej farby nagromadziły się w zagłębieniach dłoni i wniknęły pod naskórek. Ciężko to będzie doszorować.

Nic nie rozumiała i to ją przerażało. Nie było nikogo, kto by jej wytłumaczył, skąd ten nagły rejwach. Skąd się wzięli ci wszyscy dziwnie poubierani, całkiem obcy ludzie i co takiego robili w ich domu? I dlaczego im samym nie wolno było teraz tam być? Dla pewności robiła to samo, co starsza o trzy lata siostra. Płakała, zaglądając przez okno do kuchni. Dwie strużki łez przetarły białe szlaki na jej umorusanej buzi. Spróbowała nieśmiało wtulić rękę w dłoń siostry, ale tamta tylko zgromiła ją spojrzeniem.

Właściwie to nie był żaden dom, tylko sklecona naprędce, niedbale otynkowana, niska oficyna przylegająca od strony

podwórka do kamienicy. Ot, pokój z kuchnią i mała sionka. W podwórzu trzy latryny z surowych, nieheblowanych desek, będące wspólnym dobrem wszystkich mieszkańców kamienicy i oficyny. Dalej, za latrynami, stał mały chlewik z trudem mieszczący dwie świnie i przytulony do niego kurnik z ogrodzonym siatką wybiegiem. One należały tylko do nich, a właściwie do Matki. Jeszcze dalej okazały ogród rozparcelowany na zagonki. Po kilkanaście bruzd dla każdego mieszkania. Ziemia dobra, urodzajna i łaskawa, ale nie wszędzie na równi zaopiekowana. Jeden rzut oka i od razu widać, kto w kamienicy gospodarny, a kto chwasty hoduje.

Dobrze znany smród wilgoci i zagrzybionych ścian zmieszał się teraz z jakąś inną, nową wonią. Ostry, świdrujący odór lizolu wymknął się szparom źle zakitowanych okien i zaatakował ich nozdrza. Wysuszał śluzówki nosa, palił w gardle.

Po chwili było już po wszystkim. Z domu wyszło kilka osób w białych kitlach. Na noszach nieśli nieprzytomną z powodu gorączki Matkę. Mała nie mogła oderwać od niej oczu. To z pewnością była Matka, choć tak bardzo niepodobna do siebie bez swoich bujnych, ciemnych włosów. Starsza z dziewczynek nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Rzuciła się z krzykiem w jej stronę, ale stanęła w pół drogi powstrzymana stanowczym gestem przez jedną z tych dziwnych, obcych osób. Przybysze umieścili nosze z tą jakby ulepioną z wosku, bezwłosą i nieruchomą figurą w ambulansie. Zapakowali butle po płynie dezynfekującym, jakieś urządzenia. Odjechali.

Obie stały w milczeniu pod tym oknem jeszcze dobrą godzinę, zanim starsza, oswoiwszy jako tako przerażenie i rozpacz, wepchnęła ją do środka. Skamieniały w progu zdjęte grozą tego, co zobaczyły. Sprzęty, ściany i podłoga pokryte były brunatną pianą. Brudna ciecz ściekała z wyglądającej jak wielki, robaczywy grzyb pierzyny zgarniętej w nogi zbitego z surowego drewna, nieoheblowanego łóżka. Strużki łączyły się na nierównej podłodze w większe potoki. Tuż obok łóżka, na podłodze, nasiąkał pokaźny kłęb czarnych włosów. To matczyny warkocz – jej duma i obiekt codziennej, starannej troski – teraz sponiewierany i porzucony, budził w dzieciach przerażenie. Smród był znacznie gorszy. Wyżerał im krtanie i kasał w oczy. Tego się nie dało wytrzymać. Wybiegły na dwór, potrącając w sieni blaszane wiadro z ludzkimi odchodami. Zawartość ścigała je aż do progu.

Na podwórzu nie było nikogo. Trochę to dziwne. Wyjątkowo nie było słychać krzyków, pijackich kłótni dobiegających zazwyczaj z okien kamienicy. Nikt nie trzepał w podwórzu chodników, nikt nie przemykał w kierunku latryny. Były zbyt zmęczone, żeby płakać. Usiadły pod oknem wprost na ziemi, obejmując jedna drugą, żeby się trochę ogrzać. Młodsza w końcu zasnęła wtulona w brzuch siostry.

- Babko, pójdę po nie. - Piękna, wysoka blondynka wierciła się przy oknie. Co rusz zagryzała pełne, różowe usta, obserwując zza gęstej firanki małe sąsiadki.

Dawno już by tam pobiegła, ale Babka nie pozwalała. Taka

się ostrożna i strachliwa zrobiła. Wszystko przez tę wojnę. Od okupacji żyła tak, jak by była niewidzialna.

- Ty, Helga, lepiej pilnuj własnego nosa. Polaki je zara weznom. To nie nasza sprawa. Żadne kłopoty nam teraz niepotrzebne. - Siwa starowinka w okularach na nosie pochyliła się przy kuchennym stole nad wyszywaną serwetą, ale i po niej znać było duży niepokój, bo robota całkiem jej nie szła. Pół dnia już ściboliła ten jeden ścieg, a i to koślawo ciągle wychodził. Zupełnie jakby jakaś początkująca ręka go kreśliła, a nie - bądź co bądź - mistrzyni w tej materii, którą bez wątpienia była.

- Babko, ale już ciemno i nikogo nie widać... - Helga była nieustępliwa. - Zimno się robi.

Babka milczała, więc Helga, poczytując to za przyzwolenie, już była za drzwiami. Starowinka pokręciła smutno głową:

- Złe i ciężkie idą znowu czasy, a najwięcej cierpieć będą dzieci.

Ponure myśli nie opuszczały jej od dobrych kilku dni. Choroba sąsiadki i dzisiejsze wydarzenia były tylko potwierdzeniem słuszności tych przeczuć.

A będzie jeszcze gorzej, bo i śmierć weźmie swoje. Nie inaczej. Nikt nie będzie bezpieczny... - Babka czuła to w kościach, ale pary z ust nie puści, bo Helga zaraz będzie narzekać, że ciągle kracze jak stara wrona. Ale ona dobrze wiedziała, że się nie myli. Oj, nie myli.

2.

Obudził ją rozkoszny, słodko-gorzki zapach. Było naprawdę cudownie: ciepło, sucho i mięciutko. I tak tajemniczo pachnąco. A może to tylko sen? Więc, żeby tego nie popsuć, postanowiła nie otwierać oczu. Musi śnić. Spać dalej, uparcie i jak najdłużej. Tyle, ile się da. Nie pozwoli przecież tego sobie odebrać. Choćby nie wiem co, albo i kto. Coś jednak nie dawało jej spokoju. Uporczywy, zarzynający ból w dole brzucha. I jeszcze to przeszywające na wylot ssanie w żołądku. Głód. Dawno poznany towarzysz jej dzieciństwa. Tym razem jednak nie pomogła wyrafinowana i dopracowana w najdrobniejszych szczegółach technika szybkiego przełykania śliny zsynchronizowanego z miarowym uciskaniem żołądka. Pierwsze grzmoty w jelitach całkowicie zniweczyły jej plan. Tego się już nie da zatrzymać. Za chwilę zostanie zdemaskowana i ukarana za lenistwo. Zaraz każą jej opuścić to ciepłe schronienie, może nawet dostanie manto. Och, gdyby miała chociaż odrobinę wody pod ręką. Mogłaby wtedy poskromić te dźwięki, które wydawał ten zdrajca, jej brzuch.

Wściekła, uchyliła nieco powieki i źrenicami zamaskowanymi ciemnymi rzęsami dyskretnie zbadała otoczenie. W pomieszczeniu było już całkiem jasno i jakoś tak nieprzyzwoicie wesoło. W pierwszej chwili, wystraszona tą filuterną radością, na powrót mocno zacisnęła powieki. Ale gwałtownie rozbudzona ciekawość była silniejsza. Promienie słońca igrały bezmyślnie po wybielonym wapnem suficie. Co rusz bezczelnie wskakiwały na pyszniący się na ścianie wełniany dywan, dodając przez chwilę blasku wyblakłym ze

starości purpurze i granatowi. Codziennie odkurzany stanowił niewątpliwie dumę mieszkańców. Cała przeciwległa ściana została pokryta oprawionymi w szkło i skromne sosnowe ramki malowanymi ze zdjęć portretami. Było ich całe mnóstwo – wyretuszowanych, nijakich twarzy. W parach i samotnych, spoglądających w dal poetycznie zamglonym, niewidzącym spojrzeniem. Twarze, jakkolwiek bez wyrazu, były bez wątpienia przyjazne. Niektóre nawet bardzo. Dziewczynka przez dłuższą chwilę przypatrywała się im z wyraźną przyjemnością.

Z boku dobiegało miarowe posapywanie siostry. Długie i gęste, lniane – niemal białe – włosy rozsypane na obydwu poduszkach teraz łaskotały jej policzek. Uniosła się na łokciu i z nabożnym zachwytem, okraszonym malutką nutą zazdrości, wpatrywała się w spokojną twarz śpiącego obok anioła. Zawsze tak o niej myślała – nawet wtedy, gdy starsza siostra nie żałowała jej wyzwisk czy kuksańców. Odruchowo dotknęła swoich ciemnych, cienutkich, lekko kręconych włosów. Były jak puch świeżo wylęgniętego pisklaka. Odgłos westchnienia zawodu, spotęgowany szelestem wykrochmalonej na sztywno i nieskazitelnie białej, aczkolwiek tu i ówdzie mocno przetartej poszewki, przywrócił jej zwykłą czujność. Uczucie głodu chwilowo zelżało, żeby ustąpić miejsca nagłej, piekącej potrzebie opróżnienia pęcherza. No, tego nie da się zbyt długo odwlekać. Była w pułapce.

– O, widzę, że już nie śpisz.

Melodyjny głos dobiegający od drzwi, mimo że cichy, raził ją niczym piorun. Towarzyszyła mu silna fala tego cudownego

zapachu, który teraz bezlitośnie kręcił się w jej nozdrzach, niemal powodując omdlenie. Bez słowa usiadła na łóżku, nie podnosząc jednak wzroku na stojącą w drzwiach Helgę.

- Chodźmy do kuchni, dostaniesz trochę ciepłego mleka i pajdę chleba z masłem, a potem mi pomożesz.

Te słowa, choć tak bardzo kuszące, pozostawiła również bez odpowiedzi, koncentrując się na kurczowym zaciskaniu ud. Helga, jakby odgadując powód jej milczenia, podeszła do niej i wzięła delikatnie, ale stanowczo za rękę. Dłonie miała piękne, ciepłe, o smukłych palcach, oblepione żółtawą mazią, która wydzielala ową gorzkawo-słodką woń. Ciasto drożdżowe. Ich ręce skleiły się, kiedy prowadziła małą do jasnej, schludnej sionki, w kącie której, za zasłonką stał wielki emaliowany nocnik. Siadając nań z ulgą, Klara zlizywała z palców surowe ciasto. Dużo żółtek i cukru, gorzki aromat migdałów. Pycha. W tej krótkiej chwili była naprawdę szczęśliwa.

3.

Popękane, pokrzywione reumatyzmem, sterane dłonie z czarnymi bruzdami wżartego brudu, którego już nic i nikt nie usunie, zwinnie przesuwają się po lnianej serwecie, znacząc ją czerwonym szlaczkiem wyszywanego ściegu. Babka siedziała przy oknie, skupiona na swoim ulubionym zajęciu. Co jakiś czas zerknęła z ciekawością na ulicę. Jeszcze wcześniej, to i pustawo, i nudno. Niemiłosiernie skrzypiąc, przetoczyły się po kocich łbach dwa wozy wyładowane

bańkami z mlekiem. Z porannego udoju. Śpieszyły do mleczarni. Kuląc się pod oknami, przemknęła kelnerka z pobliskiej gospody. Wieczorna zmiana wydłużyła się jak zwykle do rana. Ludzie jej nie szanowali, bo miała opinię latawicy i przyjmowała poczęstunki od zawianej klienteli. Przychodziła czasem do Helgi i wtedy Babka martwiła się, że wnuczka wpadnie w to szemrane towarzystwo. Babka bardzo dbała o dobre imię dziewczyny, bo i tak nie miały łatwego życia w miasteczku. Złym językom nie podobało się, że Niemki i że w polskiej kamienicy miały najładniejsze mieszkanie.

Wtem ciszę przerwały dobiegające z korytarza przekleństwa i wyzwiska. To Stary Łempicki właśnie wrócił z całonocnej popijawy i dobijał się do drzwi sąsiedniego mieszkania. Właściwie to nie były żadne drzwi, tylko kawał grubej dykty zamykanej na skobel. Poprzednie porąbał siekierą, kiedy Łempicka nie chciała go do domu wpuścić. Bali się go w kamienicy wszyscy, bo bardzo awanturujący się był po alkoholu, no i przeszłość miał kryminalną. Najdziwniejsze było to, że na trzeźwo to człowiek do rany przyłóż. Cichy, wstydlivy, zawsze pierwszy się kłaniał i do żony mówił „serdeńko”. Mieli siedmioro dzieci. Czwooro już dorosłych – z czego dwóch chłopaków za rozbój siedziało w kryminale, jeden po świecie gdzieś się włóczył, a najstarsza, Hanka, z konkubentem mieszkała piętro wyżej. Trójka mniejszych gnieździła się z rodzicami w dwóch izbach. Jasiek był najgorszy. Rzucił kamieniami w okna, sikał pod drzwiami sąsiadek, na których nieraz wyskrobał kulfonami napis „szkopy won”. Stary Łempicki na trzeźwo prał go za te

wybryki. Ale kiedy był pijany, sam niewybrednie wyzywał je od szwabskich kurew. Taką miał już dwoistą naturę. Ale obcym nie pozwalał sobie gęby sąsiadkami wycierać, nawet po pijaku. Swój honor miał, bo przecież ojciec pod Piłsudskim służył. A przynajmniej tak Stary Łempicki utrzymywał, kiedy zebrało mu się na wychowywanie dzieci przemową, bo zazwyczaj je skórzanym pasem traktował. Batem czasem też, ale tylko chłopaków.

Przyjemnie było popatrzeć, jak całą rodziną szli w niedzielę do kościoła. Dzieciaki wymyte, wyczesane, Łempicki w białej koszuli, a Stara Łempicka ustrojona w szklane, barwione na niebiesko korale. Łempicki pięknie w kościele śpiewał. Organista to nawet go do chóru wziął, ale wkrótce ksiądz kazał mu iść precz, bo pijany na próby przychodził i gorszył panie. Ale śpiewał jak marzenie – barytonem. Łempickiej wtedy błysk jakiś w oku się zapalał, prostowała skulone zazwyczaj ramiona i tak jakoś marzycielsko na męża z boku popatrywała. Inne też na niego spoglądały. Piękny to był kiedyś mężczyzna, pół miasteczka się w nim kochało. Co z tego, skoro pijak i łajdus był od wczesnych lat. Niewiele już z dawnej urody pozostało, ale kiedy tak śpiewał, jakiś blask od niego bił.

Po kościele Łempicki całował żonę w rękę i nieśmiało mówił, że wstąpi do gospody na jedno piwko. Łempicka nie mówiła nic, tylko – już skulona – wracała z dziećmi do domu, żeby im tam dać rosółu z makaronem albo kartoflami. A potem czekała do następnej niedzieli.

Wysoka, ciemnowłosa kobieta wyszła właśnie z bramy

i szybko szła ulicą z nienaturalnie wysoko uniesioną głową. Hanka Łempicczanka, najstarsza i najładniejsza z latorośli. Pewnie śpieszyła do piekarni po bułki i chałki na śniadanie. Skóra całkiem z ojca zdjęta. Wielkie, ciemne oczy miotały gniewne błyskawice. Mijała ludzi, nie patrząc na nich i nie kłaniając się nikomu. Jej też nikt się nie kłaniał. Wszyscy uciekali wzrokiem, odwracając z niechęcią i zażenowaniem głowy, ale zaraz potem przyklejali do jej pleców wścibskie spojrzenia.

- Poszło dziewczusko na zmarnowanie - westchnęła Babka, dobierając czerwonego kordonka.

Hanka żyła w grzechu z mężczyzną, który dla niej zostawił żonę i trójkę małych dzieci w kolonii pod miasteczkiem. Ta żona nawet do Hanki przyjeżdżała; na zmianę to jej groziła, to błagała. Nawet u księdza była z dzieciakami. Potem ksiądz z ambony Hanke upominał. Stara Łempicka to o mało się ze wstydu nie spaliła, cała niedziela poszła na zmarnowanie. Hanka pozostała niewzruszona i przestała do kościoła chodzić. Właściwie to nie wiadomo, czemu się tak uparła, bo nijakiej wielkiej miłości tam nie było. Chłop był starszy, z lekka odrażający, leniwy i pijak. Wszyscy w kamienicy wiedzieli, że Hanke bije i wyzywa od najgorszych. Do pracy nijakiej też się nie garnął, żyli z tego, co Hanka w mleczarni zarobiła. Złe języki gadały, że o erotyzm tam chodzi, że chłop tym Hanke zniewolił, ale Babka nie bardzo wiedziała, w czym rzecz, a i dopytywać się jakoś nie wypadało.

A przecież miała taką partię pod nosem. Naprzeciwno mieszkania Babki, w kawalerce mieszkał samotnie Geometra.

Nietutejszy. Urząd dał mu przydział na mieszkanie, które stało puste po tym, jak się Chodnicki na pasku w kuchni powiesił. Nikt nie rozumiał, dlaczego tak bezbożnie postąpił. Jedni gadali, że wódka, drudzy, że długi jakieś olbrzymie miał. Babka pokręciła z powątpiewaniem głową. Owszem, pił jak wszystkie chłopy w miasteczku, ale umiarkowanie u niego było większe niż na ten przykład u Łempickiego. I zawsze pił za swoje. Taki był honorny, że innym stawiał, a sobie nigdy postawić nie pozwolił. O nijakich większych długach nie mogło być mowy, bo grosz zawsze przy sobie miał, a często i dzieciakom na ulicy na cukierki dawał. Zresztą po jego śmierci żaden dłużnik się do urzędu nie zgłosił, kiedy się zastanawiali, co z mieszkaniem jego począć, bo testamentu nijakiego nie zostawił, a o krewnych żadnych nigdy nie słyszano. Właściwie to nikt nic pewnego o nim nie wiedział. Ludzie gadali, że przywędrował tuż po wojnie z drugiego krańca Polski. Sam przyjechał i przez resztę swojego życia sam pozostał. Kupił za gotówkę tę klitkę od takich, co to się do nowych bloków wyprowadzali, bo wstyd było im - „idącym z nowym duchem” - z obszczymurkami, co to nawet żaden w partii nie był, mieszkać.

Razu pewnego w gospodzie jakiś przyjezdny uczeplił się Chodnickiego, że go pamięta z okupacji, że razem w obozie byli. Chodnicki na to, że pijany jest i zwidy jakoweś ma. Szybko też z gospody tego wieczoru wyszedł. Szeptano potem po kątach, że pewnie za kapo w obozie robił, a nawet, że Żydów Niemcom sprzedawał, stąd gotówkę miał na mieszkanie. Ale to krótko trwało i ludzie szybko o tym

zapomnieli, bo Chodnicki w oczy się nigdy nie rzucał. Cichy i jakiś taki posępny zawsze był. W pobliskim pegeerze za traktorzystę robił. Chwalili go tam, że robotny jest, niekonfliktowy i że trzeźwy do roboty przychodzi, a i w trakcie pracy kropli do ust nie bierze. Niechętnie z sąsiadami rozmawiał i gości też żadnych nie miewał. Czasem w gospodzie kilka słów z kimś zamienił, ale wolał tam między ludźmi w cichości siedzieć. Chłopy to szanowali, a jak który mu się naprzykrzał, to go Gruba Różycka ze szmatą goniła. Taki był nie do ludzi. Babce Helga czasem wspominała, że jak późnym wieczorem koło jego drzwi przechodzić, to stłumione jęki i szlochanie słyszeć. Ale Babka trochę przygłucha jest i sama tego nigdy nie słyszała, a i wstyd tak, nasłuchując, komuś pod drzwiami sterczeć. Co najdziwniejsze, po tej jego samobójczej śmierci ksiądz mu pochówek na cmentarzu dał, mszę za jego duszę odprawił i jeszcze ludziom z ambony przykazał, żeby bliźniego pochopnie nie osądzać. Ani chybi o Chodnickim mówił. Dziwowali się ludziska, oj dziwowali.

Teraz to on poszedł w zapomnienie, a w jego mieszkaniu, co to na państwo przeszło, ten Geometra od dwóch lat mieszkał. Kształcony. Technikum skończył i dyplom ma, to i poważany był w miasteczku mimo młodego wieku. Całkiem ładny z niego chłopak, ale musi jakiś feler mieć, bo u dziewczuch powodzenia nijakiego nie miał. Babka wiele razy mówiła Heldze, żeby się koło niego zakrzątnęła, zanim jakaś inna go upoluje. Helga tylko ramionami wzruszała, nic nie mówiąc, a raz zniecierpliwiona Babki nagabywaniem odparła, że ten Geometra to kobiet nie lubi.

- To i lepiej, za babami nie będzie latał, tylko w domu siedział - Babka nie dawała za wygraną.

- Oj, Babko, jak wy nic nie rozumiecie - Helga tylko westchnęła i z domu wyfrunęła.

- Czego to ja niby nie rozumiem? Jak chłop nie jest babiaryz, to i w małżeństwie lepiej się dzieje - mruzczała już tylko do siebie starowinka.

Zegar na ścianie właśnie wybił szóstą. O tej porze w mieszkaniu panowała cisza i spokój. Helga i dziewczynki spały jeszcze. Budzić je zaraz trzeba będzie. Helga Ołę do szkoły musi zaprowadzić, a wcześniej pod kuchnią rozpalić, śniadanie przygotować i warkocze małej pozaplatać. Ale to za moment, niech sobie jeszcze podrzemią w ciepłe.

Będzie już drugi tydzień, jak Gienię do szpitala wzięli, a Aleksandra z Klarą u nich były. Z początku bardzo się Babka martwiła, że awantura z tego straszna będzie, bo Polaki to bardzo wrażliwy na krzywdę naród jest, a już w szczególności - krzywdę dzieci. Ale krzyku żadnego nie było, że Niemki dzieci bezprawnie zabrały. Nikt się po dziewczynki nie zgłosił, ino Gruba Różycka, bufetowa z gospody, raz do nich zajrzała i powiedziała, że lepszej opieki dzieciska mieć by nie mogły. Mówiła też, że u Gieni była, żeby ją w kwestii dzieci uspokoić, ale ponoć ta ciągle nieprzytomna jest i dostępu do niej nie ma. Ojca dziewczuch też nijak powiadomić się nie dało, bo tylko Gienia wiedziała, gdzie on teraz robi. Dała za to znać Starszej Pani, matce chorej, która jakiś czas temu dwie najmłodsze zabrała do siebie.

Babka to teraz nawet rada była. Nie pamiętała, kiedy było

w tym mieszkaniu aż tyle życia. Może kiedyś, dawno temu, kiedy Helga była mała, a jej rodzice żyli jeszcze, ale to dawne dzieje i Babka nie lubiła do nich wracać myślami. Teraz było tu i teraz. Takie miała powiedzenie i ciągle to Heldze powtarzała. Najczęściej, kiedy dziewczyna pytała o matkę albo ojca. Raz jej tylko powiedziała, że rodzice do obozu zostali wysłani za ukrywanie Żyda w mieszkaniu. I tylko dlatego, że Niemcy, to ich od razu nie rozstrzelali, a pod sąd oddali. I dlatego też Babka z Helgą ocalały.

- Co to za sąd był - Babka machnęła ręką. - Kłamstwo na kłamstwie, oszczerstwo za oszczerstwem. Wszyscy sąsiedzi byli wtedy przeciw nam. Opowiadali niestworzone historie, że masowo Żydów przechowujem, i że dla pieniędzy. Pewnie, że gadali tak ze strachu, ale jakże tak można na Boga przysięgać i w żywe oczy taki fałsz głosić? I tak sprawiedliwość ich w końcu dosięgła. Prędeej, niż myśleli. Uciekali stąd tak, jak stali - wszystkie bez wyjątku - bez majątku, bez niczego, kiedy Ruscy szli. Jedna Gerda została, ale się zapiła na śmierć. Wolne mieszkania Polaki pozajmowali. A po jakimś czasie przyszło pismo z Czerwonego Krzyża, że rodzice w obozie pomarli.

Miło Babce popatrzeć, jak się Helga o dziewczynki troszczy i przy nich krząta. Ta mniejsza, to całkiem się do niej przykleiła i nie odstępowała na krok. Czasem tylko Babce na kolana wlaźła, kiedy Helgi nie było w pobliżu. Babka udawała, że się gniewa, bo jej wtedy kordonek się plątał. Wołała Helgę, żeby pomogła rozplątać, ale to pretekst taki był, żeby robotę na bok odłożyć i jaką historię dziecku opowiedzieć. Obie z Olą

słuchały wtedy Babki jak zakłęte, z rozdziawionymi buziami. A i Helga się chętnie przysłuchiwała.

Oj, ma dziewczyna serce do dzieci. Czas już, żeby miała własne, jeno z kim? Kawalera żadnego nie ma, na wszystkich nosem kręci. Taka wybredna. A przecie takiej ładnej panny to ze świecą szukać. - Babka zamartwiała się o Helgę nieustannie.

4.

- Przyjdiesz tu kurwo jedna, czy mam po ciebie zejść?! - Ochrypli głos niósł się po całej kamienicy.

Hanka lekko się zarumieniła, ale nie przerwała porannej pogawędki z Helgą. Przytulona do Helgowej nogi Klara z podziwem patrzyła na tę piękną, wysoką brunetkę. Ton jej melodyjnego głosu nie zmienił się ani na jotę. Mówiła bez zajknięcia, dużo i żywo. Oczy jej błyszczały. Uśmiechała się przy tym pięknie, w taki serdeczny, niewymuszony sposób, jaki Klara bardzo lubiła, ale rzadko widziała u tej dziewczyny. Bardzo rzadko.

Kiedy dorosnę, będę kubek w kubek jak Hanka - myślała Klara, spijając z ust Łempicczanki słowa, które ledwo rozumiała.

Nie! Będę taka jak Helga i trochę jak Hanka! - Natychmiast skarciła samą siebie w myślach, dopatrując się w nich zdrady swojej ukochanej przyjaciółki. - No, bo Hanka też jest śliczna i taka odważna. Nic a nic nie boi się tego straszego pana, który tak brzydko na nią krzyczy. Też będę

odważna i samodzielna. - Usprawiedliwszy swój chwilowy brak lojalności wobec Helgi, z niekłamaną przyjemnością zanurzyła się na powrót w melodyjny obłok dźwięków, który harmonijnie tworzyły od dobrych dwudziestu minut Helga z Hanką.

- Chodź tu w tej chwili i dawaj żreć, bo jak nie...!

I znowu ten zgrzyt. I towarzyszący mu lęk. Klara okrągłymi ze strachu i zdumienia oczami patrzyła, jak Hanka spokojnie kończy zdanie i dotyka lekko ramienia Helgi na pożegnanie. Opuszczająca się dłoń musnęła w locie włosy dziewczynki. Zaraz potem Hanka była już na schodach prowadzących do mieszkania na górze, w którego otwartych drzwiach stał ten hałaśliwy, rozchełstany i brzydki mężczyzna. Klara nie czuła tego teraz, ale dobrze pamiętała, że mężczyźnie przeważnie towarzyszyła przykra, kwaśna woń. Coś podobnego do kapusty, którą Matka kisiła w glinianym garnku, a która w końcu zgniła i rozniosła się tym cuchnącym odorem po calutkim mieszkaniu. Wzdrygnęła się.

- Co tam znowu? Który się awanturuje? Stary czy zięciunio? - Z uchylonych drzwi po przeciwnej stronie korytarza wychynęła jasna, rozczochrana czupryna. - Potrzeba jakiej pomocy?

- Zięciunio. Nie trzeba. Hanka sobie z nim poradzi - Helga radośnie pomachała do Geometry. Słomiana czupryna jeszcze przez chwilę tkwiła niezdecydowanie w miejscu, jakby nie dowierzając słowom Helgi, ale w końcu uznała, że nic tu po niej i rozpoczęła proces cofania się do mieszkania.

- A pamiętasz, że w sobotę są tańce w gospodzie? Luśka

strasznie chce, żebyśmy wszyscy byli.

W odpowiedzi na te słowa do czupryny dołączyła cała postać Geometry. Był jak zwykle o tej porze dnia w piżamie i rozczłapanych kapciach. Wstydliwie zapiął pod szyją guzik pasiastej bluzy i zaczął wygładzać kołnierzyk.

- Tak, oczywiście... Tylko, widzisz Helga... Ja... No, bardzo chętnie z wami pójdę, ale to tańczenie to... No, to mi nie za bardzo wychodzi! - desperackim okrzykiem zakończył swoją chaotyczną wypowiedź i zamknął oczy.

W odpowiedzi Helga zaśmiała się perliście.

Zupełnie jak bym słyszała kościelne dzwoneczki. - Klara z uznaniem pokiwała głową. Rozgrywająca się właśnie scena wydała się jej jeszcze bardziej zajmująca niż rozmowa Hanki z Helgą. Może dlatego, że uczestniczyły w niej osoby, które lubiła najbardziej ze wszystkich mieszkańców kamienicy.

Helga śmiała się dalej, kiedy tanecznym krokiem zbliżała się do Geometry. Niespodziewanie dla niego chwyciła poły jego nieco zbyt obszernej piżamy i zakręciła niewysokim mężczyzną z taką werwą, że jej spódnica zaczęła furkotać w powietrzu, odsłaniając białą, mocno nakrochmaloną halkę. Geometra roześmiał się również i próbując zachować równowagę w tym wirowaniu, strząsnął ze stóp rozdeptane pantofle. Klara aż przysiadła z emocji, którym musiała natychmiast dać upust. W powietrzu korytarza rozniósł się śmiech i dziecięcy pisk, które zwielokrotnione echem odbitym od surowych ścian wywabiły z mieszkań zaniepokojonych sąsiadów. Nic jednak nie było w stanie zakłócić szalonego tańca młodości tej jasnowłosej dwójki pięknych ludzi. Prawie

nic.

- Karol? - To obce i niezrozumiałe dla nikogo słowo pojawiło się znikąd i przez chwilę zawisło nieruchomo w powietrzu, zupełnie jak jastrząb wypatrujący pilnie swojej ofiary. Pikując gwałtownie w dół, dopadło uszu Klary.

Karol? - zadźwięczało w jej głowie. - Kto to jest Karol?

Aby rozwiązać tę zagadkę, zaczęła poszukiwać wzrokiem źródła dziwnego dźwięku. Znalazła. W uchylonych drzwiach do mieszkania Geometry stał szczupły, ciemnowłosy mężczyzna. Ubrany był w identyczną piżamę, z tą tylko różnicą, że paski jego przyodziewku były ciemnoszare, a Geometry - granatowe. W jego dziecięco dużych oczach malował się niesmak nieumiejtnie maskujący niepokój. Wypowiedział nikomu nieznanie imię Geometry z pretensją w głosie, krzywiąc drżące z żalu usta.

- Karolu?!

Znowu zgrzyt. Tym razem Klara poczuła wzbierającą złość. Jakim prawem?! Ale ten zgrzyt zdążył już wedrzeć się do uszu tańczących. Znieruchomieli, zdyszani i zarumienieni niedawnym płasem. Wszyscy obecni pytająco spojrzeli na nieznanomego, by po chwili przenieść wzrok na Geometrę. Mężczyzna wyraźnie się skurczył pod ciężarem tych natarczywych spojrzeń. Po rozbawieniu i chwilowej beztróscie nie pozostał już nawet cień śladu.

Klara nie pojmowała, dlaczego atmosfera stała się nagle tak gęsta. Czuła całym swoim ciałem rosnące w korytarzu napięcie, które sprawiało jej niemal fizyczny ból. Patrzyła współczująco na Geometrę, wpijając z całych sił paznokcie

w skórę swoich małych dłoni, usiłując tym rozpaczliwym gestem ochronić go przed zbliżającą się wielkimi krokami, ale kompletnie dla niej niezrozumiałą, katastrofą.

- Tak... Państwo pozwolą, że przedstawię... tego... to znaczy... Marcel, mój kuzyn... przejazdem... to znaczy przyjechał w odwiedziny, na chwilę, bo jest przejazdem... wczoraj przyjechał... późnym wieczorem przyjechał... i...yyy... no właśnie i jest.

Marcel, wciąż mając wypisaną na twarzy głęboką urazę, skłonił się chłodno i natychmiast wycofał w głąb mieszkania.

- Kuzyn? - Stary Łempicki podrapał się po torsie przyobleczonym w poplamiony podkoszulek. Wrócił niedawno z tęgiej popijawy i nie zdążył jeszcze doprowadzić się do porządku. Niechlujny wygląd prezentował obcym tylko w wyjątkowych sytuacjach. Czuły był na tym punkcie niezmiernie i bardzo wymagający. Nawet po pijaku. - A dlaczego by nie?! Chłop przejazdem, to i zdrożony mocno, a wy tu jakieś hałasy uskuteczniacie. Awanturki, proszę państwa, to nie pod tym adresem, rozumiano?! - huknął groźnie na bogu ducha winne, zbite w jedną grupkę kobiety, ale jego spojrzenie wyraźnie powędrowało w górę schodów, na szczycie których stał w niedbalej pozie Hankowy gach. Mężczyzna z rosnącym zainteresowaniem przyglądał się całej sytuacji przez kłęby papierosowego dymu, które zamazyście wydmuchiwał z szyderczo skrzywionych ust. W odpowiedzi na słowa Łempickiego przyłożył dwa palce do skroni, imitując salutowanie i zaniósł się chrapliwym, drwiącym śmiechem.

- Panie Łempicki?! A może kuzynek by się na zięcia nadał,

co?! - Jego śmiech stał się jawnie obraźliwy. Było w nim i wyzwanie, i niepoohamowana gulgotząca złość. Przerażonej tym nagłym wybuchem Klarze skojarzył się z gulgotaniem olbrzymiego, rozwścieczonego indora. Niósł się długo ponad głowami rozchodzących się do mieszkań lokatorów. Ucichł na dobre dopiero wtedy, gdy korytarz całkiem opustoszał.

5.

Cztery kobiety w milczeniu krzątały się po izbie. Roboty jeszcze huk, a za oknami już się ściemniało. Na płocie schły dopiero co uprane poduszki, pierzyna i pościel. Ściany porządnie wyszorowały wodą z mydłem, ale musowo je wkrótce wapnem pobielić. Drewniana podłoga polana wodą z ługiem czekała na swoją kolej. Okna otwarte na oścież hojnie wypuszczały na zewnątrz pałacy smród lizolu.

Gruba Różycka rozpałała pod kuchnią i wrzuciła w płomień kłęb czarnych włosów. Obcięty kołtun trzeba spalić, jeśli chora ma przy życiu pozostać i do zdrowia powrócić. Helga szorowała krzesła i stół, Hanka myła okna, a Stara Łempicka prała w balii obrusy, serwety, firany i zasłony.

- A co tu...? - W drzwiach stanął wysoki, ciemnowłosy mężczyzna. Na jego urodziwej, nieznacznie starzejącej się twarzy odmalowało się nie lada zaskoczenie.

- No, wreszcie się raczył zjawić. - Gruba Różycka nie miała w zwyczaju owijać w bawełnę. Podparła się pod boki i z wyraźnej irytacji spłasowała na twarzy. - A to serdeńko, że

Gienia na tyfus zaniemogła. Do zakaźnego ją zabrali, a dzieciśka po ludziach się tułają - przerwała na chwilę i wymownie spojrzała na Helgę, która chciała szybko coś powiedzieć, ale napotkawszy władczy wzrok Różyckiej, zagryzła tylko usta. - Skaranie boskie z takim chłopem, co to włóczy się po świecie, a do domu wraca tylko dzieciaki majstrować.

Mężczyzna poczerwieniał po tych słowach, otworzył usta, po czym zamknął je i bezradnie podrapał się po głowie.

- Różycka przecież wie, że elektryfikację ciągniem przez wioski. A dzieci gdzie? - Błagalne w tonie pytanie nieśmiało skierował do Starej Łempickiej. Ta jednak nic nie odpowiedziała. Wyraźnie spłoszona, bardziej się tylko pochyliła nad balią.

- U nas są, ale tylko Klara i Ola, bo bliźniaczki to teściowa zabrała, jeszcze jak Gienia nie była taka słaba - Helga nie wytrzymała i ulitowała się nad mężczyzną, starannie omijając wzrokiem niezadowolenie bijące od Różyckiej. - Gienię dziesięć dni temu zabrali, ale wcześniej tydzień w łóżku przeleżała. Rosół jej nosiłam, dziewczynkę doglądałam... - dokończyła szeptem.

Mężczyzna popatrzył na nią z wdzięcznością i pokręcił bezradnie głową.

- To może ja...- zrobił niezdecydowany gest sugerujący pomoc.

- Niech lepiej idzie do dziewczuch, a my tu zara skończym. Trzeci dzień tu robim. Będzie tylko pod nogami zawadzał - rozkazała Różycka i nie poświęcając mu więcej uwagi, wróciła

do dyrygowania kobietami. - Za dwie godziny może nazad przyjść i dzieci przyprowadzić, bo nocować będzie już można w chałupie! - krzyknęła jeszcze za oddalającym się mężczyzną.

Kiedy wszedł do mieszkania, Babka jak zwykle siedziała w kuchni przy oknie, łapiąc ostatnie przed szarą godziną promyki zachodzącego słońca. Za ciemno już było na wyszywanie, a światła z oszczędności nie chciała jeszcze palić. Dziewczynki siedziały przy wyszorowanym do białości kuchennym stole i zajadały ze smakiem pajdy chleba posmarowane miodem. Zapijały mlekiem z blaszanych kubków, upstrzonych obtłuczoną emalią. Na widok Ojca poderwały się i z piskiem radości rzuciły w jego stronę. Wytęskniony to był i rzadki gość. On jednak wpierv podszedł do Babki, ukłonił się szarmancko i w rękę starowinkę pocałował. Znać było po nim zacne maniery. Babka, nieco zaskoczona jego nagłym pojawieniem się, skinęła głową i wskazała krzesło przy stole.

- Niech siada. Zara Helga wróci, to herbaty naparzy. Może głodny jest? Zdrożony pewnie... - Zwyczajowa gościnność wydobyła z jej ust potok słów. Mężczyzna posłusznie usiadł i przygarnął do siebie dziewczynki, które zniecierpliwione, wdrapały mu się na kolana.

- Nie, naprawdę nie trzeba... - z pewnym zakłopotaniem wyciągnął zza pazuchy dwa wielkie, okrągłe, przezroczyste, czerwone lizaki owinięte szeleszczącą folią.

- A pani w szkole to powiedziała, że mam wszy i niech mama coś z tym zrobi. Ja jej, że mamy nie ma, bo ją do

szpitala zabrali, to ona potem już nic, tylko z innymi dziećmi rozmawiała, a do mnie to wcale nie podchodziła - wyrecytowała na jednym oddechu Ola z jakimś echem żalu w głosie. Była najlepszą uczennicą w klasie i do choroby matki pupilką nauczycielki. - I wie tata co? Helga cały wieczór mi te wszy z włosów wyczesywała, oj bolało bardzo. Bo Babka powiedzieli, że lepiej od razu głowę ogolić, ale ja strasznie płakałam, a Helga na to, że szkoda takich włosów. No i wycesała, a potem mi czymś śmierdzącym włosy polała i szmatą owinęła. Oj szczypało, ale nie płakałam, bo Helga nam wtedy bajkę opowiadała. A Klara to w ogóle nie miała wszy, bo ona to ma bardzo słabe włosy. Mama tak zawsze mówi - zakończyła triumfalnie, patrząc z wyższością na młodszą siostrę. Ta natychmiast się rozplakała, nie wiedzieć, czy z żalu za lepszymi włosami, wszami, czy z tęsknoty za Matką, którą starsza jej teraz przypomniała. Ojciec przygarnął obie mocniej do siebie.

- Elektryfikację już czwarty tydzień ciągniem - powiedział usprawiedliwiająco do Babki. - Nic nie wiedziałem, że Gienia taka chora... Bym wcześniej przyjechał...

- Krową najstarszy syn Rąga się zajmuje. Ten, co łąkę ma po sąsiedzku. Swoje doi, to i tę jedną razem oporządzi i przepaluje. Mleko do mleczarni oddaje, tam na Gienię wszystko zapisują. Hanka tego pilnuje. Różycka tak nakazała - dokończyła Babka, uznając, że nazwisko Różyckiej jest wystarczającym gwarantem jakości zorganizowanej pomocy sąsiedzkiej. Mężczyzna nie śmiał o nic więcej pytać, pokiwał tylko głową z wdzięcznością. Dalej siedział w milczeniu,

przysłuchując się szczebiotaniu córek i ich przekomarzaniu z Babką.

Było już całkiem ciemno, kiedy ponownie przekraczał próg przybudówki, niosąc na rękach śpiącą Klarę. Aleksandra dreptała tuż przy jego nodze, kurczowo trzymając się poły mocno sfatygowanej marynarki. W chałupie nie było już nikogo prócz Helgi, która rozpalała w białym kaflowym piecu królującym w kącie pokoju. Mimo późnej pory i widocznego na twarzy dziewczyny zmęczenia po całym dniu pracy nie sposób było nie dostrzec jej wyjątkowej urody. A Jan był przecież wytrawnym znawcą kobiecych wdzięków. Podziwiał w milczeniu jej klasyczny profil, brzoskwiniovą cerę i koronę złotych włosów. Zastanawiał się, jak to się stało, że dopiero teraz dostrzegł to piękne stworzenie, które przecież mieszkało po sąsiedzku i było częstym gościem w jego domu. Helga miała to coś, czego zawsze szukał u kobiet i co go niezmiernie intrygowało. Szlachetność. Była tak inna od tych wszystkich pospolitych przedstawicielek swojej płci, których pełno było wokół. A Jan nie znosił pospolitości. Gardził nią.

Helga poczuła na sobie jego spojrzenie i wyraźnie zmieszała się. Blask trzaskających płomieni tańczył jeszcze przez chwilę na jej twarzy, zanim zamknęła ozdobnie kute, ciężkie, żeliwne drzwiczki i wyprostowała się.

- Po nocach jest jeszcze zimno, to lepiej, żeby dziewczynki miały napalone. Naszykowałam koce do spania, bo pierzyny jeszcze mokre. Pozanosiliśmy na stryszek, to doschną - ruchem głowy wskazała umiejscowioną w sieni klapę w suficie, przez którą, pokonawszy strome schodki, można było dostać

się na strychn: niewielkie, pozbawione okien pomieszczenie, gdzie jedynie kilkuletnie dziecko mogło poruszać się swobodnie wyprostowane. – Trochę czuć tam stęchlizną, ale jutro z samego rana wyniosę na ogród. Żeby tylko myszy w nocy nie pocięły, chociaż Gienia mówiła, że truła niedawno.

Mówiła dużo i szybko, jakby chciała zagadać to Janowe przyglądanie się. Pomogła jeszcze rozebrać śpiącą Klarę, otuliła dziewczynki po czubki nosów i zebrała się do wyjścia. Mężczyzna nie zdążył nawet podziękować, pogrążony w jakimś otępieniu. Usiadł ciężko na drugim łóżku i ukrył twarz w dłoniach. Helga zatrzymała się w drzwiach. Serce jej się jakoś dziwnie ścisnęło na ten widok. Ze wszystkich sił powstrzymała się, żeby nie podejść i nie wsunąć palców we włosy tego smutnego mężczyzny. Biła się jeszcze chwilę z myślami, po czym odwróciła się i szybko wyszła z mieszkania.

6.

Promienie wiosennego słońca walczyły zawzięcie z wielomiesięcznym brudem nawarstwionym na szybie. Nie były w stanie dotrzeć do zwróconej w stronę okna wycieńczonej twarzy. Woskowa sztywność pochłonęła przystojne rysy, czyniąc ją prawie nierozpoznawalną i dość odpychającą. Oczy zapadły się i pociemniały. Trawiąca je do niedawna gorączka ustąpiła, zabierając ze sobą ich niegdysiejszy, lekko niebieskawy blask. Trudno było teraz dostrzec, że jedna tęczęwka jest szaro-zielona, a druga

brązowa.

- Jestem przy nadziei - Eugenia wypowiedziała te słowa szeptem, prawie nie poruszając wargami. Była bardzo słaba, ale nie chciała też, by wiadomość dotarła do uszu strwożonych dziewczynek stojących w nogach łóżka. Lęk przed tą woskową, w niczym nieprzypominającą ich matki osobą paraliżował je już dobre pół godziny.

On, jak zwykle w takiej sytuacji, nie mówił nic, tylko ze wzmożoną uwagą oglądał swoje paznokcie. Mój Boże, to już piąte. I pewnie znowu dziewczucha - myślał z rezygnacją. Potem przez chwilę przytrzymał jej rękę. Była zimna i spocona.

- Jak byłam strasznie słaba, to doktor powiedział, że może mi dać taki zastrzyk, że wszystko po nim ze mnie zleci, ale ja się bardzo bałam... - jej głos nagle się załamał, a oczy natarczywie szukały w jego twarzy poparcia dla podjętej decyzji.

- Wezmę już dziewczynki, bo pewnie głodne są i zmęczone - Jan podniósł się z krzesła i wygładził zmięte ubranie.

Na ten sygnał dziewczynki podeszły do Matki. Eugenia gwałtownie przycisnęła do siebie Olę, tuliła ją łapczywie przez długie sekundy. Z braku sił, bądź chęci, młodszą Klarę pogładziła oszczędnie po policzku.

- Idźcie, idźcie... a pamiętaj, że Ola je mielone, ale tylko ze schabu. - Zmęczona, położyła głowę z powrotem na poduszkę i ponownie zwróciła twarz ku oknu. Nie patrzyła za wychodzącymi, nie odmachnęła na pożegnanie dziewczynkom. Powinna odpoczywać.

(wiosna 1942)

Eugenia dobrze pamięta siebie z tamtych dni. Dosyć masywna, krótkonoga, niespełna osiemnastoletnia dziewczyna z zadartym, trochę zbyt mięsistym nosem i ładnymi, choć o różnym kolorze, oczyma. Wtedy ani ładna, ani brzydka. Jej niewątpliwą ozdobą były włosy. Długie i gęste. Gruby warkocz najczęściej oplatał koronę jej głowy, podkreślając smukłość szyi. I właśnie o te włosy wtedy poszło.

Tego dnia pierwszy raz pozwolono jej pójść do miasteczka na zabawę ze starszą o trzy lata siostrą. Marylkę wszyscy uważali za piękność. Od najmłodszych lat rodzice powtarzali, że Marylka ładna jest, a Gienia musi być robotna. No i pracy jej nie żalowali, serdeczności skąpili. Ojciec był surowy i często okrutny, matka oschła.

Marylka miała wielu adoratorów i wielkie powodzenie na tańcach. Wśród jej tancerzy był także Jan. Boże, jaki on piękny – Eugenia nigdy przedtem nie widziała tak przystojnego mężczyzny. – Był wysoki, szczupły i gibki. Ciemne, miękkie włosy zaczesywał zgodnie z ówczesną modą wysoko do góry. Brązowe, skrzące się oczy o filuternym spojrzeniu przyprawiły już niejedną o szybsze bicie serca i wiotczenie nóg. Po kątach szeptano, że panny ochoczo rozdziwiczka, ale do żeniaczki nie jest skory, choć już lata swoje ma. Ojciec z matką często się gniewali, że Marylka na zabawach pozwala mu się bałamucić. Ale ona, tak jak każda inna, nie mogła mu się oprzeć.

Eugenia siedzi sama, nieco z boku, z uwagą przyglądając się swojej kwiecistej, perkalowej sukience. Uszyła ją sobie sama i nosiła tylko do kościoła. Matka wspaniałomyślnie pozwoliła ją teraz włożyć. Włosy jak zwykle ma splecione w warkocz i upięte w misterną koronę. Są naprawdę piękne i mają niespotykany kolor, a właściwie wiele kolorów. Czarne od skóry głowy, przechodzą stopniowo w coraz jaśniejsze tony, by zwieńczyć końcówki popielatym blondem. Właśnie to bogactwo barw w jej włosach zaprzęta uwagę znudzonego Marylkowego towarzystwa. Spierają się o coś dłuższą chwilę, co rusz wybuchając śmiechem. Eugenia domyśla się, że jest przedmiotem rozmów i kolejny raz tego wieczoru gorzko żałuje, że się tu znalazła. Te spojrzenia, często drwiące, niemal palą ją na skórze. Już, już ma się zerwać z krzesła, żeby stąd uciec, kiedy podchodzi do niej Marylka w asyście tego cudnego mężczyzny. Starsza siostra jest wyraźnie nadąsana i z kwaśnym uśmiechem mówi:

- Gieniu, Jan założył się z resztą - mówiąc to, robi wdzięczny ruch głową w kierunku grupki rozbawionej młodzieży - że twoje włosy są prawdziwe i nie dopięłaś sobie sztucznego warkocza. Więc, droga moja, rozpleć je, żeby wszyscy mogli zobaczyć - kończy nakazującym tonem, a jej brwi nieznacznie zbliżają się do pionowej kreski, która wyraźnie rysuje się na jej pogodnym dotychczas czole.

Eugenia czuje się jak zahipnotyzowana. Słucha słów siostry, niczego z nich nie pojmując. Cała jej uwaga skupia się na smukłych, bladych palcach Jana trzymających papierosa z gracją, jakiej nigdy u nikogo jeszcze nie widziała. Nie śmie

podnieść wyżej wzroku. Kiedy wreszcie do niej dociera, czego od niej żądają, pąsowieje na twarzy i szeptem krztusi:

- Przecież wiesz, że potem nie dam rady się zapleść.

- Oj, nie marudź już, wszyscy czekają. - Marylka, wyraźnie zła, tupie nóżką.

- Służę potem pomocą. - Ciepły, melodyjny baryton doskonale współgra z niekłamana sympatią, jaka zapala się na moment w jego oczach. Niepewna, jak się w takiej chwili zachować, Eugenia opuszcza wzrok na swoje spocone i zbielałe od jakiegoś chłodu dłonie.

- No, tego już za wiele. - Marylka zirytowana całą sytuacją, wykorzystując nieuwagę siostry, jednym szybkim ruchem wyciąga długą szpilkę spinającą koronę. Ciężki warkocz zsuwa się z głowy Eugenii. Pozbawione dyscyplinującego zapięcia włosy rozluźniają sploty i beztrosko, szeroką kaskadą spływają na plecy dziewczyny, otulając ją niczym płaszczem. Siedzi jeszcze przez chwilę nieruchomo, sparaliżowana wstydem, kiedy tamci dwoje ze śmiechem wracają do swojego towarzystwa. Potem wybiega na dwór. Jan dyskretnie wsuwa do kieszeni podawane mu banknoty. Jego twarz promienieje. Ktoś podaje mu ogień. Zmysłowo wydmuchuje obłok dymu, kreśląc żarzącym się w szczupłej dłoni papierosem nonszalanckie ósemki. Potem nagle przypomina sobie o Eugenii i jej włosach, dzięki którym udało mu się zbić tego wieczoru małą fortunkę. Lekko kołyszącym się krokiem podchodzi do baru i uśmiechając się zniewalająco, prosi stojącą po drugiej stronie szynkwasu rudą dziewczynę o lemoniadę. Przykrywa na chwilę jej chude, piegowate palce

swoją smukłą, wciąż trzymającą papierosa dłonią. Drugą ręką rzuca na blat jakieś monety. Czerwone ze wstydu i podniecenia dziewczę podaje mu niewielką butelkę z wetkniętą słomką.

- Obiecałem przecież, że ci pomogę. - Jan bezszelestnie staje za mocującą się z włosami Eugenią i delikatnie dotyka jej karku.

Ona odwraca się gwałtownie, potrącając wyciągniętą w jej stronę butelkę z lemoniadą. Lepki płyn ochlapuje sukienkę. Nie jest w stanie wykrztusić nawet słowa. Jan uwielbia, kiedy się tak wstydzą. Wkłada w jej dłoń chłodną jeszcze butelkę, a sam, nie wypuszczając ani przez chwilę papierosa spomiędzy palców, nad podziw zgrabnie i szybko splata warkocz.

- Mam trzy siostry - rzuca gwoli wyjaśnienia. Potem bez słowa ciągnie ją w stronę gwarnej sali, gdzie tańczą kolejno trzy szlagiery. Milczy też, kiedy odprowadza ją do krzeseł. Kłania się i znika tak samo bezszelestnie jak się pojawił. Eugenia jest zakochana.

Leżąc na łóżku kobieta zagryzła wargi na wspomnienie tamtych chwil. To były jedyne tak romantyczne momenty ich znajomości. Od tamtego wieczoru nie mogła o Janie zapomnieć. Nie chciała. Zaczęli się spotykać ukradkiem. Niezbyt często, bo Eugenie trudno było niepostrzeżenie opuścić gospodarstwo, a wiarygodnych pretekstów do oficjalnego wyjścia było niewiele. Kościół, nieczęste zakupy w miasteczku czy jeszcze rzadsze spotkania z jedyną

przyjaciółką mieszkającą w sąsiedniej wsi. Bardzo się musiała nagłować, żeby ktoś jej nie przyłapał na kłamstwie. A i Jan jakoś na częstsze widywanie się nie nalegał. Ciągłe jakiś nadąsany był i myślami nieobecny. Sama już nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Męczyła ją strasznie ta jego uczuciowa niedostępność. Był jak kolorowy motyl, który od czasu do czasu siadał na jej ramieniu i pozwalał się podziwiać, żeby natychmiast zerwać się do lotu, kiedy tylko wyciągnęła w jego kierunku rękę. Ale nie mogła już z niego zrezygnować, choć czasem próbowała o nim zapomnieć. Stał się jej nałogiem i obsesją.

Zmienność jej nastrojów nie uszła uwadze domowników. Zazdrosna Marylka szybko domyśliła się powodów. Któregoś dnia wytropiła schadzki siostry i Jana. Natychmiast doniosła o tym ojcu. Co to była za awantura! Ojciec trzy dni na zmianę to wrzeszczał, to milczał pogardliwie, napełniając dom atmosferą nie do zniesienia, a samą Eugenię ogromnym poczuciem winy i wstydu. Koniec końców surowo zakazał jej się z Janem spotykać i sprzął pasem dla wzmocnienia swoich argumentów. Matka, zwykle wyniosłe milcząca, w tej sprawie również nie zabrała głosu. Eugenia często zastanawiała się, czy dla niej była po prostu przezroczyista? Skąd taka oschłość i obojętność, z jaką traktowała własne córki, a już ją w szczególności?

To było ponad jej siły. Gdyby chociaż miała pewność, że Jan ją kocha. Postawiłaby wtedy wszystko na jedną kartę. Umierała z przerażenia na samą myśl, co ojciec jej zrobi, kiedy tylko się dowie, ale czuła, że musi się z Janem zobaczyć

ten jeden, choćby już ostatni raz. Bo przecież musi mu wszystko wytłumaczyć. Powiedzieć, że nie przestała kochać, tylko jej nie wolno się z nim widywać, ale kochać to już go będzie przez caluteńkie swoje życie. Tak, trzeba mu o tym powiedzieć w oczy, była mu to winna.

Pamiętała, że długo na niego w tym życie czekała. Był środek upalnego września. Dojrzałe kłosa kruszyły się w jej rękach, a z oczu kapały łzy zawodu i upokorzenia. Kiedy go zobaczyła, poczuła gniew. Z daleka wydał jej się taki beztroski i nonszalancki jak zwykle. Jaka była głupia, myśląc, że choć trochę obejdzie go dramat, który ona przeżywa! Zbliżył się i wtedy dostrzegła tę zmianę w jego twarzy. Była zszarzała i posępna, a w oczach czał się lęk. Jej ukochany Jan czegoś się bał. Nie zdążyła otworzyć ust, kiedy wyrzucił z siebie, że chce mieć rodzinę, bo to już najwyższy czas, i wybrał ją, bo jest taka wyjątkowa. Inna niż wszystkie. I chce mieć z nią dzieci. I najlepiej, żeby się szybko pobrali, to ich nie wywiozą na roboty do Niemiec. Bo małżeństw nie biorą, tylko panny i kawalerów. A on ją od tej wywózki uratuje. Wtedy, w tym życie, kochali się pierwszy raz. Eugenia wprawdzie nic nie czuła, poza ostrymi badyłami wbijającymi się niemiłosiernie w skórę pleców, ud i ramion, przed którymi jej nie chronił cieniutki perkal kościelnej sukienki, ale w uszach ciągle dźwięczało jej to słowo - „wyjątkowa”.

Zanim jeszcze poczuła w sobie Aleksandrę, z całą mocą oznajmiła ojcu, że będzie z Janem żyła choćby i „na wiarę”, jeśli się na ślub nie zgodzi. Tego się nikt nie spodziewał. Ojciec, nienawykły do sprzeciwu, pobił ją do krwi szpicrutą

i zamknął na tydzień w komórcie. Na nic się to zdało. Eugenia była nieugięta. Nikt nie rozumiał, skąd nagle w tej zwykłej dziewczynie znalazło się tyle siły i uporu? Pozostała głucha na wszystkie groźby ojca i prośby matki i siostry, żeby się ojcu nie sprzeciwiać. W końcu, żeby uniknąć wstydu i plotek, ojciec ustąpił, ale całe wielkie gospodarstwo Marylce zapisał. Janowi nakazał przez miesiąc do nich przychodzić jako oficjalnie starającemu się. Po miesiącu były zrękowiny i wyszły zapowiedzi. Wesele było bardzo skromne, a posag jeszcze skromniejszy. Przymuszona do družbowania Marylka całą uroczystość przesiedziała z kwaśną miną. Nie zamieniła też ani z panną młodą, ani z młodym jednego słowa. Zdezorientowanemu družbie w ogóle nie poświęciła uwagi, nie zadając sobie trudu, żeby choć półsłowem odpowiedzieć na jego ponawiane wciąż zaproszenia do tańca. O północy, przy oczepinach wysyczała Eugonii prosto do ucha:

- Nienawidzę cię. Nigdy nie proś mnie o pomoc, bo ty już nie masz siostry.

Ale to wszystko nie miało wtedy dla Eugonii żadnego znaczenia. Była wreszcie szczęśliwa. I na tym weselu i jeszcze przez jakiś miesiąc po nim. Najbardziej nocą, kiedy Jan nie wracał zbyt pijany i kiedy czule dotykał przez koszulę, bo inaczej nie pozwalała, jej nabrzmiąłych piersi. Co do reszty, to nigdy nie wiedziała, co o tym myśleć, bo Jan nie był zbyt wytrwały. Po kilku pchnięciach osuwał się z jękiem rozkoszy na łóżko, zasypiając w okamgnieniu. Ona wtedy w tej nocnej ciszy zmywała spomiędzy ud kleistą wilgoć w naszykowanej wcześniej blaszanej miednicy z wodą.

7.

Marysia przyszła na świat martwa. Eugenia urodziła ją zimową porą w domu, z pomocą położnej, która od początku miała jakieś złe przeczucia. Pocziwa kobiecina odcięła dziecko od łożyska i owinęła kawałkiem płótna. Popatrzyła wymownie na Różycką, której rękę Eugenia wciąż miażdżyła w rozpaczliwym uścisku.

- Cichaj dziecko, cichaj. Będzie ci lżej bez tego maleństwa. Bóg ją zabrał. On wie, co dla nas najlepsze. - Różycka po matczynemu gładziła zlepione od potu włosy dziewczyny. - Lepiej temu aniołkowi w niebie będzie, bo tu na ziemi jeno zgryzota i ciężki kawałek chleba. Sama wiesz najlepiej.

Ale Eugenia nie płakała. Nie czuła ani bólu, ani żalu po życiu, które się nawet nie zaczęło. Słuchała słów Różyckiej, tak jakby były skierowane do kogoś innego. A nieszczęście, które najwyraźniej dotknęło tę osobę, niewiele ją obchodziło. Jedyne, czego teraz pragnęła najbardziej na świecie, to spać. Zamknąć oczy, wyłączyć otaczającą rzeczywistość i zasnąć na długie godziny. Może i na zawsze.

Różycka powtarzała słowa pocieszenia jak mantrę. W kółko i w kółko. Dziwnie to jakoś brzmiało w ustach tej twardej, nienawykłej do okazywania emocji kobiety. Zdało się po chwili, że korpulentna bufetowa zapamiętała się w utulaniu swojego własnego żalu.

(wiosna 1945)

Jest koniec wojny. Bratnie wojska radzieckie plądrują wsie i miasteczka w drodze powrotnej z Berlina. Ludziska boją się z domów wychodzić po zmroku, a dobytek trzymają pochowany gdzie się da. Najtrudniej z żywym inwentarzem. Karmić to trzeba i doglądać, ciężko w ukryciu utrzymać.

Różycka wraz z dwoma synami rwie koniczynę w rowie tuż przy polnej drodze. To dla starej, chudej krowiny, jedynej, która im została z dość pokaźnego stadka. Trzymają ją teraz na niewielkiej polanie osłoniętej od drogi zagajnikiem. Spory kawałek od domu, ale tak jest bezpieczniej. Polana jest maleńka i całkiem już z trawy objedzona, ale Różycka przepalowywać krowy gdzie indziej nie pozwala. Dlatego co dzień trzeba narwać kilka dobrych worków tej koniczyny. Najlepiej wieczorem, kiedy i pusto, i nikt nie widzi.

Starszy syn, czternastoletni już chłopak, buntuje się przeciw babskiemu zajęciu. Zły na matkę, nie zwraca uwagi na jej groźby i przekleństwa, kiedy lekceważąco pogwizdując, zostawia wszystko i wychodzi z rowu na drogę. Wróci do domu i zajmie się męskimi sprawami, tak jak uczył go ojciec, kiedy jeszcze żył. Taki ma plan. Ściemnia się. Do miasteczka ma jakieś dwa kilometry, do ich gospodarstwa będzie ze dwa i pół. Nie udaje mu się jednak ujść nawet połowy drogi, kiedy zatrzymuje go patrol złożony z trzech ruskich. Są kompletnie pijani. Śmieją się. Kiedy próbuje ich wyminąć, rzucają go na

ziemię i biją kolbami karabinów. Chłopiec przykrywa ramionami głowę.

- Szpion, szpion! - powtarzają. - Job twoju mać! - i znowu zanoszą się gardłowym, pijackim śmiechem.

Przerażone dziecko podnosi się z ziemi i odwraca w stronę rowu, gdzie matka z młodszym bratem rwą dalej koniczynę.

- Mama, mama! - krzyczy.

Żołdacy zataczają się ze śmiechu. Szpion, a mamę woła.

Rozpaczliwy krzyk syna Różycka bardziej czuje, niż słyszy. Wdrapuje się po zboczu stromego rowu, chwytając się gołymi dłońmi wybujających pokrzyw. Wychyla głowę i wzrokiem stara się przebić zapadający zmrok. W oddali mającą cztery ciemne sylwetki. Z pewnym trudem rozpoznaje w jednej z nich swoje dziecko. Widzi jak na rozkaz żołnierzy jej pierworodny spuszcza spodnie do kolan. Tamci, kwicząc ze śmiechu, pokazują sobie jego przyrodzenie. Klepią się z radości po udach. Chłopiec nie wytrzymuje napięcia, spętanymi nogami zaczyna dreptać w kierunku matki i brata. Wyciąga błagalnie rękę, po nogach spływa mu mocz.

- Mama, mama! - prosi, kiedy kula dosięga jego pleców. Potem następna i jeszcze jedna.

Różycką w głąb rowu ściąga silne szarpnięcie. Siedmioletnia pięść knebluje jej usta.

- Mama, zostań, bo nas też zabiją! - skowyczy szeptem do jej ucha Maciek.

Przytomność wraca jej po dobrym kwadransie. Razem z nią świadomość tego, co się wydarzyło. Wyczołguje się na

drogę, nie zważając na błaganie Maćka. Żołdaków już nie ma. Zawrócili do miasteczka. W kurzu polnej drogi zmieszany z krwią leży półnagie ciało jej syna. Kładzie się obok niego, przygarnia do piersi, a do ucha szepcze mu śpiwnie:

- Cichaj, cichaj maleńki.

8.

Na kuchni dochodziła parzybroda. Eugenia majestatycznie mieszała drewnianą łyżką skwierczące na wielkiej żeliwnej patelni kawałki boczku. Bliźniaczki bawiły się na podłodze w kuchni, pośród większych i mniejszych przykrywek od garnków, drewnianych łyżek, blaszanych kubków i jedynej szmacianej lalki, której lewe oko smętnie kołysało się na brunatnej nitce w okolicach pąsowych, filcowych ust. Kiedy Kasia uderzała czymś po głowie Basię, Eugenia reagowała krótkim „uspokój się”, nie odwracając oczu od patelni i garnka pełnego młodej kapusty z koprem. Te same słowa wypowiadała, kiedy to Basia w rewanżu ciągnęła Kasię za włosy.

- Nie tnij, bo dostaniesz od mamy - dobiegły z pokoju słowa Olusi.

- Zobaczysz, jakie będą cudne. Dostaniesz dwie - odpowiedziała ledwo słyszalnym szeptem Klara. - Nie bój się, mama na pewno się nie pogniewa. Jej też zrobię - dodała.

Eugenia zmarszczyła czoło, próbując zrozumieć, o czym szeptały dzieci, ale zaraz jej myśli uciekły w kierunku Jana. Nie było go już już dobre cztery miesiące.

Wyjechał zaraz po tym, jak w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia pochowali Marysię. Było z tym dużo zachodu i kłopotów. W parafii, do której należeli rodzice Eugenii i ona sama przed ślubem, ksiądz się uparł, że nie ma miejsca na cmentarzu dla dziecka nieochrzczonego przed śmiercią. Na nic się zdały wizyty na plebanii i prośby matki Eugenii, która po śmierci męża w obozie w 1943 wielki miała posłuch i autorytet w powiecie. Koniec końców tutejszy ksiądz się zlitował i pozwolił Marysię umieścić w grobie rodziców Jana. Krótką mszę dla najbliższej rodziny na cmentarzu odprawił, ale powiedział, żeby ni krzyża, ni tablicy dodatkowej nie stawiać. Po wszystkim Jan zaniósł tablicę rodziców do odświeżenia i kazał malutkimi literkami, na samiućkim dole, dopisać słowo *Maria*. Pytali go, czy z *ave* ma być. On na to, że tylko *Maria*, bez niczego. Tydzień później wyjechał do pracy. Wrócił na chwilę pod koniec lutego. Raptem cztery dni posiedział i znowu go nie było. Tym razem bardzo długo.

Eugenia dobrze wiedziała, że robota mu się już dawno skończyła, bo średni syn od Jurewiczów, co to z Janem pracuje, wrócił miesiąc temu do domu. „Zatrzymali go, bo brygadzystą jest i wszystko musi sam posprawdzać” – odpowiadała jednakowo, bez emocji na wścibskie pytania sąsiadów i znajomych. Była coraz lepsza w zmyślaniu historii na temat męża, ale i bardzo tymi kłamstwami znużona.

- Mamo, mamó! - W jej niewesołe myśli wkradł się krzyk Oli.

Eugenia przytomnie zdjęła patelnię z ognia, a syczące skwarki razem z tłuszczem wlała do garnka z zupą. Przykryła

płomienie żeliwnymi fajerkami, zręcznie posługując się pogrzebaczem. Wytarła ręce w fartuch i pobiegła do pokoju niespokojna, że Aleksandrze coś się nie daj Boże stało.

W pokoju Ola siedziała przy maleńkim stoliku. Tylko taki udało się wcisnąć w kąt między oknem a jedną z dwóch wersalek. Na stoliku rozłożone książki i kajety, otwarty kałamarz. W rękę trzymała obsadkę ze srebrną stalówką, którą teraz oskarżycielsko wycelowwała w stojącą tuż pod oknem Klarę.

- Mama zobaczy, co ona narobiła - powiedziała, nie bez satysfakcji w głosie, złotowłosa dziewczynka.

Klara stała ze spuszczoną głową. W jednej dłoni trzymała olbrzymie, ciężkie, metalowe nożyce krawieckie, w drugiej - dwie długie, koronkowe wstążki. Jeden rzut oka pozwolił Eugenie ocenić stan firanki, która jako ślubny prezent od matki była jej dumą i przedmiotem szczególnej troski.

Gęstą, bogatą koronkę Eugenia regularnie, raz w miesiącu, namaczała w drewnianej balii w letniej wodzie z dodatkiem szarego mydła. Potem prała ją godzinami, delikatnie mnąc i trąc w rękach. Na koniec płukała długo w zimnej wodzie, aż dłonie stawały się czerwone i pozbawione czucia. Do ostatniego płukania dodawała odrobinę rozpuszczonego we wrzątku krochmalu, uzyskanego z kilku startych ziemniaków. Całej procedury nie powstydziałaby się sama Łempicka, która praniem zarabiała na chleb.

Eugenia firanę wieszała zawsze wilgotną, żeby się „uwisiała” i przez to wyglądała na wyprasowaną. Wcześniej prasowała ją na kuchennym stole centymetr po centymetrze,

ale za każdym razem obawiała się, że zsuwając się na podłogę część pobrudzą bliźniaczki albo podrapie kot. No i duszę do żelazka trzeba było co chwilę nagrzewać, a Eugenia oszczędzała węgiel i nie zawsze miała rozpalone w piecu czy pod kuchnią.

Wieszanie firany też nie było łatwe. Stojąc na krześle, z wysoko uniesionymi nad głową rękoma, upinała szeroki mankiet w niewielkie zakładki w równych, piętnastocentymetrowych odstępach. Do mierzenia odstępów używała szkolnej linijki, należącej do najstarszej córki. Nic tu nie było pozostawione przypadkowi. Ukończone dzieło zawsze wymagało jeszcze szeregu poprawek, które skupiona Eugenia wykonywała jakby w rytmicznym tańcu; cztery kroki w tył, przekrzywienie głowy i zmarszczenie brwi, cztery kroki w przód, wspięcie się na krzesło, przepięcie firany, zejście, cztery kroki w tył.

Teraz firanka wyglądała żałośnie. Krzywo odcięty, postrzępiony, szeroki na pół metra pas materiału Klara pocięła na dziesięć długich, białych wstążek. Po dwie dla każdej z siostr i dwie, te najrówniejsze, dla mamy. Właśnie te dwie matczyne trzymała w wyciągniętej dłoni, kiedy Eugenia wpadła do pokoju. Oczy matki pociemniały, a wściekłość oblała czerwienią jej twarz. Usta, kontrastowo białe i jakby sparaliżowane, wycodziły:

- Ty mała suko, coś ty zrobiła?

Klara skurczyła się ze strachu i zastygła w miejscu. Matka jednym gwałtownym szarpnięciem wydarła jej nożyce z ręki, a potem tłukła nimi bezlitośnie po małych dłoniach

dziewczynki. Przestała, gdy krew zabarwiła biel koronki.

Odwróciła się i bez słowa wyszła z pokoju. Rozstawiła talerze na kuchennym stole, pokroiła długie pajdy chleba. Zawołała dziewczynki. Rozlała zupę. Zanim usiadły do stołu, obwiązała ręce Klary kawałkami płótna. Potem w milczeniu nakarmiła ją łyżką.

Wieczór przyniósł ze sobą zwykłe obowiązki. Eugenia zagnała kury do kurnika, który zamknęła starannie na kłódkę, a kluczyk powiesiła na kuchennej ścianie tuż obok wejścia. Pozmywała poobiednie naczynia w serwatce, którą codziennie napełniają jej kanę w mleczarni po odstawieniu tam mleka. Żółtawy, kwaśno pachnący płyn pozostały po produkcji twarogu służy Eugenii jako baza do przygotowania jedzenia dla trzech świń trzymanyh w małym chlewiku za latrynami. Resztki z obiadu, gotowane w parniku kartofle w łupinach, dwie kwarty śruty i kilka garści siekanej pokrzywy Eugenia zalała serwatką. Wszystko starannie wymieszała ręką, rozdrabniając większe kawałki i sprawdzając, czy nie ma tam Boże broń czegoś, czym świni mogłyby się zadławić.

Eugenia nie nosiła obrączki. Kiedyś zsunęła jej się z palca podczas takiego mieszania i wylądowała w korycie. Cud, że żadna ze świń jej nie tknęła. Tombakowa błyskotka przeleżała na dnie koryta całą noc, zanim następnego ranka znalazły ją Ola i Klara, które o świcie przytaszczyły stary kocioł wypełniony świńskim śniadaniem. Od tamtej pory Eugenia trzymała obrączkę w starym kuchennym kredensie, za małymi drzwiczkami zamykanymi na kluczyk. Razem z różańcem z pachnącego drzewa różanego, czarną kredką do brwi,

prawie już pustym flakonikiem tanich i zwietrzałych perfum, które Jan kupił jej na bazarze tuż po ślubie, i wielkim, masywnym pierścionkiem z czerwonego złota ze szmaragdowym oczkiem. Wspaniały, ślubny podarunek od matki tworzył komplet z koronkową firaną i pościelą z adamaszku, którą Eugenia trzymała w szafie na specjalną okazję. Sama jeszcze nie wiedziała, jaka to miałyby być okazja. Obrączkę i pierścionek Eugenia wkładała tylko w niedzielę, kiedy szła do kościoła. Wtedy też malowała kredką brwi, śliniąc ją odrobinę przed każdym pociągnięciem. Na końcu smarowała nasadę szyi dwoma kroplami bezwonnymi już perfum.

Po nakarmieniu świń Eugenia rozczesła swoje długie, od paru już ładnych lat jednolicie ciemne na całej długości, ale w dalszym ciągu grube i gęste włosy i skręciła z nich ciasny węzeł, który upięła długimi szpilkami. Włożyła na nogi tenisówki, a z sieni przybudówki wyprowadziła tu i ówdzie zardzewiały, masywny rower, na którego kierownicy powiesiła z jednej strony wiadro, a z drugiej, na specjalnym haczyku, kanę na mleko. Tak przygotowana, ruszyła na wieczorny udój krowy pasącej się na małej łące oddalonej od miasteczka o jakieś dwa, trzy kilometry. Łakę tę odkupiła od pegeeru za niewielkie pieniądze. Był to kawałek ziemi tuż pod lasem, oddzielony od pegeerowskich pól rowem melioracyjnym, przez co niedostępny dla traktorów i kombajnów. Większą część tej łąki prawie za bezcen dostał stary Rąg, o którym ludzie powiadają, że z dyrektorem PGR-u niejedną flaszkę już wypił i prezentów mu sporo nanosił. Swój maleńki skrawek Eugenia

kupiła dzięki wstawiennictwu Rągowej, która zawsze miała dla niej dużo sympatii. Jej też zawdzięczała miejsce w Rągowej stodole, gdzie zimą trzymała krowę.

Na poranne i wieczorne dojenie Eugenia zawsze zabierała ze sobą Klarę. Starsza o trzy lata Ola zostawała w domu. Trzeba przecież przypilnować bliźniaczek. Poza tym Aleksandra zdolna jest i musi się wyspać przed szkołą, a wieczorem przygotować lekcje. Młodsza córka z opuchniętą od niedostatku snu buzią dreptała, ledwie nadążając za matką pchającą rower. Eugenia nie umiała jeździć na rowerze. Nigdy też nie próbowała się nauczyć, uważając to za rzecz nieprzyzwoitą i kobietom nieprzystojącą. Klara odpędzała od matki muchy podczas dojenia, rwała do worka pokrzywy dla świń owiniętymi szmatami rękoma, a po dojeniu pędziła krowę do wody wypełniającej rów melioracyjny.

Dziś Klara została w domu z uwagi na swoje pokaleczone i spuchnięte dłonie. Nie żeby była całkiem na pastwisku nieprzydatna, ale Eugenia chciała uniknąć niewygodnych pytań ze strony ciekawskich. Szła więc sama, krzepka i silna, energicznie pchając obładowany rower. Zachodzące słońce wywabiało z domów gospodynie, które siadając pod ścianami na drewnianych taborecikach, ochoczo dzieliły się nowinkami i ploteczkami mijającego dnia. Eugenia kłaniała się i pozdrawiała znajome, z rzadka zatrzymując się, żeby zamienić kilka słów. Z lubością wciągnęła w nozdrza zapach rozkwitłej macierzanki i maciejki mieszający się w przyjemny sposób z wonią rozgrzanego asfaltu. Tu i ówdzie drażnił ją słodki aromat piwonii, przyprawiając o lekkie mdłości.

Miękkie promienie słońca pieściły jej czoło i policzki, lekki wiaterek igrał w ciasno spiętych kosmykach włosów. Eugenia kochała tę porę dnia. Szła główną ulicą miasteczka, nucąc pod nosem kościelne piosenki.

9.

- A bodajbyś zdechł, łobuzie jeden! - Wrzask Łempickiej, głuszony przez tupot nóg uciekającego z domu Jaśka, niósł się po całej ulicy. - Ty diabelskie nasienie! Po com ja cię na ten świat wydała! W bólach zem cię rodziła, żebyś tera taki wstyd rodzinie przynosił! I tyle szkody, tyle szkody!

Złorzeczenia i lamenty słyhać było w kamienicy jeszcze długo, mimo że po Jaśku nie było już śladu. Wróci do domu pewnie dopiero po zmroku, kiedy matce trochę złość przejdzie. Na chodniku przed kamienicą widniały pozostałości po jego najnowszej zabawie. Dziesiątki rozbitych skorupek i rozbryzanych jajek.

Korzystając z nieuwagi matki, zajętej bieleniem ścian maleńkiego pokoiku, którego niewielkie okno wychodziło na podwórze kamienicy, Jasiek rozpoczął jajeczną wojnę z przechodniami. Celność jego strzałów była znikoma, większość jajek lądowała na chodniku, tworząc lepka, żółtawą kałużę. Jednakże nieliczni trafieni podnieśli lament, który wywabił Łempicką z pokoiku. Jednym rzutem oka oceniła straty. Znakomita większość z trzydziestu jajek, które dostała od Gieni, wylądowała na ulicy. I to wszystko za sprawą jej syna. Znowu on. I jeszcze te krzyki obcych ludzi pod oknem.

Łzy bezsilności i znużenia zmiękczyły wyraz gniewu malujący się na jej twarzy, kiedy szła ku niemu, w wyciągniętej ręce ściskając skórzany rzemień. Jasiek nie czekał na rozwój sytuacji. Czym prędzej czmychnął za drzwi, zręcznie lawirując między przechodniami, z których wielu próbowało schwycić go za kołnierz.

Jasiek miał swoją kryjówkę nad rzeką. Między krzakami zdziczałych malin, wybuchałymi chaszczami mdląco-słodkiego czarnego bzu a nigdy nieprzetrzebionym gąszczem sięgających pasa pokrzyw rosła pokaźna biała morwa. Pośród jej gałęzi, za zasłoną gęstych liści, niewidoczny z biegnącej tuż obok piaszczystej drogi Jasiek obserwował życie. Mógł tak siedzieć godzinami i przyglądać się wszystkiemu. Niepieszno mu było do domu, w którym i tak nikt na niego nie czekał. Matka przypominała sobie o jego istnieniu dopiero koło wieczora, kiedy zmęczona całodziennym praniem szykowała kolację darmozjadom - jak całą, pozostałą w domu trójkę nazywał Stary Łempicki. Matka była praczką i jedyną żywicielką rodziny. Pracowała w domu. Opierała zamożniejszą część miasteczka: aptekarkę, lekarza rejonowego, dyrektora szkoły, kierowniczkę poczty, żony dyrektorów mleczarni, domu towarowego Społem i PGR-u oraz sekretarza Komitetu Gminnego PZPR, a nawet księdza i jego gospodynię.

Tutaj właśnie po raz pierwszy Jasiek poznał smak taniego wina, którego napoczętą butelkę podwędził ojcu. Co to była za awantura na całą ulicę, kiedy Stary Łempicki nie miał czym leczyć kaca. Wszystkie butelki miał zawsze skrupulatnie policzone. Opróżnionych nie wyrzucał, czasem zanosił do

skupu. Ale ciężko znosił te rozstania, dlatego wolał je trzymać w szopie, marząc, że któregoś dnia cudownie się napelnia. Doskonale pamiętał ich kształty, grubość szkła i kolory zakrętek, czego nie mógł powiedzieć o imionach wszystkich swoich dzieci. Czasem, gdy dostawał pijackiego szau, tłukł je, rzucając o ścianę kamienicy. Potem, siedząc na ziemi wśród rozprysniętych szkieł, gorzko opłakiwał swoją stratę.

Wtedy, gdy zabrakło butelki wyniesionej ukradkiem przez Jaśka nad rzekę, Łempicki postradał rozum. Wył, miotał przekleństwa, płakał i prosił na przemian. Trudno to było znieść. Łempicka, w obawie, że ktoś wezwie w końcu milicję, posłała niespełna pięcioletnią Bronię z najmłodszą Zośką do monopolowego po dwie butelki wisionki. Sklepowa знаła dziewczynki bardzo dobrze, bo to częste klientki. Bez zbędnych pytań zawięła im te butelki starannie w papier, żeby się dzieciom po drodze nie potłukły. Niosły je z namaszczeniem do domu, każda jedną butelkę, bo z doświadczenia wiedziały, jak bardzo tato będzie zły, kiedy nie daj Boże coś się upuści. Dwie butelki wiśniowego rarytasu udobruchały w końcu Łempickiego. Znużony dociekaniem sprawcy swojego nieszczęścia, usnął niebożę po kilku zaledwie łykach trunku.

Z gniewnego zamyślenia nad mizериą własnej rodziny wyrwało Jaśka ciężkie posapywanie. Zaciekawiony ostrożnie rozchylił gałązki, szukając źródła owych stęknień. Nic nie było widać. Po chwili spostrzegł jakieś poruszenie w malinach. Z całą pewnością ktoś się tam czaił. Zdjęty strachem, przesunął się bezszelestnie w głąb korony drzewa. Wytropili

go. Odkryli jego kryjówkę i zaraz spuszcza mu łomot. Znieruchomiał z kolanami podciągniętymi pod brodę i zaciśniętymi powiekami. Serce dudniło, wypełniając bolesnym stukotem uszy. Z trudem łapał powietrze. Zdrętwiałe bezruchem, spięte ciało domagało się rozluźnienia mięśni. Mijały sekundy i... nic, nic się nie działo. Jasiek uchylił powieki i nadstawił uszu. Stękanie nasiliło się, przechodząc w rytmiczne jęki. Jednocześnie dał się słyszeć inny dźwięk, jakby westchnienie zniecierpliwienia czy też znudzenia. Chłopiec zebrał całą swoją odwagę i ponownie wychylił głowę. Zmrużone oczy zogniskował na malinowych chaszczach. Coś się tam rytmicznie poruszało, coś bladego. Po dłuższej chwili uświadomił sobie, że to może być tylko jedno. Jakieś spore, dość tłustawe, białe dupsko. Teraz Jasiek widział wyraźnie bladą skórę upstrzoną gdzieniegdzie czerwonymi wypryskami i ciemnymi włosami. Dreszcz obrzydzenia, który przebiegł przez jego ciało, nie był jednak w stanie pohamować ciekawości. Z płonącymi uszami, zahipnotyzowany, obserwował jak dupsko nieruchomieje przy akompaniamencie czegoś na kształt skowytu. Potem zapadła krótka cisza. Czekał na dalszy rozwój sytuacji, chłopiec zaczynał się niecierpliwic.

- No i jak? Ruchanko prima sort, co?

Jasiek rozpoznał ten chrapliwy głos. To najstarszy syn Rąga. Wielki, gruby chłop o czerwonej, nalanej twarzy. Od czasu, kiedy stary Rąg złamał biodro, on rządził gospodarstwem. Jasiek słyszał nieraz, jak ludzie majątek Rągów nazywają folwarkiem. Nie znał i nie rozumiał tego

słowa, ale wiedział, że gospodarstwo jest najbogatsze i największe w okolicy. Wiedział też, że Rągi ustosunkowane są. Tego słowa też nie rozumiał, ale po sposobie, w jaki mieszkańcy miasteczka je wypowiadali, wnosił, że to jest jakiś powszechny sekret. Zresztą o Rągach ludzie mówili zawsze tylko szeptem. Że stary był szmalcownikiem, a młodego bało się całe miasteczko, bo do bitki był prędko, a i ponoć donosił na wszystkich sekretarzowi w gminie. Takie miał układy. Ludziska Rągom się kłaniali, a jakże, ale woleli ich omijać szerokim łukiem.

Rągowie mieli dwóch synów i córkę. Wszystko już dorosłe, pożenione i dzieciate. Wszyscy oni mieszkali razem ze starymi w tym wielkim, kamiennym domu na wzgórzu, za miasteczkiem. Ludzie gadali, że głową klanu był teraz najstarszy syn Rągowy – Krystian. Ten właśnie od sekretarza partii. Chodziły słuchy, że miał ciężką rękę dla dzieciaków i żony. Ponoć starym też nie żałował razów, odkąd senior rodu chodził o lasce. Bratu i bratowej także nie darował. Jenemu najmłodszej siostry, Malwiny, nie bił, lecz jej męża jeszcze przed Wielkanocą wyrzucił z domu. Kiedyś w gospodzie tłumaczył, że za lenistwo i pijaństwo, ale ludzie swoje wiedzieli. W miasteczku się gadało, że Krystian, odkąd męża Malwiny pogonił, bez mała co noc u niej gościł. Ale jak było naprawdę, nikt nie dojdzie, bo to skryta i zamknięta rodzina, która potrafiła strzec swoich tajemnic. Nawet ich dzieci milczały jak zakłete, z kamiennym wzrokiem wbitym w czubki butów, kiedy ktoś je o rodziców zagadywał.

- No dobra, do roboty muszę wracać. - Krystian Rąg

wyprostował swoje wielkie ciało, zapinając spodnie.

Jasiek bezszelestnie schował głowę między listki, nie zrezygnował jednak z obserwacji osobliwej scenki. Po chwili zza krzaków wynurzyła się rozczochrana głowa. Chłopak bez trudu rozpoznał kelnerkę z gospody, Luśkę. Często ją u Helgi widywał. Była tam pożądanym gościem do czasu, kiedy jego matka wespół z matką Klary poczuły się w obowiązku powiedzieć Babce o dość lekkim prowadzeniu się Luśki. Babka srodze się na Helgę gniewała za tę znajomość. Milczała też ponuro, ilekroć kelnerka przychodziła po staremu z wizytą. Nie chcąc Babki frasować, Helga zaczęła się z Luśką umawiać na mieście. Bo też dziewczęta bardzo się zaprzyjaźniły mimo znaczących różnic w poglądach na temat obyczajności.

Lucyna była ładną, drobną dziewczyną o jasnych włosach, które codziennie, niezmordowanie układała w loczki. Jej uroda była z gatunku tych słodkich: jasna buzia, mały nosek i drobne usteczka w kształcie serca. Ale Luscia miała wyraźny feler. Jej ogromne niebieskie oczy były zezowate. Właściwie to tylko jedno oko. Wyglądało to tak, jakby bardzo chciało spojrzeć na to drugie i z uporem kierowało źrenicę ku wewnętrznemu kącikowi. Brak rodziny, majątku i skaza na urodzie pokaźnie ograniczyły szanse dziewczyny na zamążpójście.

Stąd pewnie jej moralny upadek. Te słowa o Luśce Jasiek słyszał nader często, ale nijak ich sensu rozgryźć nie umiał, bo przecie nie widać było u dziewczyny żadnych siniaków. Co innego Jasiek, kolana miał wiecznie podrapane, a siniaków na jego ciele chyba nikt by nie zliczył.

Teraz dziewczyna, patrząc potulnie na Rąga, krzywo zapięła bluzkę i przyglądała potargane włosy.

- Zobaczymy się jutro? - zapytała nieśmiało.

- Jutro to nie ma mowy nawet. Z sekretarzem jestem umówiony. - Chłop wyprężył się dumnie. - A potem coś tam Malwinie muszę pomóc - wyburczał gniewnie, dopinając guziki koszuli non-iron. Odwrócił się i bez pożegnania popędził wielkimi krokami przez chaszczę w kierunku drogi.

Luśka pochyliła głowę i zaczęła bezgłośnie płakać. Jasiek niewiele rozumiał z całej tej sytuacji, ale bardzo było mu Luśki żal, bardzo. Już, już chciał wyrazić swoje dla niej współczucie i opuścić kryjówkę, kiedy dziewczyna prędko otarła łzy wierzchem dłoni, schwyciła leżącą pośród malin chusteczkę i pomknęła lekko niczym spłoszona łania z powrotem do miasteczka.

Zmierzchało się już, kiedy chłopak przedarł się opłótkami do domu. W kuchni, na kredensie znalazł pozostawiony mu przez matkę talerz z dwiema grubymi pajdami żytniego chleba posmarowanymi gęstą śmietaną i posypanymi sownie cukrem. Naprawdę kochał tę kobietę.

10.

- Klara, a powiedz no koleżankom, że pewnie matka się już o nie martwi. Ściemnia się. - Jan siedział przy kuchennym stole wyprostowany, jakby kij połknął. W dłoni trzymał nieodłącznego papierosa. Zmrużonymi oczami przyglądał się przez wydmuchiwane obłoki dymu krzątającej się po kuchni

Eugenii.

Nigdy mu się za bardzo nie podobała. Te jej krótkie nogi i masywne łydki odbierały całą lekkość i wdzięk młodej jeszcze sylwetce. Twarz dość ładna, ale pospolita. Ten rodzaj urody szybko przemija wraz z wiekiem. Skrzywił swoje pełne, pięknie wykrojone usta ni to z bólu, który jakiś czas temu umiejscowił się w jego krtani, ni to z niezadowolenia widokiem, jaki był teraz jego codziennym udziałem. Był rozdrażniony. Ból, który wcześniej przyplęwał i odpływał falami, stał się ostatnio częstszy i silniejszy.

- Wcześniej jeszcze. Niech posiedzą. Zresztą Łempicka pewnie jeszcze zajęta jest. - Eugenia wiedziała, co się święci i chciała odwlec tę chwilę najdłużej, jak się da. - Nie powinienes palić. Doktor zabronił.

- Co oni tam wiedzą, te doktory. Konowały. Jeszcze nikomu nie pomogli. Nie słyszałem, żeby komu choć dobrze poradzili, o porządnej diagnozie nie mówiąc. Mylą się we wszystkim.

Ton jego głosu podniósł się i wyostrzył. Z wypowiedzanych słów biła niczym niezachwiana pewność siebie, choć język mu się trochę plątał. Teraz codziennie wracał na rauszu. Eugenia już od dawna nie pytała, gdzie był i z kim pił. Nie była w stanie spamiętać jego wszystkich znajomych i historii z nimi związanych. Bo z każdym, kogo znał Jan, wiązała się jakaś historia warta opowiedzenia. Albo było ich kilka. Te osoby i ich historie ciągle się jej mieszały, co bardzo gniewało Jana. Powtarzał jej więc wszystko od początku. Opowiadał barwnie, żywo przy tym gestykulując. Modulował głos, wchodząc w różne role, zaśmiewał się do łez albo wzruszał

niespodziewanie. Patrzyła na niego, a przez głowę płynęły jej myśli o tym, co zrobić jutro na obiad, skąd wziąć opał na zimę, czy ubiegłoroczne buty dziewczynek nadadzą się jeszcze w tym roku, czy dobrze zamknęła kurnik. Nie lubiła tych jego opowieści i nie lubiła tego, co po nich zazwyczaj następowało. Ale Jan nigdy tego nie robił przy obcych. Dlatego często w porze jego powrotu do domu, kiedy nie było u Eugenii akurat żadnej sąsiadki, zachęcała Olę i Klarę, żeby bawiły się z najmłodszymi Łempicczankami w domu.

- Tutaj nigdy nie ma spokoju! Co to są za porządki, żeby w własnym domu nie mógł odpocząć? Czy tu zawsze musi być tyle bachorów?

- Przecież to tylko Bronia i Zośka od Łempickich. One prawie jak swoje. Pobawią się jeszcze chwilę i zaraz do domu polecą. Mocno zmęczonyś? Połóż się tu, w kuchni, na tapczanie. Ja im powiem, żeby były ciszej...

- Nigdzie się nie będę kładł! Co to w ogóle za obyczaj, żeby się kłaść, kiedy w domu są obcy? Ty to jednak nie jesteś zbyt gramotna!

Eugenia zrozumiała, że już tego nie zatrzyma. Że nie było już sposobu, żeby uniknąć codziennej, wieczornej porcji upokorzeń i obelg. To nie był już jej Jan. Nie wiedziała, czy ta zmiana jest wynikiem jego choroby, czy wywołana została przymusem długotrwałego pobytu w domu, do którego nikt z domowników nie był przyzwyczajony. Tak naprawdę w ogóle nie znała swojego męża. Od dnia ślubu był rzadkim gościem w domu. Dni płynęły jej w oczekiwaniu na jego powroty, na snuciu marzeń o nim. Tęskniła ogromnie. Jego krótkie pobyty

w domu były wielkim świętem. Wszystko musiało być idealne. Żadnych rozmów o kłopotach. Była przecież jego dzielną, wyjątkową Eugenią.

Potem na świat zaczęły przychodzić kolejne dzieci i czasu na myślenie o Janie zrobiło się mniej. Tęsknoty za nim też jakby ubyło. I ciekawości, jaki jest on i jego świat, w którym akurat przebywał. W końcu stało się. Obraz Jana w jej głowie był gotowy i skończony. I Eugenia nie życzyła już sobie w nim żadnych zmian. Była żoną idealnego mężczyzny, który dla wyżywienia rodziny ciężko pracował z dala od domu.

A teraz w jej uporządkowanym i dobrze funkcjonującym świecie nastąpiło trzęsienie ziemi. Jan zachorował i wrócił do domu. Leczył się już czwarty miesiąc, ale nie widać było poprawy. Eugenia zaczęła się bać. Bała się tej choroby, o której wiedziała, że jest poważna, bo tak bardzo zmieniła jej życie. Nie była gotowa ani na te zmiany, które już nastąpiły, ani na kolejne, których wolała myśłami nie przywoływać. Ale bardziej jeszcze bała się tego nowego Jana, którego nie znała i którego tak naprawdę nie chciała w swoim domu, bo nie bardzo wiedziała, co ma z nim począć.

- Wiesz, Genia? Ty to nie jesteś ani za ładna, ani za mądra. Nie masz pojęcia, jakie piękności się we mnie kochały. Ja teraz nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego się z tobą ożenił? Aaaa, prawda. Byłaś w ciąży. Cnotliwa to ty też nie byłaś, nie można powiedzieć. Co mnie podkusiło, żeby latawicę brać? I żebyś choć jednego chłopaka urodziła. A tu nic. Dziewuchy i dziewczuchy. Ciekawe, czy wszystkie moje?

Eugenia zagryzła usta i zaczęła zmywać po obiedzie. Nie

jest sobą - myślała. Ale gdzieś tam głęboko zaczęła kiełkować w niej obawa, że może jednak jest sobą i zawsze taki był? I że Jan z jej głowy już nigdy nie wróci, bo pochłonął go ten rzeczywisty? Potworny lęk chwycił ją za gardło, tak że nie mogła przez chwilę oddychać.

Wszystko się ułoży, będzie po staremu, trzeba tylko poczekać, aż wyzdrowieje - natychmiast przywołała się do porządku. W czekaniu nie miała przecież sobie równych.

- Wiesz, co Genia? Ja tu nie będę z tobą siedział i strzępił języka po próznicy. Towarzystwa na poziomie potrzebuję. A jak wrócę, to porządek i spokój mają być. Żadnych cudzych bachorów - podniósł się z krzesła. Włożył na głowę letni kapelusz, choć był dopiero późny marzec i śniegi niedawno puściły. Przekrzywił go zawadiacko i wyszedł z mieszkania lekko chwiejnym krokiem.

- Po com ja cię z tej bruzdy podczas nalotu zabierał? - Ostatnie słowa wypowiedział już za progiem i dużo ciszej.

Skierował się do bramy, ale przystanął w połowie drogi. W podwórzu pranie wieszła Helga. Niemki nie korzystały z suszarni, odkąd tylko temperatura w nocy przestawała spadać poniżej zera. Babka bardzo sobie ceniła rześki zapach, jak zwykła mawiać, świeżo upranych rzeczy, którego były pozbawione podczas suszenia w zamkniętym pomieszczeniu. Jan przyglądał się z niekłamaną przyjemnością smukłej sylwetce dziewczyny i potarganym jasnozłotym włosom opadającym na zaróżowione policzki. Przypomniał sobie, że już ją taką widział i była równie piękna. I tak uroczo nieświadoma swojej naturalnej, niewymuszonej urody. To było

dwa lata temu, kiedy Genia była chora na tyfus. Helga opiekowała się dziewczynkami i często do nich zaglądała. Tak, dobrze pamięta, jak bardzo ją polubił. Bo też i było za co. Słuchała jego opowieści z takim zaangażowaniem, żywo reagowała na to, co mówił, i zawsze w punkt. Cudo nie dziewczyna. Piękna i inteligentna, a to się bardzo rzadko zdarza. Już on się na tym zna najlepiej!

- Może pomóc sąsiadeczce? Ja to właściwie powinienem podziękować za to, że sąsiadka tak się dziewczynkami zajmuje. To dla Geni taka pomoc jest. A Klara to już jest całkiem w sąsiadce zakochana. - Już stał obok Helgi i trzymał jej mokrą rękę w swoich dłoniach.

Dziewczyna spłoszyła na twarzy, a nogi ugięły jej się w kolanach. To już dwa lata, jak wodziła wzrokiem za tym przystojnym mężczyzną. Dobrze wiedziała, że owoc był zakazany, ale za każdym razem, kiedy Jan pojawiał się w domu, miała jakąś pilną sprawę do Eugenii. I Klarę ciągle o ojca wypytywała. To było silniejsze od niej. Urok jakiś na nią rzucił czy co? Przez dwa lata nie zarejestrował jej istnienia, a teraz stał tuż obok i prawil jej komplementy. Nie mogła w to uwierzyć.

- Ależ sąsiadka pięknie pachnie. - Poczowała na szyi jego oddech. Przykra woń tytoniu i alkoholu natychmiast ją otrzeźwiła. Delikatnie uwolniła rękę i ukryła ją w kieszeni fartucha, niby to sięgając po klamerki do bielizny.

- Jaka tam pomoc. Ja dziewczynki bardzo lubię, a Babka to ogromnie rada jest, kiedy nas odwiedzają. Nawet je nauczyła wyszywania. Klara ma do tego rękę, zresztą do

wszystkiego ma dryg i ciekawość. Ola więcej czytać woli i słuchać, kiedy Babka opowiada... - Raptownie umilkła, zorientowawszy się, że opisuje mężczyźnie jego własne córki.

Poczuła się jeszcze bardziej nieswojo. Ale i Jan się zawstydził. Zapadło niezręczne milczenie. Po chwili Jan jakby się ocknął. Cofnął się o dwa kroki, wyprostował, a zaraz potem szarmancko ukłonił, uchylając kapelusza. I zniknął w mroku bramy. Helga stała jeszcze chwilę, mnąc kieszeń fartucha od środka i patrząc w ślad za mężczyzną. Potem chwyciła blaszaną miskę, w której przyniosła pranie, i pomknęła do domu.

11.

Poranek był chłodny i mglisty. Klara skuliła się na wersalce, bezskutecznie próbując naciągnąć na siebie chociażby róg nieobleczonej czerwonej pierzyny. Ta, zakleszczona w objęciach śpiącego obok Ojca, nasiąkała jego potem i odorem przetrawionego alkoholu. Jej zawilgocona i cuchnąca sztywność nie dawała jednak żadnego schronienia ani przed panującym w pokoju zimnem, ani przed nieprzychylnością zbyt wczesnego poranka. Chłód i jakiś dziwny, obcy niepokój odarły dziewczynkę z resztek snu. Z zazdrością spoglądała w przeciwległy kąt pokoju, w którym stała druga wersalka opatrzona hojnie spiętrzoną pościelą, od której było nieosiągalne dla niej w tej chwili ciepło i poczucie bezpieczeństwa. Matka już wstała i krzątała się po kuchni.

Klara zsunęła się szybko z pośłania, dwoma krokami

pokonała dystans dzielący te dwa łóżka i wślizgnęła się na opuszczone przez Eugenię miejsce, tuż obok zakopanej w pierzynę po czubek nosa, rozkosznie posapującej przez sen Oleńki. Pościel, nieostygła jeszcze po Matce, pachniała jej ciałem. Klara uwielbiała takie uczucie błogości, jakie teraz momentalnie rozlało się po jej kilkuletnim ciele. Bezgranicznie szczęśliwa, uwolniona od nowego lęku, zagrzebała się w ten zapach, ciepło i chwilowe bezpieczeństwo. Raz-dwa zapadła w sen.

Wokół niej jak okiem sięgnąć rozciąga się ogromna łąka, cała utopiona w kwiatach i prześwietlona jaskrawym, niemal białym blaskiem. Słońce jest intensywne i wszędobylskie. Nic na tej łące nie rzuca cienia, nigdzie nie ma nawet skrawka mroku, ciemniejszej plamki. A jednak nie jest upalnie. Panuje miłe dla skóry ciepło, a rośliny zachowują esencję swoich barw i aromatów. Jest jakoś lekko i radośnie. W głębokiej, soczystej zielonej trawie siedzą dwie osoby zwrócone do siebie twarzami. To ona - Klara i Helga. Obie ubrane są w identyczne, białe sukienki, które mieniają się perłowo przy każdym ruchu. Klara pochyła się do przodu i pilnie obserwuje dłonie Helgi. Smukłe palce zręcznie i szybko splatają stokrotki z margerytkami. To już trzeci wianek, który Helga robi dla Klary. Każdy kolejny wkłada jej na głowę. Śmieją się. Zanoszą się tą radością. I nagle zaczyna się dziać coś bardzo niedobrego. Robi się wyraźnie chłodniej. Słońce nie świeci już na białło, staje się brudnożółte. Łąka wypełnia się jakimś

nieprzyjemnym dźwiękiem, który nabrzmiwa z każdą sekundą. W końcu staje się nie do zniesienia. Dziewczęta unoszą dłonie do uszu w poszukiwaniu ulgi. Klara zaczyna szukać wzrokiem źródła tej tortury. Kiedy odwraca się na powrót do Helgi, tej już nie ma. Skrajem łąki idzie jakaś ciemna postać. Spozstrzega Klarę i kieruje się w jej stronę. Porusza się coraz szybciej. Klara znowu czuje ten dziwny lęk z pogranicza jawy i snu, który ją paraliżuje. Z jej spiętrzonymi w koronę wiankami dzieje się coś dziwnego. Sploty rozluźniają się, a kwiaty zrywają kolejno do lotu niczym spłoszone ptaki. Jeden za drugim. Klara bardziej czuje, niż wie, że musi uciekać. Grozi jej jakieś niebezpieczeństwo. Pokonuje obezwładniający ją strach i z wielkim wysiłkiem zaczyna biec. Na początku jest bardzo ciężko, ma uczucie jakby brodziła w smole. Po chwili biegnie już szybciej, coraz szybciej, ale czuje, że to wciąż za mało. Ciemna postać jest szybsza. Jest tuż za nią. Klara wie, że musi polecieć, tak jak kwiaty z jej wianków. Nabiera w płuca powietrza i odbija się stopami od ziemi. Unosi się na chwilę, ale zaraz opada z powrotem. Udaje się dopiero za trzecim razem. Kiedy osiąga upragnioną wysokość, ktoś łapie ją żelaznym uściskiem za stopę i brutalnie ściąga na ziemię. Przerazona trzepocze w powietrzu ramionami. Słabnie. Boi się. Nie chce spojrzeć na tę ciemną postać, która uwięziła jej stopę.

Obudziło ją szarpnięcie. Jedno, drugie, trzecie. Ktoś nią mocno potrząsał. Nie wiedziała, czy to się działo we śnie czy na

jawie. Otworzyła nieprzytomne oczy. Tuż nad sobą ujrzała surową twarz Matki.

- Późno już, wstawaj i Olę zbudź. - Suchy, nieznoszący sprzeciwu ton głosu natychmiast przywrócił Klarę do rzeczywistości. - Pospieszcie się, póki się jeszcze nie rozwidniło.

Nieskładnie i ospale wciągały na siebie kolejne warstwy ubrań, siedząc wśród niechętnie odgarniętej pościeli. Co rusz ich zziębniętymi ciałami wstrząsały dreszcze. Była wczesna jesień i Eugenia jeszcze nie paliła w piecu. W zawilgoconym pomieszczeniu zimno było jeszcze bardziej dotkliwie.

Eugenia podeszła do wersalki, na której jak kamień spał Jan. Wyciągnęła rękę, lecz szybko cofnęła ją z jakimś obrzydzeniem. Przez chwilę patrzyła na niemal pergaminową przezroczystość jego skóry, na której obficie skraplał się pot. Przełamała odrazę i niechętnie, ale bardzo delikatnie dotknęła ramienia męża.

- Jan, my idziemy. Bliźniaczek trzeba przypilnować.

- Co? Dobra, dobra - wymamrotał mężczyzna, odwracając się plecami w stronę pokoju. - Śpią przecież. - Spod pierzyny dobył się stłumiony odgłos wypuszczonych gazów.

Kiedy Klara i Ola wkładały kalosze, Matka otuliła jeszcze śpiące na szerokim tapczanie w kuchni bliźniaczki. Poprawiła stojące obok łóżka krzesła, mające zapobiec spadaniu dzieci i zsuwaniu się kołdry na podłogę. W kuchni było zdecydowanie cieplej niż w pokoju. Pomieszczenie było mniejsze i częściej używane, przez co szybciej nagrzewało się od trzaskających pod żeliwnymi fajerkami kuchni płomieni. No i przypiecek

dłużej trzymał ciepło niżli piec kaflowy w pokoju. Cug jest lepszy - mawiała Eugenia, załując nieraz pieniędzy, jakich zażądał zdun, stawiając to dzieło sztuki w pokoju. Dlatego też najmłodsze dzieci spały tu, w kuchni.

Dochodziła czwarta, kiedy Eugenia zamykała drzwi na skobel i przekręcała kluczyk w kłódce. Dziewczynki posłusznie dreptały za nią. Spieszyły w milczeniu przez śpiące jeszcze miasteczko na pola, kraść pegeerowską słomę.

12.

Ojciec był chory. Ponoć śmiertelnie albo nieuleczalnie. W każdym razie bardzo ciężko. Klara nie potrafiła spamiętać tych wszystkich określeń, które usłyszała od sąsiadek albo całkiem obcych ludzi. Nie rozumiała ich pełnych politowania spojrzeń i westchnień nabrzmiałych współczuciem. Przecież tylko zabrali go do szpitala. Tego samego, w którym tak długo była Matka. Wróci, tak samo jak ona. To było pewne. Powtarzalność sytuacji zachodzących w jej życiu budowała spokój i bezpieczeństwo. Przecież zanim Ojca zabrali, przeleżał długie tygodnie w łóżku. Zupełnie jak Matka dwa lata temu. I tak jak jego, wynosili ją nieprzytomną na noszach do ambulansu. I długo jej nie było. A potem wróciła i wszystko było jak dawniej. Z Ojcem będzie tak samo. To było pewne.

Dziś wreszcie mogła pójść do Helgi. Matka w końcu dała się ubłagać i pozwoliła jej iść do „tych Niemek”. Czuło się w tych słowach jakiś cień pogardy. Ale też wszyscy w kamienicy tak mówili i nikogo to nie dziwiło ani nie gorszyło.

Klara nie lubiła tych słów. Sprawiały jej przykrość. Matka nigdy też sąsiadek inaczej nie nazywała, choć z Helgą bardzo były zżyte i ogromnie się lubiły, a do Babki szacunek miała wielki. Nie było dnia, żeby nie wymieniły choć kilku słów, a i często pomagały sobie w codziennych obowiązkach. Helga szczególnie lubiła się dziewczynkami zajmować i nigdy nie odmawiała Matce pomocy w opiece nad bliźniaczkami. „Leć po Helgę” – za każdym razem krzyczała Ola do Klary, kiedy zostawały w domu same z młodszymi siostrami i wydarzało się coś, z czym sobie nie radziły. Klara uwielbiała „lecieć po Helgę”. W ogóle uwielbiała tę piękną, smukłą pannę w całości. I była to miłość od pierwszego wejrzenia. Z wzajemnością.

A potem coś się popsuło i Matka surowo im zabroniła „latać po Helgę”. Sama też przestała do sąsiadek zaglądać, a i Helga do nich już nie przychodziła jak dawniej. Klara pamiętała, że to się jakoś zbiegło z powrotem Ojca do domu na dłużej. Nie rozumiała, o co Matka miała ciągle do niego pretensje, krzycząc: „Znowu się na nią gapisz?!”. Faktem jest, że Ojciec często w oknie stawał i komuś lub czemuś się z uwagą przyglądał. A kiedy był już słabszy, to krzesło sobie do okna przysuwał i spędzał długie godziny na wyglądaniu na podwórze. Matka bardzo była z tego niezadowolona, ale że Ojciec był poważnie chory i spokoju potrzebował, to nic już nie mówiła, tylko usta zagryzała i głośniejsze niż zwykle w obejściu się krzątała.

W zasadzie to Klara teraz nie była do końca pewna, czy Matka zrozumiała jej prośbę. Dziwna była jakaś, nieswoja. Siedziała nieruchomo przy kuchennym stole z czołem

wspartym o bielejące kostki zaciśniętych pięści. Łokcie wbiła w blat. Od czasu do czasu zakołysała się w przód i w tył. Bez słowa, najmniejszego dźwięku. Skomlącą od dobrej godziny Klarę omiotła niewidzącym spojrzeniem. Córka, mimo strachu, nie dawała za wygraną. Powtarzała prośbę tak długo, aż zobaczyła na twarzy Matki cień zrozumienia. Zaraz potem odmalowały się na niej zniecierpliwienie i wrogość. Zirytowana Eugenia była gotowa ukarać dziewczynkę. Wyciągnęła gwałtownie rękę, która jednak zamiast z impetem spocząć na jej twarzy w siarczystym policzku, osunęła się bezwładnie, głaszcząc dziecko nieporadnie po włosach, gładkiej, choć trochę zapadłej twarzy i smagłej szyi. Szybko cofnęła dłoń. Spłoszona i jakby zakłopotana okazaną czułością, kiwnęła potakująco głową, po czym ponownie oparła czoło, tym razem o blat stołu.

Klara wyskoczyła z domu jak sprężyna w obawie, że matka zaraz oprzytomnieje i zmieni zdanie. W korytarzu kamienicy, tuż przed drzwiami Helgi natknęła się na Jaśka. Oparty o odrapaną z farby ścianę, porządnie wyrośnięty na swoje dziesięć lat, wprawnymi ruchami strugał procę. Na widok Klary zmieszał się trochę, przyjął niedbałą pozę i zaczął ostentacyjnie pogwizdywać. Zaskoczona dziewczynka spuściła wzrok i bez słowa próbowała go ominąć, przywierając ciasno do przeciwległej ściany.

- Znowu do tych Niemrów? - Opalone, pokryte siniakami i zadrapaniami ramię zagrodziło jej drogę. Pogardliwie wystrzyknięta spomiędzy zębów plwocina wylądowała tuż pod jej stopami.

Klarze zrobiło się gorąco. Znieruchomiła wpatrzona w czubki swoich znoszonych „pooleńce” pantofelków. Panicznie bała się tego chuligana, jak mawiała o nim Matka, ale nie dało się ukryć, że była nim zafascynowana. Jego dzikość i arogancja niemal hipnotyzowały Klarę. Tak według niej wyglądała prawdziwa wolność.

- Ty, mała?! Głucha jesteś?! Nie masz swojego domu?!

- Ccco... co cię to obchodzi? - Klara ledwo słyszała własny przerażony szept.

- Patrzcie, jaka pyskata - Jasiek przysunął się bliżej i groźnie pochylił nad ciemną główką. - Ty, a twój stary to już umarł?

Klara gwałtownie uniosła głowę. Jasiek odruchowo cofnął się na widok wielkich brązowych oczu wypełnionych łzami. Potwornie mu było głupio. Oderwał rękę od ściany i przez ułamek sekundy zatrzymał nad głową Klary, jakby chcąc ją pogłaskać. Zabrakło mu jednak odwagi na ten gest pocieszenia. Szybko wcisnął dłonie w kieszenie spodni i ustąpił z drogi.

- No booo, bo ludzie to różnie gadają. Mój stary też mógłby się wreszcie zawinąć... Nie ma co beczeć... - bąknął nieskładnie w kierunku pleców dziewczynki znikających za „szwabskimi” drzwiami.

13.

Obudził ją potworny ucisk w piersiach. Szybkimi, płytkimi haustami rozpaczliwie próbowała zagarnąć tyle powietrza, ile

się dało. Nie mogła się poruszyć ani wydobyć głosu. Zdrewniałe gardło rzeziło i chrobotowało. Ciężar w klatce piersiowej tężał. Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Chciałaby się zerwać i uciekać, ale paraliż senny, obezwładniający ciało, nie ustępował. Całkiem już przytomny umysł wypełnił się strachem. Krew odpłynęła w kierunku kończyn i pulsowała w czubkach palców. Serce łomotało boleśnie gdzieś w uszach. Ktoś był w pokoju. Ktoś prócz niej i Aleksandry. To nie była Matka. Eugenia od dwóch dni nie opuszczała szpitala. Podobno z Ojcem było już bardzo źle. W dzień doglądała ich Helga na zmianę ze Starą Łempicką, czasem wpadła Hanka. W nocy zazwyczaj spały same, ale Helga zawsze wieczorem przychodziła napalić w piecach. Im surowo zakazała tego robić. Bała się, żeby ognia gdzie nie zaprószyły, a po rozpaleniu długo sprawdzała, czy cug jest dobry i czy się nie dymiło.

Klara czuła, że nie powinna, ale to było silniejsze od niej. Uchyliła powieki. Dłuższą chwilę przyzwyczajała wzrok do panującej w pokoju ciemności. Na tle okna majaczył jakiś ciemniejszy kształt. W nozdrza uderzył ją znajomy zapach potu, papierosów i przetrawionego alkoholu. I czegoś jeszcze. Czegoś niezwykle ulotnego, ale bardzo nieprzyjemnego. Jakby woń stygnącego ludzkiego ciała. Zrobiło jej się nieswojo. Na skórę wystąpiły kropelki zimnego potu, ciałem wstrząsnął dreszcz. Klara doskonale zapamiętała ten zapach, choć zetknęła się z nim tylko raz, dwa lata temu, kiedy razem z Ojcem i Olą odwiedzali Matkę w szpitalu. Idąc wtedy długim korytarzem śmierdzącym moczem i lizolem, minęli salę z na

wpół uchylonymi drzwiami. Zaintrygowało ją wymykające się stamtąd światło, które wąskim paskiem podzieliło mroczny korytarz na dwie części. Wprost nie mogła się oprzeć niepasującej do tego miejsca smudze niesfornych, wiosennych promieni słonecznych, w których blasku radośnie wirowały drobinki kurzu. Słoneczny tunel wyglądał jak przejście do innego świata.

Klara od początku szła sama, nieco z tyłu, więc nikt nie zwrócił uwagi, kiedy przystanęła, a potem bezszelestnie przekroczyła próg sali. Pomieszczenie było niewielkie, wręcz mikroskopijne. Stały tam tylko dwa łóżka, z których jedno, pozbawione pościeli, połyskiwało białozółtą ceratą. Na drugim ktoś leżał. Teraz już nie pamiętała, czy była to kobieta, dziecko czy mężczyzna. Nie pamiętała koloru włosów, wieku ani wzrostu. Zapamiętała tylko tę woń unoszącą się nad jeszcze nie do końca zastygłą, jakby ulepioną z żółtawego, tężejącego w oczach wosku twarzą, której rysów też zresztą już nie pamiętała.

Tę samą woń bardzo wyraźnie czuła teraz. Zapach wraz z cieniem spod okna zaczął się zbliżać i wypełniać niewielką przestrzeń pokoju. Klara, w dalszym ciągu nie mogąc się poruszyć, w przypiływie paniki zacisnęła szczelnie powieki. Panującą w domu ciszę, przerywaną tylko miarowym tykaniem ściennego zegara, rozdarł nagle jakiś potworny huk. Dziewczynka oczyma wyobraźni zobaczyła roztrzaskaną na podłodze gipsową lalkę, którą Matka kładła zawsze wysoko na szafie, nie pozwalając im się nią bawić. „Zbyt kosztowna pamiątka” – mówiła. Zaraz potem dał się słyszeć ni to jęk, ni to

głośne, pełne bólu, ale i ulgi westchnienie. Klara nigdy jeszcze czegoś podobnego nie słyszała. Pomimo hałasu żadna ze śpiących w domu sióstr się nie obudziła. Przerazenie Klary sięgnęło zenitu.

I nagle ciężar w piersiach i paraliżujący strach ustąpiły. Spłynęły z ciała dziewczynki jak cofająca się w morze fala. W ich miejsce pojawiło się dawno już zapomniane uczucie spokoju i bezpieczeństwa. Zupełnie tak, jakby ją ktoś kołysał w ramionach. Mający w ciemności kształt emanował teraz ciepłem i łagodnością. Błogo, błogo, błogo. Klara mocno zasnęła.

Szarpanie za ramię stało się coraz bardziej dokuczliwe. Przeszywający ból nie dał się dłużej ignorować. Czy tak już zawsze będzie budzona przez Matkę? Bo Klara nie miała najmniejszych wątpliwości, że to Eugenia. Tylko co ona robiła w domu? Czy nie powinna być w szpitalu, przy Ojcu?

- Wstawaj natychmiast! Musisz zająć się bliźniaczkami. Ola jedzie ze mną. Ojciec umarł w nocy. Suche, wypowiedane twardym, lecz łamiącym się tu i ówdzie na ułamek sekundy głosem komunikaty Matki dotarły w końcu do uszu Klary. Dziwiło ją to, że są kompletnie dla niej niezrozumiałe. Co to znaczy: „Ojciec umarł w nocy”? Jak to umarł? I dokąd Matka jedzie z Olą? Po co? Przecież ciągle się zajmowała bliźniaczkami. Dlaczego teraz miałyby to robić w jakiś szczególny sposób? Ale dziewczynka nie miała odwagi zadać Matce tych wszystkich pytań. Intuicyjnie wstała z łóżka,

przeszła do kuchni i wsunęła się bezszelestnie pod puchową kołdrę, w nogach szerokiego tapczanu, na którym posapując rozkosznie, spały wtulone w siebie Kasia i Basia.

ROZDZIAŁ DRUGI:

Uciec stąd (1959-1961)

1.

- Klara, Klara, zaczekaj! No proszę cię! Klara, nie wygłupiaj się...

Błagalne okrzyki ścigały ją już dobry kwadrans. Biegła, sadząc długie kroki i nie oglądając się za siebie. Za nią, w odległości kilkunastu metrów spieszył dość niski, puciołowaty chłopak. Kędzierzawe blond włosy o wyraźnym odcieniu rudości opadały mu na oczy. Może dlatego, a może z powodu swoich przykrótkich nóg lub dość okazałej tuszy nie był w stanie dogonić smukłej i smagłej, czarnowłosej dziewczyny. Nie bez znaczenia był też fakt, że w dłoniach dzierżył dwie okazałe, mocno wypchane teczki.

- No zlitujże się dziewczyno... Już nie mogę... - ścigający dostał zadyszki, znacznie zwolnił tempo, by po chwili całkiem się zatrzymać. Wydawało się, że dziewczyna w końcu ulitowała się nad nim. Zatrzymała się, odwróciła i zaczęła iść wolno w jego kierunku. Jednakże tuż przed nim przystanęła,

zbliżyła swoją śniadą, szczupłą twarz o wielkich, brązowych, napełnionych teraz łzami gniewu i upokorzenia oczach i wycedziła:

- Koniec z noszeniem mojej teczki, Erdzik. Teczka Rągówny na pewno jest bardziej... yyy... wytworna...

Po tych słowach wydarła dość podniszczoną czarną teczkę z dłoni oniemiałego i wyraźnie przestraszonego chłopaka. Pogardliwie splunęła mu pod nogi, odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie, pogwizdując w sposób, który w zamyśle każdy miał uznać za dziarski, lecz który w rzeczywistości był niemiarowym, urywanym świstem przechodzącym w syczenie.

Erdzik, jak nazwała go Klara, stał dłuższą chwilę osłupiały. Był cały spocony. Pąsowa czerwień rozkwitła na jego okrągłych policzkach, nie wiedzieć, czy za sprawą niedawnego biegu, doznanego przed chwilą upokorzenia, czy przemożnej, lecz powstrzymywanej ostatkiem sił chęci rozplakania się. Nie bardzo wiedział, co teraz ze sobą począć. Czuł się tak, jakby był od stóp do głów spowity watą. Stłumione śmiechy świadków sceny w urągający sposób odbijały się od jego pleców i pałających czerwono-ceglastym kolorem odstających uszu.

- Norbercie! - rozległ się wyniosły głos tuż za jego plecami. - Norbercie! - Głos podkreślił z naciskiem, czysto wibrując w powietrzu, obie spółgłoski „r” w jego imieniu.

Tak, to było upokarzające. Jego własne imię. Nazwanie tak niskiego, tłustawego chłopca z wyraźną wadą wymowy, która nie pozwalała mu na zadowolające wyartykułowanie żadnego z posiadanych na własność „r”, zakrawało na kpinę.

Rodzicielski dowcip. Ale skąd jego biedni, kochający rodzice mogli wiedzieć, że ich jedyne, upragnione i wyczekane dziecko odziedziczy wadę wymowy po pradziadku ze strony matki? Nikt nie mógł tego przewidzieć. I nikt nie mógł wiedzieć, że Norbert nie odziedziczy ani urody matki, zachwycającej wysokiej blondynki, ani ojca, szatyna z pięknymi niebieskimi oczami. W małym jego ciałku spotkały się wszystkie wady albo jak kto woli, niedostatki genów obu stron. W konsekwencji to nieco wyniosłe i trudne imię stało się jego prawdziwym przekleństwem.

Z szyderstwem i ludzką kpina stykał się od najmłodszych lat. Mówiono o nim, że jest jak mały, ulepiony naprędce, kulfoniasty bałwanek zrodzony przez dwie szlachetnie połyskujące lodowe figury. Rodzice kochali go jednak bezgranicznie i bezkrytycznie. Długo starali się o dziecko, toteż jego pojawienie się na świecie było dla nich ziszczonym cudem. Norbert od urodzenia mógł bez przeszkód przeglądać się w ich pełnych zachwyty i miłości oczach. Być może wystarczyłoby to, żeby dać mu w posagu na życie niczym niezachwianą pewność siebie i niewzruszone przekonanie o własnej sile i atrakcyjności. Na próżno. Jego otoczenie, rówieśnicy i ich rodzice bardzo starali się uzmysłwić małemu Norbertowi, jaką pomyłką może być brzydkie dziecko dwojga pięknych, utalentowanych rodziców. Wada wymowy, którą odkryto u niego nieco później, była dla nich jeszcze jednym dowodem na prawidłowość ich osądu. Jak pieczęć złożona na dokumencie.

Dziadkowie, zarówno ze strony matki, jak i ojca, darzyli

go skomplikowanym uczuciem będącym mieszaniną pogardy i pobłażliwości. Widząc wnuka, za każdym razem wzruszali ramionami w lekceważący, acz bezradny sposób, jakby mówiąc: „No i cóż mogliśmy począć z tym...? Złe geny przyszły z zewnątrz”. Każda ze stron w tej sprawie obwiniła drugą. Z całą pewnością jednak nie można powiedzieć, że nie kochali jedyne dziecko w rodzinie. Czuli ogromny zawód, to prawda, ale gdzieś głębiej tliło się uczucie tkliwości i ostrożnej nadziei. Nadziei, która pozwalała im wierzyć, że z brzydkiego kaczątka któregoś pięknego dla nich dnia wyrośnie łabędź.

Obcy ludzie nie mieli natomiast dla małego Norberta żadnej litości. „Ten ryży od Danielewiczów” czy „jąkała Danielewicz” były najłagodniejszymi z określeń, którymi karmiono go od dziecka. Norbert nigdy się nie jąkał, lecz jego wada wymowy, tak dotkliwie wyśmiewana, znacząco wpłynęła na jego małomówność i nieufność w stosunku do ludzi. Zaczął ich unikać do tego stopnia, że niektórzy mieli go nawet za upośledzonego. Zdarzało mu się nader często słyszeć słowa „bękart”, „niedorobiony”, „żydziak” czy „niedorozwój”. Nawet ksiądz przygotowujący klasę Norberta do pierwszej komunii pozwolił sobie któregoś razu na ironiczną uwagę:

- No krasomówcy to my tu z ciebie nie zrobimy. Płonne nadzieje.

W szkole nie było wcale lepiej. Od początku stał się dyżurną ofiarą zarówno uczniów, jak i nauczycieli. Często zastanawiał się - dlaczego? Dlaczego wyzwała u ludzi tyle negatywnych uczuć i agresywnych zachowań? Przecież nie był wcale upośledzony, wbrew obiegu opinii. Nie był nawet

głupi czy przeciętny. Przeciwnie, był bardzo inteligentny i błyskotliwy. Fakt ten ukrywał jednak skrzątnie przed wszystkimi, nawet rodzicami, których kochał mocno, lecz nieufnie. W stosunku do nich pozostawał w stanie ciągłego napięcia. Tak jakby czekał, aż nadejdzie chwila, w której i oni wreszcie przejrzą na oczy i spostrzegą, jaką miernotę wydali na świat. Często brakło mu tchu, kiedy czuł na sobie uważne spojrzenia rodziców.

Życie „pod napięciem” znosił jednak cierpliwie. Choć zdarzały mu się okresy buntu, jego dość flegmatyczny charakter nigdy nie pozwolił na większy wybuch. Odrobinę ulgi i wytchnienia poczuł, kiedy poznał Klarę. Wydawała się wyrzutkiem, zupełnie jak on. Nie rozumiał tego wcale. W przeciwieństwie do niego była ładna (Boże, jaka ona piękna – myślał za każdym razem, kiedy ją spotykał), wygadana (zawsze artykułowała czysto i wyraźnie wszystkie wyzwiska, którymi w akcie samoobrony obrzucała swoich dręczycieli), dynamiczna i niepokorna. Istny cud na ziemi – myślał często Norbert. Miała może niewielkie – w jego mniemaniu – problemy z nauką, zwłaszcza matematyka była dla niej nauką niepojętą i zupełnie nieprzydatną, ale to były przecież drobiazgi.

- Klara, ale to jest bardzo proste, spójrz na to jeszcze raz... No zobacz, jakie to łatwe... – prosił ją wielokrotnie, pomagając w lekcjach.

- Nie mam ani zamiaru, ani ochoty – odpowiadała naburmuszona, nerwowo kiwając oliwkową, nieco krzywą od kolana do kostki (złośliwcy utrzymywali, że „koślawą”) nogą,

założoną nonszalancko na drugą - nic mnie to nie obchodzi i do niczego się nie przyda. - Podpierała się zasłyszanymi od Matki argumentami.

W takich chwilach w jej pięknych sarnich oczach lśniły łzy porażki i upokorzenia. Nic nie rozumiała z tej całej arytmetyki czy algebry, które Norbert miał w małym palcu. Dobry był z niego chłopak, cierpliwy i wyrozumiały. I tak jakoś patrzył na nią, jak nikt nigdy przedtem... Tak miękko i ciepło zarazem, że co jakiś czas w gardle stawała jej klucha. Ale potem myślała sobie, że taki jakiś fajtłapowaty jest, no i ryży trochę. Matka zawsze powtarzała, że w jej rodzinie żadnych rudych nie było i w rodzinie Ojca też nie. Bo to wiadomo, że rudy to albo Żyd, albo fałszywy. Tak czy siak, unikać trzeba... No i wszyscy się z niego śmieją. Z niej też próbowali, a najwięcej Rągówna, ale nie z takimi radziła sobie od dziecka. Choć z nią było najtrudniej.

Zasrana dziedziczka. Wszystko przez Matkę. Jak ja ich nienawidzę - myślała Klara, biegnąc do domu.

Eugenia nie rozumiała albo nie chciała zrozumieć, jakim upokorzeniem jest dla jej córki praca u Rągów. Jeszcze nie dniało, kiedy zrywała ją z łóżka i obie, okutane chustami, w waciakach i walonkach na nogach, szły do pracy w „Rągowym folwarku”. A to kopać kartofle, a to motyczyć czy przerywać buraki lub tylko grabić siano. Kilka godzin ciężkiej pracy, potem szybko obmyć się w blaszanej miednicy, jakieś śniadanie i pędem do szkoły.

A w szkole... Tyle tego... Nijak pojąć się nie da i ciągle spać się chce... I te docinki nauczycieli, że leniwa i niezbyt

bystra... Ale to nic, ważne, że dzieciaki jej nie ubliżały. Bo też bały się jej jak ognia. Pyskata była i waleczna. Niejednemu już rozkwaślała nos czy podbiła oko, a i kamieniami też celnie rzucała. Jasiek ją nauczył. Tylko ta Rągówna. Stale jątrzyła i zwracała innych przeciwko niej. Nazywała ją swoją służącą, parobkiem, a Matkę nędzarką. A teraz... Teraz, jakby tego było mało, postanowiła i Erdzika zawłaszczyc. Długo mu się podlizywała, częstowała słodyczami. Wiadomo, najbogatsza w klasie. I stało się. Erdzik przeszedł do obozu wroga. Dzisiaj na przerwie, Klara słyszała to na własne uszy, śmiał się, stojąc otoczony wianuszkiem tych przebrzydłych dziewczuch, jej dam dworu. I Klara dobrze wiedziała, że śmiał się z niej. Nienawidzę tego ryżego bękarta. Matka miała rację. Rudy zdrajaca. Wpadła do domu i ku wielkiemu zdumieniu Eugenii gotującej w kuchni obiad przywarła na moment do jej pleców. Zaraz potem odsunęła się, wbiegła do pokoju i upewniwszy się, że jest tam sama, rozplakała się.

- Norbercie! - powtórzyła po raz trzeci Rągówna. - Odprowadzisz mnie dzisiaj do domu, prawda? - zaćwierkała słodkim jak miód głosem, wręczając oszołomionemu chłopakowi swoją teczkę. - I wytłumacz mi jeszcze raz to zadanie z algebry, dobrze?

2.

Zmrok już dawno zapadł, a Łempicka wciąż nie weszła do mieszkania. Stała w ciemnym korytarzu z czołem opartym o brudną, odrapaną ścianę. Brało ją na mdłości. Z trudem

hamowała torsje i łzy, które wzbierały w jej nieobecnych, martwych oczach. Płytkimi, bolesnymi haustami zagarniała powietrze niczym karp wyciągnięty z wody. Kręciło jej się w głowie, a nogi były ciężkie jak z ołowiu. W końcu przestała walczyć. Łzy popłynęły obfitym strumieniem, a z piersi wyrwał się spazm żalu i rozpacz. Przypominało to zwierzęcy skowyt. Przed oczami wciąż miała obraz zapadniętej, na wpół przezroczystej, jakby uformowanej z pożółkłego ze starości pergaminu twarzy Hanka. Jej najstarsza córka umierała. Na straszną chorobę, ponoć nieuleczalną.

Łempicką z początku nie za bardzo nawet poruszyła ta diagnoza - nowotwór złośliwy macicy. I coś tam dalej po łacinie. Nazwa jak nazwa. Uczona bardzo i niewiele mówiąca. Może tylko to słowo „złośliwy” skrywało w sobie jakieś niebezpieczeństwo, jak pies obnażający kły. A potem wszyscy, których spotykała mówili: „rak, rak” i kiwali współczująco głowami. Skąd wiedzieli prędzej od niej? Tego Łempicka nie wiedziała. Czuła natomiast, jak napawali się tym słowem. Rak. W ich teatralnym współczuciu główne skrzypce grała litość, że niby Łempiccy tacy biedni, bo stary pije nałogowo, a Hanka puszczańska jest i bezbożna. Ale tuż pod cieniutką warstwą zawodzenia skrzypiec, flet wygrywał swoje trele. To była radość płynąca z przekonania o słuszności wymierzonej przez Boga kary znanym w całym miasteczku bezbożnikom. I ulga, że karząca ręka Najwyższego Majestatu okazała się łaskawsza dla tych wszystkich bogobojnych, pobożnych, spolegliwych, a choćby i nawet ustosunkowanych, a z Kościołem niewadzących się. Prawda, że o Starej

Łempickiej nikt złego słowa nie mógł powiedzieć. Co to, to nie. Pracowita była, solidna i słowna. Zawsze wszystko było wyprane i wyprasowane na czas. I taka jakaś pokorna. Bez tej buty, co ją Hanka nie wiedzieć skąd posiadała, a co ludzi szczególnie w oczy kłuło, bo trzeba znać swoje miejsce w szeregu. I co niedziela w kościele, w trzeciej ławce, żeby nie za blisko ołtarza, bo przecie są zacniejsi, ale i nie za daleko, bo dobra i oddana z niej parafianka. Ale reszta rodziny - Panie miej litość! I pewnie dużo w tym było Boskiego miłosierdzia, że choroba dotknęła tylko Hankę.

Dziś Łempicka już wiedziała, że dla Hanki nie ma ratunku. Nikt tu nic nie poradzi. Ani lekarze, ani ksiądz, nawet biskup. Rozumiała, że to kara boska za bezbożne życie córki, ale serce tak boli, tak boli. Nijak pogodzić się z tym nie idzie. Nalatała się do kościoła, żeby Pana Boga przebłagać i surowy wyrok odwrócić. Na próżno. W końcu ksiądz jej powiedział, że Pan Bóg nikogo za życia ani nie osądza, ani nie karze. Że trzeba ufność pokładać w Bożym planie, choć pojąć go bardzo trudno. I że ulgę w modlitwie znajdzie. Toteż modliła się prawie bez przerwy, ale ulgi żadnej jeszcze nie poczuła.

Hanka była bardzo słaba, ledwie powłóczyła nogami. Nie wychodziła już wcale z mieszkania. Większość czasu spędzała, odziana jedynie w koszulę nocną, spoglądając zza firanek na podwórze. Miała jeszcze trochę siły, żeby przegnać dzieciaki próbujące wypróżnić się tuż pod oknami kamienicy. No i czytała dużo. W kółko te same książki, które dostała od bibliotekarki z miejscowej szkoły. Tej bibliotekarki dawno już u niej nie było, to i książek Hanula nowych nie miała. A czytać

musiała i chciała, bo głowę koniecznie trzeba czymś zająć, a i boli ponoć mniej.

Ten jej przeklęty... gach. Łempicka bezgłośnie meła w ustach to słowo. Będzie już trzeci tydzień, jak się nie pokazuje. Bodajby zachlał się na śmierć, bodajby gorzała mu się w gardle zapaliła, bodajby zdechł w rynsztoku pod płótem, nierób jeden, łajdus, sukinsyn i ladaco. – Zrozpaczona kobieta miotała w myślach coraz gorsze przekleństwa i życzenia pod adresem „zięcia”.

Prawda była taka, że „narzeczony” Hanki, jak mówiła o nim na mieście Łempicka, ulotnił się w niespełna tydzień po postawieniu ostatecznej diagnozy: „Niewiele można już zrobić, zostało jej jakieś trzy miesiące, może pół roku. Jaka szkoda, bo taka młoda i ładna, ale za późno, za późno...”. Ludzie gadali, że bity tydzień pił na umór w gospodzie. Za co? Tego Łempicka nie wiedziała, ale pewna była jakiejś machlojki, bo łachudra jeden nigdy groszem nie śmierdział. Pieniądze zawsze Hance podbierał z jej marnej pensji w mleczarni, a Różycka – tego Łempicka była pewna – takim łachmytom „na kreskę” wódki nie dawała. Potem ktoś go widział na kolonii, u żony, jak płót malował. Od tego czasu Hanka nie wspomniała go nawet półsłowem, a kiedy innym zdarzyło się coś napomknąć, sprawiała wrażenie, jakby całkiem nie wiedziała, o kogo chodzi.

To i lepiej dla niej, że się koniec końców uwolniła od tego ścierwa – powtarzała sobie i innym Łempicka, choć w głębi duszy bolało ją, że ostatnie dni życia jej córki naznaczone są goryczą. Z tego bólu nieraz chciała wysłać starego, żeby

gacha sprowadził z powrotem, ale jakoś brakło jej odwagi, a i uświadczanie teraz Łempickiego w jako takiej trzeźwości graniczyło z cudem. Prawie już nie wychodził ze swojej szopy. Zdarzało mu się coraz częściej tam nocować. Któregoś wieczora Łempicka nie wytrzymała i poszła sprawdzić, co też się z nim dzieje. A że stary nigdy nikogo do szopki nie wpuszczał, a tym, którzy próbowali tam samowolnie wejść, urządzał dzikie awantury, zakradła się po cichu i zajrzała przez szparę powstałą po poluzowaniu się deski. Serce się jej ścisnęło, kiedy go zobaczyła. Siedział na zydelku pośród swoich butelek i kiwał się miarowo w przód i w tył. Równy, jednostajnie. Rękawy mocno znoszonej marynarki pokryte były zaschniętą skorupą mieszaniny łez, śliny i smarków. Nie widziała jego twarzy, ukrył ją w dłoniach. Słyszała tylko jak tępo powtarzał szeptem: „Moja córeczka, córcia moja”.

3.

Eugenia krzątała się po dwóch izbach wyjątkowo gorliwie. Wypucowała okna wodą z octem, a powstałe po wytarciu szyb smugi wypolerowała dokładnie płachtami „Trybuny Ludu”. Dużo miała tych gazet, a wszironystkie prawie nietknięte. Brzegi stronic nadal nierozcięte, tylko na pierwszej i ostatniej stronie druk zamazany. Ludziska owijali w gazety pranie noszone do Łempickiej, a ta chętnie dzieliła się papierzyskami z sąsiadkami, bo to wszystkim dobrze wiadomo, że do okien najlepsza jest „Trybuna”.

Wczoraj wygarnęła do czysta z pieca i spod żeliwno-

kaflowej kuchni popiół pozostały po spaleniu bierwion i papieru. Część rozsypała na grządki w ogrodzie, z reszty zrobiła ług. Bardzo starannie wyszorowała tym ługiem podłogę nierówno zbitą z pilśniowych płyt, którą Jan pomalował ohydną w kolorze, musztardową farbą, kiedy choroba go w domu uwięziła, ale sił miał jeszcze dość do fizycznej roboty. Uporządkowała nawet niewielką piwniczkę, ukrytą pod kwadratem kuchennej podłogi, która przy swej wysokości była w stanie pomieścić dorosłego człowieka tylko w dwóch trzecich jego wzrostu.

Dziś był ten wyjątkowy dzień - Dzień Wizyty Matki. Eugenii nigdy do głowy nie przyszło, żeby nazywać go inaczej. Choćby odwiedzinami matki czy jej goszczeniem. Nie, matka nigdy u Eugenii nie była gościem. Zawsze przyjeżdżała z kontrolną wizytą, choć nie było to zbyt często. Przed wojną zajechałaby na pewno dwukólką, strojna w kapelusz i koronkowe rękawiczki. Zupełnie taka sama, jaką Eugenia zapamiętała z niedziel swojego dzieciństwa - kiedy to szycowała się na nabożeństwo do kościoła. Suknia beżowa, szmaragdowa lub w kolorze écru, na dekolcie broszka z białego onyksu w kształcie kamei. Koronkowe albo atlasowe rękawiczki koniecznie w zbliżonym do sukni odcieniu i nieodłączny kapelusz na misternie upiętej gęstwinie czekoladowych, o wyraźnym chłodno-popielatym odcieniu włosów, stanowiły niezbędne dopełnienie stroju. Dzisiaj jednak przywiezie ją mąż Marylki zwykłym wozem załadowanym kanami z mlekiem, po drodze do mleczarni. Będzie ubrana na czarno, posiwiałe włosy przykryje chustką, a w gołych

dłoniach będzie trzymała laskę.

Eugenię najbardziej martwił brak strojnej firany w oknie, którą musiała zdjąć po tym, jak Klara potraktowała ją nożycami. Z ocalałej reszty uszyła Aleksandrze sukienkę do pierwszej komunii. Starczyło jeszcze na falbaniaste spódniczki dla Kasi i Basi. Klara oczywiście nie dostała nic, bo to szkodnik, który słuszną karę musiał ponieść.

Brak tej firany matka wypomina Eugonii od lat, przy okazji każdej swojej wizyty. I tego wielkiego złotego pierścionka Eugenia też już nie ma, ale to akurat matka rozumie. Poszedł na leczenie Jana. Właściwie to nie na samo leczenie, a na dodatkowe zastrzyki z morfiny, kiedy ból stał się już tak bardzo dotkliwy. Eugenia teraz nawet nie pamiętała, czy chodziło wtedy o jego ból, czy też jej niezdolność do zniesienia świadomości, jak bardzo jej mąż cierpi.

- Nie rozumiem, po co marnuje pani pieniądze. I tak jest nieprzytomny - mówiła pielęgniarka, wstrzykując narkotyk.

Ale ona nie mogła patrzeć na jego wykrzywioną twarz ani słuchać rozdzierających powietrze krzyków. Po zastrzyku uspokajał się na trochę. Eugenia nigdy wcześniej i nigdy później nie wielbiła tak ciszy. Często coś bełkotał, z rzadka tylko można było rozpoznać jakieś słowa. Najczęściej było to: „Mamo, mamó! Pali się, pali!” Co się miało palić? Tego Eugenia nigdy się nie dowiedziała.

To było wtedy, kiedy po wizytach u Jana w szpitalu Eugenia wracała na noc do domu. Często jednak zamiast do autobusu szła do kościoła. Potrafiła przesiadzieć tam długie godziny z czołem opartym o chłodne drewno ławki. Nie, nie

czuła wtedy rozpaczy ani strachu. Przychodziła tu w poszukiwaniu tej kojącej ciszy. Wypełniał ją wówczas zaskakujący chłód i jakiś majestatyczny spokój, który bardzo lubiła. Owszem, modliła się o cudowne wyzdrowienie męża, a jej datki w tej intencji – na tacę i do skarbonki – znacząco uszczupliły kwotę otrzymaną ze sprzedaży pierścionka, ale gdzieś tam głęboko miała już świadomość nieuchronnego. I jakąś pokrętną drogą, której zawilóści sama nie śmiała nawet rozważać, była już z tym nieuchronnym pogodzona. Po powrocie do domu, do córek, paniczny strach znowu wypełzał z kąta i chwycił za gardło w paraliżującym uścisku. Nienawidziła tego – tej własnej słabości. Wolała po stokroć nie czuć nic, absolutnie nic. Już na zawsze.

– A ty jak zwykle się guzdrzesz, co? – Od progu dobiegł ją głos matki.

Eugenia sprawnie wyskoczyła z piwniczki. Jednym ruchem pogrzebaczka zasunęła pokrywę w podłodze, nogą przesunęła wytarty chodnik i już była przy drzwiach, by witać Starszą Panią. Wielu, patrząc na nią, pomyślałoby o niej jak o damie, ponieważ matka wyglądała i nosiła się wciąż, mimo wieku i czasów, jakie przyszło jej oglądać na stare lata, jak wielka pani. Postawna, tęgawa kobieta z gąszczem siwych, gładko upiętych w kok włosów stała dumnie wyprostowana w progu kuchni córki, z lekka tylko wspierając się na lasce z mahoniową, fantazyjnie rzeźbioną główką. Jej długa, ciemna suknia mocno kontrastowała z bladością twarzy, na której ślady dawnej, wielkiej urody walczyły o lepsze z surową, nieco odpychającą miną. Jednakże w jej wyblakłych, stalowoszarych

oczach kryła się jakaś miękkość i skłonność do wesołości.

- Już dobrze, dobrze. - Matka wydarła Eugenii swoją pomarszczoną, alabastrowobiałą, ale z widocznymi ciemniejszymi plamami dłoń, którą córka próbowała niezgrabnie pocałować. - A dzieci gdzie?

- Aleksandra u koleżanki. Mama zna Wandę Cedrowiankę, lekcje razem odrabiają. Klara kurnik sprząta, a najmłodsze bawią się w pokoju - Eugenia mówiła coraz wolniej, wyczuwając narastające bez żadnej przecież przyczyny matczyne niezadowolenie.

- Kurnik powiadasz? Właśnie dzisiaj sprząta? No to wołaj zaraz moją wnuczkę! - Starsza Pani bez pytania umościła się na krześle za stołem, na blacie którego postawiła duży słoje bursztynowego miodu. - Czy ja tak wiele wymagam, że raz na jakiś czas chcę wnuki zobaczyć? I czemuż to Aleksandra na babkę nie czeka, he? - Starsza Pani nigdy nie zdrabniała imienia swojej imienniczki i innym na to w swojej obecności nie pozwalała. - Jeno się włóczy po ludziach? Zobaczysz, ani się obejrzysz, a „powsinoga” o niej wołać będą!

Eugenia bez słowa sprzeciwu czy najmniejszej próby wyjaśnień wyciągnęła z pokoju rozbawione bliźniaczki, którym natychmiast zrzędyły miny, jak tylko zobaczyły gościa. Jak na komendę podeszły do Starszej Pani, dygnęły równocześnie i ucałowały wyciągniętą dłoń. Najpierw Kasia, bo starsza przecież o te kilka minut, potem Basia. Zaraz potem przycupnęły w milczeniu na jednym krześle po przeciwległej stronie stołu, wbijając łakomie wzrok w złocistą słodycz, na której babka władczo położyła rękę. Po chwili do izby wbiegła

w podskokach Klara, już od progu krzycząc: „babunia!”. Po czym bezceremonialnie uwiesiła się na szyi kobiety. O dziwo, babunia uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając pełen garnitur zębów w kolorze przyżółkłej nieco kości słoniowej.

- Córunia moja, skaranie boskie... - zawodziła z udawaną surowością Starsza Pani - ...aleś ty brudna, no idź mi precz, ogarnij się nieco.

Scena przywitania Starszej Pani z Klarą nie wprawiła pozostałych obecnych w osłupienie tylko dlatego, że była w podobnym tonie celebrowana przy każdych odwiedzinach babuni. Przyglądano się jej więc w milczeniu, z udawaną obojętnością, naznaczoną szczyptą zawiści i kaśliwości. Korzystając z powstałego zamieszania, Kasia, najbardziej bezczelna z całej rodziny, nie oglądając się na nic, bezceremonialnie wsadziła paluchy do miodu. Kiedy Klara zniknęła w sieni, żeby się trochę obmyć, uwaga Starszej Pani skupiła się na małej wszetecznicy.

- A żeby cię licho wzięło, ty gomoło jedna! - Zarówno Kasia, jak i Basia miały okrągłe twarze i perkate nosy. Wypisz, wymaluj Marylka, ich ciotka. Ta pospolitość rysów córek i wnuczek bardzo Starszą Panią drażniła. - Miód jest na lekarstwo! - wybuchnęła gniewem dama.

- To ja biorę jak lekarstwo. Bo coś mnie dzisiaj boli - odpowiedziała rezolutnie Kasia, z wielką przyjemnością oblizując palce.

- A co niby smarkulo pyzata? - nie ustępowała babka.

- Nooo sama nie wiem - odpowiedziała przeciągle Kasia, wzrokiem szukając pomocy u matki.

- Pewnie żołądek. Bliźniaczki skarżyły się dzisiaj, że je brzuchy trochę bolą - Eugenia pospieszyła z pomocą, czerwieniąc się ze zdenerwowania przy tych słowach, bo dobrze wiedziała, jakie odium ściąga na swoją głowę.

- Wszystkiemu winna twoja kuchnia. Zawsze byłaś słaba w gotowaniu. Nawet te twoje rosółki, które nosiłaś Janowi do szpitala... - Starsza Pani urwała nagle, jakby sama czując, że się zagalopowała w tej krytyce. Pewnych tematów nie należało w tym domu poruszać. - Jeśli to żołądek, to miód ci tylko zaszkodzi, nie pomoże. Na żołądek jagód trzeba - stanowczo wyjęła z rąk Kasi słoik i na powrót szczelnie go zakręciła.

- No, a Klarunia... jak tam w szkole? - szybko zmieniła temat. - To już siódma klasa i od września liceum, prawda?

- Klarze w szkole idzie bardzo słabo. Jakaś taka nie za bardzo zdolna jest - odpowiedziała chmurnie Eugenia. - Ciągle tylko mnie nauczyciele wzywają, jak bym nie miała nic lepszego do roboty - prychnęła pogardliwie, zapominając, że jej własna edukacja zakończyła się na trzeciej klasie szkoły powszechnej. - Chyba pošlę ją od września do wieczorowej, przynajmniej w ciągu dnia większy będzie z niej pożytek, bo roboty przecież nie brakuje. Albo całkiem przerwę zrobi. Do pracy w polu szkół nie potrzeba. Za to Aleksandra uczy się prima sort! I to w 10 klasie! Nauczyciele nie mogą się nachwalić. - Twarz Eugenii natychmiast pojaśniała.

Widać było, że z wielką przyjemnością pociągnęłaby temat szkolnych sukcesów najstarszej córki, ale Starsza Pani przerwała jej bezceremonialnie:

- A niech cię Bóg broni przenosić Klarunię do

wieczorówki! Albo naukę jej odbierać! Dziecku trzeba pomóc, a nie robić z niej parobka! - wypowiedziała te słowa stanowczo, tonem nieznoszącym sprzeciwu, grzebiąc w odmętach niepamięci fakt, że edukacja jej własnych córek nigdy nie była ani dla niej, ani tym bardziej dla jej śp. męża sprawą najwyższej wagi. Ale to przecież były całkiem inne czasy, a potem przyszła wojna.

- Nie wiem, mamó, naprawdę nie wiem, czy... - Eugenia, pomimo lęku, jaki czuła od pierwszej chwili wizyty matki, próbowała rozpaczliwie nadać znaczenie podjętym przez siebie decyzjom. Urwała jednak w pół zdania, widząc wchodzącą do izby Klarę, obmytą już i uczesaną. Dziewczynka przylgnęła ciasno do ramienia Starszej Pani, czując instynktownie, że o niej była przed chwilą mowa i w jakiś sposób ważą się teraz jej losy. Nerwowo spoglądała swoimi spłoszonymi sarnimi oczami to na Matkę, to znów na babunię.

- Klara, weź no bliźniaczki i idźcie pokrzyw narwać dla kurczaków. Tylko jaką szmatą poowijajcie ręce, żeby się nie poparzyć. Ja waszą babcię muszę ugościć - dokończyła oschle, nie zważając na niemy protest tak w oczach Starszej Pani, jak i Klary.

Dziewczynka posłusznie skinęła głową w kierunku sióstr i poszła szykować worki na pokrzywę. Zawiedzione bliźniaczki ruszyły za nią z wielkim ociąganiem, czując podskórnie, że dopiero teraz rozmowa nestorki z ich matką stanie się naprawdę ciekawa. Ale w tym domu nikt nie zwykł protestować. No może tylko Ola miała dość odwagi, a i to wtedy tylko, kiedy Eugenia była w nieco lepszym humorze.

Po chwili obie kobiety zostały w kuchni same. Córka podeszła do wielkiego, topornego, zasłaniającego niemal pół kuchennej ściany kredensu, pomalowanego na biało olejną farbą, która tu i ówdzie odłaziła sporymi płatami. Wydobyła z krzywo oszklonych drzwiczek dwa kieliszki i karafkę z rżniętego szkła, do połowy wypełnioną rubinowym płynem. Szkło gościło na stole Eugenii tylko przy wyjątkowych okazjach. Do takich kobieta zaliczała właśnie wizyty matki. Cały komplet, w skład którego wchodziły szklanki, dzbanek, karafka i sześć kieliszków, był ślubnym prezentem od teściowej Eugenii. Niezbyt mądra to była kobieta, ludzie się z niej często śmiali, że rozmarzona chodzi i w obłokach ciągle buja, ale gust do przedmiotów miała zadziwiająco przedni, nie można powiedzieć. No i Eugenii nie skąpiła niczego, jakby próbowała jej osłodzić samotność wszystkich spędzonych z Janem lat. O to też ciągle miała do syna pretensje, choć kochała go najbardziej ze wszystkich swoich dzieci i wpatrzona weń była jak w obraz, że młodą żonę na tak długo samą zostawia i po świecie hula. Ludzie plotkowali, że sama była w małżeństwie nieszczęśliwa, a najmłodszy Jan był owocem pozamałżeńskiego romansu. Ile w tym było prawdy – nie wiadomo, ale faktem jest, że Jan do rodzeństwa nie był podobny ani z wyglądu, ani z natury.

- A cóż to za okazja? - krygowała się przez chwilę Starsza Pani, choć powszechnie wiadomym było, że satysfakcjonująca ją gościna nie mogła obejść się bez alkoholowego poczęstunku.

Nie da się przecież ukryć, że zawsze to lepiej się

rozmawia, kiedy można usta zwilżyć jakimś mocniejszym napojem. Na przykład cytrynowką, ale tylko dobrze rozrobioną, z zachowaniem właściwych proporcji spirytusu, wody, miodu i cytryny. Wcale niełatwa to rzecz do zrobienia, bo spirytus musi być bez zapachu, a i o cytryny w tych czasach trudno. Niektórzy to nawet jakiegoś śmierdzącego bimbru używają, wtedy cytrynowka jest do niczego. No, bo o dobry samogon to teraz bardzo trudno, choć wielu pędzi. Takie czasy. Do ulubionych napitków Starszej Pani należał jeszcze ajerkoniak, ale żółteczka musiały być świeżusieńkie, z jaj dopiero co zniesionych. No i oczywista, wszelkiej maści nalewki domowej roboty na przeróżnych owocach, z wiśniową, aroniową i jeżynową na czele.

Taką właśnie nalewkę na wygrzanych w słońcu wiśniach Eugenia postawiła teraz przed matką. Pięknie się mieniła w grubym, bogato rżniętym kryształ, rzucając na stół rubinowe refleksy. Obok położyła pociemniałą ze starości i nadmiaru wilgoci deskę, suto przykrytą grubo narzezanymi plastrami słoniny, przydymionej wędzonki, kiszonymi w glinianym garnku pośród liści chrzanu i całych czosnkowych główek ogórkami i pajdami białego, pszennego chleba.

- Żadna tam okazja... To znaczy okazja jest, bo mama w gościnie... - Eugenia plątała się, ledwo wydobywając słowa z zastygłych w niepewnym grymasie ust.

- Aha. - Matka udała kompletny brak zainteresowania pomieszczeniem córki i nie bez widocznej przyjemności wciągnęła w nozdrza aromat nalewki, po czym upiła połowę z napełnionego po brzegi kieliszka. - No, nie można

powiedzieć, choć naleweczki ci wychodzą - łaskawie pochwaliła Eugenię. Czekwała.

- Mama przecież wie, że ciężko tak samej z czterema córkami. Robić wiele trzeba od świtu do nocy, bo ta renta po Janie nie za duża. No i dziewczynki szybko rosną, to i coraz więcej im potrzeba, a i skarcić porządnie obowiązkiem rodzica przecież jest... - Głos Eugenii uwiązł w gardle.

Starsza Pani milczała, zawiesiwszy swoje stalowe spojrzenie na ustach córki.

- No, bo wie mama, taki jeden wdowiec tu do nas przychodzi. I... eeeee... on... on się chce ze mną żenić - dokończyła desperacko Eugenia i ciasno zamknęła powieki, żeby je po dłuższej, niemiłosiernie dzwoniącej ciszą w uszach chwili uchylić i spojrzeć pytająco na matkę.

- Wdowiec, powiadasz - przeciągle powtórzyła matka. - A on z jakiej rodziny jest i jaki stary?

- Mama go zna. To Kazik Czechowiak. Bywał przecież u nas w domu jeszcze jak ojciec żył - Eugenia w skupieniu, lecz nerwowo oglądała podniszczone ciężką pracą dłonie.

- O!? Ten Czechowiak? - Coś w głosie Starszej Pani zmroziło Eugenię tak bardzo, że szybko poderwała głowę i mimowolnie skrzyżowała ramiona na piersiach, przyjmując postawę obronną. - Toż on ma w chałupie własne dzieci. I to chyba niemało?

- No tak, ale przecież dorosłe.

- Dorosłe, ale niepożenione i wszystkie na kupie w jego chałupie siedzą. Na ten przykład Zośka Czechowianka. Dzieciaków już ma dwa i nie wiadomo z kim - Starsza Pani,

pomimo że mieszkała w sąsiedniej gromadzie, była doskonale zorientowana w sytuacji większości mieszkańców miasteczka.

- O ślubie to ona sobie może pomarzyć. Widać ciasno im jest i starego postanowili z chałupy wypchnąć. A ty głupia jakowaś chyba jesteś, że sobie tego garba na plecy wciągnąć chcesz.

- Ale on powiada, że rentę wysoką ma i oszczędności spore...

Starsza Pani z wielką irytacją kilka razy machnęła ręką przed twarzą, jakby odganiając rój niewidzialnych owadów, gestem tym nie pozwalając córce dokończyć.

- Pieniądzy to ty nawet nie powąchasz! Nie bój się, już tam Zośka z innymi o to zadbają, jeno pielęgniarzką starego останiesz na długie lata. Zrobisz, jak zechcesz, ale nie ma gorszego męża od wdowca. Wspomnisz moje słowa.

- Ale jak to? Przecież nasz ojciec był wdowcem, kiedy się z mamą żenił? - Eugenia była bardzo pomieszana i zaskoczona niespodziewanym wyznaniem matki.

- Ano był. Dlatego wiem, co mówię - Starsza Pani zmarszczyła czoło i wyraźnie się zasepiła. Widać było, że przywołane rozmową myśli sprawiły jej dużą przykrość, i że coś ją strasznie trapi. Milczała dłuższą chwilę, zanurzona we własnych wspomnieniach, potem wzdrygnęła się gwałtownie, jakby ją nagły chłód dopadł. A może był to dreszcz obrzydzenia? Chwyciła ponownie napełniony kieliszek i wychyliła go jednym haustem. Jeszcze moment biła się z myślami, na przemian to otwierając, to zamykając usta, aż w końcu Eugenia usłyszała matczyny głos, tak inny w tonie od tego, do którego przywykła. Całkiem niepodobny do tego,

którym matka na co dzień wyrażała w kategorięczny sposób swoje myśli, żądania i decyzje.

- Twój i Marylki ojciec był łajdakiem i szmalcownikiem - zaczęła bez ogródek Starsza Pani.

- Ale co też mama mówi? Przecież ojciec zginął w obozie...? Niemcy go spalili i popiół chcieli mamie wysłać...?

- Eugenia była tak zaskoczona, że zapomniała, iż matce nigdy nie wolno przerywać. Zgromiona jej spojrzeniem, gwałtownie zamilkła, tylko jej oczy, szeroko otwarte ze zdumienia, wyrażały tysiące cisnących się na usta pytań.

- Powtarzam ci, był łajdakiem i szmalcownikiem! - Matka przestała się wahać i nie czuła już zakłopotania. Przeciwnie, można było odnieść wrażenie, że wypowiedzianie tych oskarżycielskich i obraźliwych słów zaczęło jej sprawiać jakąś dziwną przyjemność. - Jak dobrze wiesz, twój ojciec był wdowcem. I był dużo starszy ode mnie. Prawie dwadzieścia lat.

Eugenia posłusznie skinęła głową. W domu nigdy się dużo nie mówiło o przeszłości ani o historii małżeństwa rodziców, ale te fakty były znane zarówno jej, jak i Marylce.

- Ale nie wiecie, ani ty, ani Maryla, kim była pierwsza żona waszego ojca. - Po tych słowach Starsza Pani efektownie zawiesiła głos i zmierzyła Eugenię spojrzeniem, jakby badając, czy jest ona w stanie unieść te mroczne rewelacje, którymi miała zamiar za chwilę się z nią podzielić.

- Otóż była nią moja starsza siostra, Marianna. Niezwykle piękna to była dziewczyna i bardzo dobra. Hmmm... mmm... - Matce na ułamek sekundy załamał się głos i zaczęła

pochrząkiwać w nadziei pozbycia się wymagowanej kluski, która uwięzła jej w gardle. – Hmmm...

– Rodzice wydali ją za najbogatszego kawalera we wsi. Właśnie za waszego ojca – kontynuowała. – On miał lat trzydzieści trzy, ona niespełna siedemnaście. Maryńka była delikatna i chorowita, a on miał duży majątek, w którym zawsze był huk pracy. Ale obiecał rodzicom, że będzie ją oszczędzał, a do alkowy weźmie dopiero wtedy, kiedy skończy osiemnaście wiosen. – Trudno było w to uwierzyć, ale Starsza Pani mocno się zarumieniła przy tych słowach.

– A niech go... – Matka bezgłośnie zmeła w ustach jakies przekleństwa. – Stało się jednak tak, że ciotka twoja, której nigdy nie poznałaś, a moja najdroższa siostra zmarła, nie doczekawszy porodu, w siedem miesięcy po ślubie. A razem z nią w jej łonie umarło dziecko. Ludzie we wsi gadali, że to dlatego, że w środku poprzerywane wszystko miała... Inni, że jak zaniemogła biedaczka i w łóżku długo bez opieki leżała, to z brudu i potu, kołtun się jej z włosów ukręcił. A musisz wiedzieć, że włosy to ona miała jak nikt inny – długie i gęste, błyszcząca miedź. Wszystkie we wsi jej tych włosów zazdrościły. I jak on to zobaczył, ten kołtun, znaczy się, to zaraz kazał służącej go obciąć. A przecież wszyscy wiedzą, że tego czynić nie wolno, a jeśli już taki kołtun trzeba obciąć, to w te pędy trzeba go zaraz spalić, inaczej życie z człowieka ujdzie. Ta służąca to jakaś głupia albo zła dziewczyna była, bo kołtun Maryńce obcięła i na pole go wyrzuciła. No i nie minął tydzień, jak Marianna umarła. Jeszcze inni opowiadali, że ta służąca, co to niby ten kołtun miała obciąć, w wielkim sekrecie

swojej matce wyjawiała, że ojciec twój swoją chorą żonę wrzającą zupą oblał. Wrócił któregoś dnia z pola głodny bardzo i rozdrażniony, jak to u niego w zwyczaju było. Od drzwi jedzenia zażądał i łapczywie zaczął jeść uwarzony dopiero co kapuśniak, okraszony skwierczącą słoniną. I tak się przy tym poparzył, że wściekł się strasznie i wylał cały talerz na biedaczkę, co to bezwolnie w łożu leżała. Ale jak to było naprawdę, nie dojdiesz, nie dojdiesz...

Zazwyczaj chłodne, stalowszarsze w swoim wyrazie oczy matki gorzały teraz, jakby Starszą Panią trawiła gorączka. Jej nieprzytomne spojrzenie mówiło Eugenii, że matka przebywa teraz w innym czasie, a może nawet w innym świecie rozmawia z duchami.

- Już w dwa miesiące po pogrzebie Marianny ten łachudra, twój ojciec, a żeby z grobu nie powstał na Sądzie Ostatecznym, przyszedł do rodziców z żądaniem drugiej żony, bo pierwsza podług niego felerna była. Znaczy, że za słaba i do małżeństwa, i do roboty. Rodzice moi nie bardzo chcieli się zgodzić, zwłaszcza ojciec mój, a twój dziadek, który od śmierci córki chodził jak struty. Mówił do matki: „Nie damy drugiej na zmarnowanie”. Ale potem nachodzić ich zaczęła Maryńki świekra. Szanowana to była kobieta w całej naszej parafii. Proboszcz ją do siebie na obiady zapraszał. I tak rodzicom przemówiła, że to niby zwyczaj taki jest, że młodsza w miejsce starszej, w razie jej śmierci powinna iść, i że nie godzi się wdowca tak z niczym zostawić. Koniec końców rodzice ulegli i kazali mi iść za mąż. Ledwo się żałoba po Mariannie skończyła, wyszły zapowiedzi moje i Władysława, znaczy się

ojca twojego i Maryli. Miałam wtedy skończone szesnaście, on trzydzieści i cztery. Ja byłam silna i robotna, nie to, co ty teraz. W polu z parobkami pracowałam, końmi powoziłam, wszystko w obejściu umiałam zrobić. On wielki pan był, majątny bardzo, i nosił się bogato. Urodziłam wpierw Marylkę, potem ciebie. Oj, wściekły był za każdym razem, że dziewczucha, a nie syn. Po tobie długo w połogu leżałam, on wtedy całkiem zainteresowanie łóżem małżeńskim stracił. Ludzie gadali, że ponoć we wsi jakąś babę miał. – Po tych słowach Starsza Pani raptownie umilkła.

Widać było, że choć mówiła w wielkim gniewie, to uczynione teraz wyznanie wprawiło ją w ogromne zakłopotanie. Wstyd zaróżowił jej zazwyczaj blade i mimo podeszłego wieku jędrne jeszcze policzki.

Eugenia milczała jak zaklęta, zawstydzona i oszołomiona bezceremonialną szczerością matczynej spowiedzi. Nigdy z nią tak nie rozmawiała jak dzisiaj. Nigdy, przenigdy. Z Marylką chyba też nie. To było całkiem do niej niepodobne. W tej chwili zapodział się gdzieś ten chłodny dystans, z którym matka całe życie odnosiła się do swoich córek. Nie było surowej, opanowanej i zawsze jakby nieobecnej matrony. Przed Eugenią siedziała krucha, rozgoryczona i nieszczęśliwa kobieta.

– Pamiętam, że któregoś razu ojciec twój zabrał mnie w podróż do swoich krewnych. – Dopiero teraz Eugenię uderzył fakt, iż nigdy nie słyszała, żeby matka kiedykolwiek o ojcu powiedziała „mój mąż”, zawsze był to „on” albo „twój ojciec”. – Chodziło o jakieś wesele czy chrzciny. Nie

pamiętam. Pamiętam tylko, że to była bardzo długa podróż i musieliśmy zatrzymać się na noc w hotelu. Jakim tam hotelu! – matka gwałtownie machnęła ręką, jakby chciała odpędzić od siebie, niczym natrętą muchę, jakiś obraz, który teraz zawisł jej przed oczami. – To była zwykła noclegownia z dwudziestoma czy trzydziestoma łózkami w jednej sali. Tak, twój ojciec nie wyrzucał pieniędzy w błoto, tego nie można o nim powiedzieć. I tak się zdarzyło, że razem w tej sali nocowała z nami kurwa. – Na te słowa Eugenia gwałtownie poderwała głowę, spoglądając na matkę z niedowierzaniem. Nie, nie przesłyszała się. Starsza Pani wypowiedziała dokładnie to słowo. – Wiem, że to była kurwa, bo nawet wtedy, w tej noclegowni, nie przestała pracować. Przy tych wszystkich ludziach.

Starsza Pani zamilkła. Rozejrzała się wokół roztargnionym wzrokiem. Jej spojrzenie powędrowało do pustego od dłuższego już czasu kieliszka. Eugenia pospiesznie chwyciła karafkę i uzupełniła go. Dziś już po raz czwarty albo piąty. Starsza Pani podziękowała ledwie zauważalnym skinieniem głowy i upiła spory łyk.

– Ze snu wyrwało mnie szturchanie. Pamiętam, że otworzyłam oczy i przez dłuższą chwilę nie mogłam zrozumieć, gdzie jestem i co się dzieje. Twój ojciec potrząsał mną i syczał mi coś wściekle do ucha. „Stefa, Stefa”. – Matka na drugie imię miała Stefania i Eugenia pamiętała, że ojciec nie zwracał się do niej inaczej jak „Stefa” albo „kobietko”. – Złękałam się, że coś się stało, że może nas okradli albo się pali gdzie. Ale nie, to nie było to.

„Ty, pójdę do niej?!” – tak mi syczał. Nie zrozumiałam. Patrzyłam na niego w ciemności, ale nie widziałam jego twarzy. Czulałam tylko, jak dyszał mi do ucha. „Pójdę do niej!” – powtarzał, szarpiąc mnie coraz mocniej. Nic nie odpowiedziałam. Skinęłam tylko głową, choć w ciemności nie mógł przecież tego zobaczyć. Potem odwróciłam się i przykryłam głowę kocem. Nie pomogło. Żebyś słyszała te jego jęki. Przy mnie nigdy tak nie jęczał... – urwała zawstydzona. Przy końcu opowieści Starsza Pani wyraźnie przyspieszyła, jej głos stał się beznamiętny, niemal mechanicznie wyrzucała z siebie wszystkie te słowa. Za to w oczach kryły się ogromne pokłady nienawiści, upokorzenia i czegoś jeszcze... jakby tęsknoty czy żalu za czymś bezpowrotnie utraconym...

4.

Eugenia miała w głowie przeraźliwy chaos. Fala wstydu i zakłopotania, która ją zalała, nie pozwoliła jej do końca pojąć, o czym mówiła matka. Siedziała sztywno wyprostowana z mięśniami karku, ramion i pleców napiętymi jak postronki. W tej chwili niezdolna była do wykonania w kierunku matki najmniejszego gestu pocieszenia, jakiegokolwiek gestu. Starsza Pani odarta ze swej niedostępności, okazująca słabość i emocje – tego się Eugenia nie spodziewała. Nie wiedziała, jak ma się zachować. Czula, że powinna położyć rękę na jej spracowaną dłoń czy przysunąć bliżej krzesło, choćby o milimetr, ale nie potrafiła poczuć dla niej współczucia.

Dlaczego ona to robi, tak się upokarza? - myślała gorączkowo. - Po co o tym mówić? Nie trzeba przecież takich rzeczy uzewnętrzniać. Nie wolno.

Kompletnie niespodziewanie dla siebie poczuła nagle tę matczyną tęsknotę i niespełnienie w swoim własnym ciele. I zrobiło jej się z tym strasznie dziwnie. Miejsca długo przez nikogo niedotykane szybko zapominają. Zmysły zapadają w letarg, w coś na kształt snu, którego nie da się przespać i obudzić. A ona przecież nie miała jeszcze czterdziestu lat! Bywało, że po wieczornym pacierzu, kiedy za ścianą dzielącą pokój i kuchnię, w której teraz Eugenia sypiała sama na tapczanie, cichły szepty dziewczynek i przechodziły w miarowe posapywanie, przed oczami wykwitwały jej obrazy z przeszłości. Szczególnie jeden z nich powracał uporczywie, nie pozwalając po prostu zasnąć po znojnym dniu.

(wiosna 1943)

Jest ciepły majowy wieczór. Eugenia szykuje właśnie kolację dla domowników. Musi być zawsze na ciepło, bo ojciec nie akceptuje zimnych posiłków, nawet na śniadanie. Energicznie miesza drewnianą kopystką skwierczące na wielkiej patelni, grube kawałki kremowej, pachnącej dymem słoniny. Matka z Marylką i służącą plewią świeże grządki w ogrodzie i sadzą truskawki. Ojciec lubuje się w luksusie i oryginalności. Wkoło okupacja, bieda, nierzadko płacz i mizéria, a on każe kobietom posadzić dorodne, długie zagony truskawek. Tak jakby na

przekór tym ciężkim czasom, w nadziei nastania lepszych, a może tylko ze zwykłej potrzeby wzbudzenia zawiści i niechęci wśród sąsiadów. Sam pojechał wpierw doglądać parobków na pastwiskach, a potem jak zwykle miał coś w miasteczku do załatwienia. Ani matka, ani tym bardziej córki nigdy go nie pytają, co by to mogło być. W tej rodzinie kobiety nie zadają pytań, a jeśli czasem im się coś nieopatrznie wymsknie, za jedyną odpowiedź mają przeciągłe, zimne i pogardliwe spojrzenie ojcowskich oczu. No i oczywista, nie uśmiecha im się znowu smakować ojcowskiego rzemienia, który w dzieciństwie nazbyt często znaczył skórę ich pleców, a bywało, że matki też.

Ale dziś Eugenia czuje się spokojna i szczęśliwa. Pod sercem już siódmy miesiąc nosi dzieciątko, które Jana uratowało od wywózki na roboty do Niemiec. Tak właśnie o tym dziecku myśli. Jak o cudzie i darze od Boga. Dzięki niemu przecież się pobrali na początku grudnia. Ojciec w końcu się złamał i bardzo niechętnie dał im swoje błogosławieństwo, a matula zamówiła dla niej suknię ślubną w miasteczku, u najlepszej krawcowej. Z welonem, choć co do tego elementu ubioru panny młodej Eugenia miała wyraźne wątpliwości. Nawet zanim poszła z tym do księdza do spowiedzi, zwierzyła się Marylce.

- Bo ja już sama nie wiem, czy powinnam... Bo Jan... bo ja... my byliśmy... i teraz ja jestem... - nieskładnie, w wielkim zakłopotaniu próbowała siostrze opowiedzieć o chwilach spędzonych z Janem i owocu tych spotkań, który - czuła to już wyraźnie - rósł pod jej sercem.

- Głupiaś i tyle! Chcesz, żeby cię cały powiat na języki wzięł? I rodziców? I mnie też?! - w głosie Marylki kryła się nienawiść. I taka sama twardość, jaką Eugenia często słyszała w słowach ojca. - I kto się potem ze mną ożeni?! Zaraz będą gadać, że pierwsza wychodzisz za mąż, mimo że młodsza jesteś! Ty... niedojdo, ty... guło jedna!

Ksiądz, co najbardziej ucieszyło Eugenię, rozgrzeszenia udzielił. Rzekł, że czasy teraz trudne są i każdy jeden człowiek potrzebuje pocieszenia, a nawet ukojenia. I choć Eugenia nie bardzo pojęła, co też jegomość miał na myśli, to najważniejsze było, że taka bez grzechu i czysta spokojnie ślubować może Janowi. A jak ona będzie go kochać po ślubie! Ze wszystkich swoich sił! Będzie taka dobra, łagodna i oddana, jak żadna przed nią nie była. To było postanowione, że Jan będzie miał najlepszą żonę na świecie!

Po ślubie zamieszkali chwilowo u jej rodziców, bo Jan miał im wyrychtować mieszkanie w domu swojej matki. Ojciec był bardzo z tego faktu niezadowolony, ale nie odważył się ciężarnej córki za próg wystawić. Zresztą Eugenia mieszkała w swoim panińskim pokoju właściwie sama, bo Jan spędzał całe dni na remontowaniu, a wkrótce i noce też. Tłumaczył, że tak szybciej robota idzie i szybciej się do własnego gniazdka przeniosą. Ale się jakoś nie przenosili i końca remontu nie było widać. Czasem się Eugenia zastanawiała, kiedy wreszcie zacznie wieść życie statecznej mężatki pod jednym dachem ze swym ukochanym, ale po prawdzie bardziej ją pochłaniało to nowe istnienie, które w niej rosło i któremu

tylę zawdzięczała. Całymi dniami zastanawiała się, jakie ono będzie? Chłopiec czy dziewczynka? Na pewno będzie śliczne i podobne do Jana.

Z radosnego zamyślenia wyręwa ją warkot silników. Nalot. Znowu. Jednym sprawnym ruchem pogrębacza zaciąga fajerki pod patelnię. Szkoda. Ojciec znowu nie poczuje, jak bardzo się starała. Wkłada obcięte do wysokości kostek kalosze, silnym pociągnięciem wyszarpuje siennik z najbliższego łóżka, drugą ręką chęyta za kark przebiegającego obok kota. Zwierzę wydaje z siebie przeraźliwe miauczenie, akcentując swoje niezadowolenie głębokimi szramami na jej przedramieniu. Bydlę. Będzie widać całe lato – myśli ze złością, ale mimo piekącego bólu nie rozluźnia uścisku. Pole jest blisko. Zapach mokrej gleby i młodych, pęcniejących sokami roślin wypełnia jej nozdrza. Rzuca siennik między bruzdy, puszcza oszalałego kota i ściśle przywiera brzuchem do wypchanego słomą lnianego pokrycia, wtulając twarz w bezpieczną wilgoć czarnoziemu. Ma teraz tylko jedno marzenie. Nie zastanawia się, co dzieje się z matką, ojcem czy siostrą. Nie myśli nawet o Janie. Chce przetrwać, żeby to życie w niej przetrwało. Jak to byłoby cudownie, gdyby zroszona popołudniowym deszczem bruzda zamknęła się nad nią, dając schronienie podobne matczynemu łonu.

Długo tam leży i chyba w końcu przysypia, bo nie słęszy, kiedy ktoś nadchodzi. Przytomnieje dopiero, kiedy czuje lekkie potrząsanie za ramiona. Unosi z przestraczem głowę, całą twarz ma umazaną ziemią. Niepewnie przygląda się

intruzowi. Nad nią klęczy Jan.

- Genia, Geniusia, chodź ze mną. W miasteczku szabrują sklepy po nalocie. Chodź, to i my coś sobie weźmiem.

- Nie chcę. Nigdzie nie pójdę. Zostaw mnie - szepcze z trudem, czując, że ściśnięte strachem gardło odmawia jej posłuszeństwa.

- Genia, nie bój się. To już koniec nalotu. No nie leż tak, chodź ze mną - nie ustępuje Jan, ciągnąc ją za ramię.

- Nie chcę, nie mogę... - mamrocze przyszła młoda matka, trzymając się kurczowo siennika.

Nie czekając na przyzwolenie, Jan pochyła się i bierze Eugenię na rękę. Dziewczyna nie stawia już oporu. Wtula różnokolorowe oczy, zniecka nabiegłe łzami, w połę męzowskiej marynarki. Nie uszedł dwudziestu kroków, kiedy ostatni pocisk tego nalotu wbija się głęboko w siennik, rozbryzgując wokół słomę zmieszana z ziemią. Podmuch zwała go z nóg. Leżą w bezruchu jakiś czas, kompletnie ogłuszeni i obolali. Ale nawet na sekundę Jan nie wypuszcza jej z objęć.

Kiedy wraca jej przytomność, czuje zawroty głowy i straszne nudności. Wymiotuje tuż pod pachę męża, nie dbając o to, że brudzi mu marynarkę. On też nie zwraca na to uwagi. Kładzie swoją chłodną, ubrudzoną ziemią rękę na jej czole, usiłując uspokoić wstrząsaną torsjami głowę. Kiedy kończy, on ociera jej usta wierzchem swojej dłoni.

- Jan, ja... - Eugenia uznaje, że musi mu teraz opowiedzieć o dziecku, które rośnie w jej łonie i z powodu którego zapomniała o mężu podczas nalotu. Czuje się wobec niego winna.

- Cicho. Wiem, dziecko, wiem. - Nie rozumie, czy to ją nazywa dzieckiem, czy daje jej do zrozumienia, że wie o jej wielkiej nowej miłości, która go zdetronizowała.

Szepcze jej coś jeszcze do ucha, kiedy jego dłoń wędruje po jej nodze, od lewego kolana w górę. Osiągnąwszy linię uda waha się nieco, jakby nie wiedząc, co mu wypada dalej czynić. Eugenia zamyka oczy, przestaje dygotać, a napięcie jej mięśni lżeje. Uda rozchylają się same. Dotknij, dotknij! - krzyczy coś w jej głowie. Nie rozumie, dlaczego nagle w jej bieliźnie jest tyle wilgoci. I ta błogość. Ta gorsząca błogość, która rozlewa się w dole jej brzucha. Jest winna i grzeszna. Znowu będzie się trzeba spowiadać - przemyka jej przez głowę, ale nie może, nie chce tego zatrzymać.

Jan, jakby czytając w jej myślach, nie bez trudu pokonuje gumkę od nogawki majtek. Palce wspinają się wyżej. Czuje szorstkie kędziorki włosów, potem głębiej - rozkoszną miękkość, tętniące ciepło i wilgoć. Uwielbia to miejsce u kobiet. Za każdym razem, kiedy go dotyka i czuje pod palcami tę śliskość, obezwładnia go żądza. Owszem, pożąda ich ciał, ale to jest coś więcej. Celebryje tę chwilę, kiedy ktoś, niejednokrotnie ledwie mu znany, jest gotów przyjąć go w najintymniejsze zakamarki swojego ciała. W takich chwilach czuje się potężny. Ma wielką władzę nad tymi wszystkimi kobietami. Nie potrafi i nie chce oprzeć się żadnemu takiemu zaproszeniu. Wielbią go, choćby tylko przez chwilę, a tym z łatwością może nakarmić kolejny dzień. A potem następny i następny.

W tej odrealnionej chwili Eugenii nie zastanawia biegnąca

palców Jana. Jawa miesza jej się ze snem, a ona sama kurczy się do pragnienia pulsującego teraz w jej podbrzuszu. Zaciska powieki, kiedy pierwszy skurcz rozchodzi się szeroką falą w jej ciele. Kolejne spazmy wydzierają z jej gardła jęki, których brzmienie wydaje się Eugenii obce i przez to zawstydzające. Zażenowana zakrywa dłonią usta, wpijając się zębami w palce. Nie pamięta, jak długo to trwało i nie bardzo rozumie, co właściwie jej się przydarzyło. Niemal traci przytomność, a kiedy trzeźwieje, Jan stoi nad nią, starannie porządkując swoje ubranie.

To był pierwszy i jedyny orgazm w życiu Eugenii.

Obie kobiety długo siedziały w milczeniu. Skrępowane wybrzmiałymi dopiero co słowami, skrzętnie unikały spoglądania na siebie. Starsza Pani głośno wzdychała, jakby próbując wraz z wydychanym powietrzem wyrzucić z siebie coś, co dalej gniotło ją w piersiach. Eugenia cierpliwie czekała, instynktownie czując, że to nie koniec matczynej opowieści.

- Twój i Marylki ojciec był bardzo bogatym człowiekiem. Ale nie był nigdy szanowany. Co to, to nie... Ludzie się go raczej bali... Po wsi krążyły słuchy, że on i takich jeszcze dwóch, nazwisk teraz sobie nie przypomnę, ale zdarzało się, że przychodzili do nas, Żydów Niemcom wydawali. Brali od nich pieniądze, złoto, kosztowności, co tam tylko kto miał za to, że niby na wsi przechowanie zorganizują... A potem... - matka zawiesiła głos. - Pewnie było w tym dużo prawdy.

Któregoś razu w stodole, jak siana krowom nabierałam, deska w podłodze się poluzowała i noga mi utknęła. I jak tak się szarpałam, żeby nogę wyciągnąć, to te deski całkiem się przesunęły i pod spodem zobaczyłam wykopaną w klepisku jamę. W środku leżała jakaś szmata i ja to wyciągnęłam... A tam tyle pierścionków, łańcuszków, wisiorów, złotych monet... Perły były nawet i złote zegarki... Wszystko to schowałam na powrót, a dziurę zakryłam deskami. Nic nikomu nie mówiłam, nikomu...

- Ale jakże to? Przecież ojca w obozie Niemcy zabili? - powtórzyła już drugi raz Eugenia, której rewelacje matki nie mogły się pomieścić w głowie.

- Ano, że Niemcy zabili, to prawda. Coś musiało pójść nie tak... Nie dogadał się z tymi, którym Żydów odstawiał, za dużo chciał albo próbował ich oszukać... Nie wiem... Pewnej nocy przyszli po niego i już... Zagazowali go, a potem spalili w krematorium. Pismo nawet dostałam, że za opłatą ten popiół, co z niego został, mogą mi przysłać. A ja, widzisz, wtedy uklękłam i Bogu za wybawienie podziękowałam... I nijakiego popiołu nie chciałam... - Po twarzy matki płynęły łzy. Wyjątkowy to był widok. W ciągu całego swego życia Eugenia widziała dwa, może trzy razy łzy w oczach tej twardej kobiety.

- Mamo... ja nie pójdę za Czechowiaka... - Było to jedyne pocieszenie, które wstrząśnięta Eugenia mogła teraz ofiarować matce.

- Dobrze córciu, dobrze. - Eugenia nie pamiętała, żeby Starsza Pani kiedykolwiek zwróciła się w ten sposób do

swoich córek. A już do niej, to na pewno nigdy. Ale w tym dziwnym dniu wszystko było możliwe.

5.

Hanka umarła po cichu. W milczeniu, bez słowa skargi. „Harda była do końca”. Mieszkańcy miasteczka z niedowierzaniem kręcili głowami. Słysząc było w tych słowach ich niezadowolenie, że pozbawieni zostali spektaklu, na który czekali od tak dawna. „Nic w niej pokory nie było, nic a nic, ale niech jej ziemia lekką będzie” – mówili.

Stary Łempicki od tygodnia nie wychodził ze swojej szopy. Nie trzeźwiał od miesiąca. Od czasu, kiedy Hanka przestała wstawać i zaczęła do niej przychodzić dwa razy dziennie pielęgniarka z lecznicy. Z zastrzykami z morfiny. Na koniec, przy nieprzytomnej dziewczynie siedziały na zmianę we trzy: matka, Eugenia i Helga. Czasem babka Helgowa też, ale ona to sama już taka słaba była, że Helga jej koniec końców zakazała. Od czasu do czasu schodziła Łempicka do szopy sprawdzić, czy stary dycha jeszcze, czy z żalu i nadmiaru alkoholu czasem ducha nie wyzionął. Ale, Bogiem a prawdą, nie miała teraz ni serca, ni czasu, żeby się o niego zamartwiać. Tyle miała na głowie. Pogrzeb zamówić, zasiłek pogrzebowy pobrać i trumnę jaką lepszą obstalować, no bo teraz to Hanka w takiej zwykłej sosnowej skrzynce leżała u siebie w mieszkaniu na górze, na kuchennym stole. I jeszcze jakieś ubranie do trumny by się zdało. No, a stypa? Nie wiadomo, czy kto przyjdzie na pogrzeb, choć ksiądz łaskawie

się zgodził dać kościelny pochówek. A jak przyjdą, to przynajmniej obiad jakiś porządniejszy trzeba dać. Dobrze, że choć Eugenia z Helgą pomogły Hanke umyć i uszykować do trumny. Dobrze, że przyszły razem z Helgową babką na czuwanie. I Geometra powstał w drzwiach przez chwilę, a nawet Luśka przyleciała. Oj, jak to dziewczusko płakało, aż się wszystkim serca krajały, a najwięcej Łempickiej.

A co teraz będzie z „pohankowym” mieszkaniem, na górze? Urząd zabierze? Może mleczarnia znowu kogoś tam zakwateruje? – rozmyślała Łempicka, idąc po schodach do mieszkania córki. – Po pogrzebie trza będzie szybko wszystkie graty uprzątnąć. Tuż pod drzwiami usłyszała jakieś dziwne odgłosy. Najwyraźniej dochodziły ze środka. Zaskoczona kobieta przystanęła i zaczęła nasłuchiwać. Czasem zdarzało jej się nie zamknąć drzwi na klucz, no bo kto odważy się zmarłą niepokoić? Matko przenajświętsza! Złodzieje! – pomyślała w pierwszej chwili Łempicka. – Ludzie to bydlę, nawet dla zmarłych nie mają szacunku! Wystraszona zbiegła na dół. Ale kogo by tu wołać? Stary na pewno pijany jak ta lala, a wkoło same kobiety. Nagle przypomniała sobie o Geometrze. Oby tylko był w domu – myślała gorączkowo, stukając do jego drzwi.

Był, otworzył drzwi zaspany. Z terenu nad ranem wrócił, to i teraz odsypiał pracowitą nockę. Tłumaczenia te Łempicka puściła mimo uszu, choć w innych okolicznościach zastanowiłoby ją, co Geometra może mierzyć w terenie po nocy.

– Chodź pan, ino szybko! U Hanki jakiś złodziej jest! Tylko

weź pan coś, jakiś kij albo nóż ze sobą!

Rozkazy Łempickiej nie pozostawiły Geometrze miejsca na jakikolwiek protest. Przetarł zaspane oczy, odruchowo przeczesał palcami czuprynę, leciutko roztrzepując końcówki włosów. Zaraz potem rozejrzał się niepewnie wkoło, w poszukiwaniu odpowiednich przedmiotów, o których wspomniała sąsiadka. Nie znalazł nic. Wtedy jego wzrok spoczął na dużym śrubokręcie i kluczu francuskim, ułożonych równiutko w skrzynce stojącej przy drzwiach wejściowych. Nie było czasu na zastanawianie się nad wyborem broni. Chwyił zatem obydwie narzędzia i pobiegł posłusznie za Łempicką, zostawiając za sobą niedomknięte drzwi.

Łempicka dygotała na całym ciele, kiedy nieporadnie próbowała trafić kluczem do zamka. Drzwi okazały się zamknięte. Geometra wpierw nasłuchiwał dłuższą chwilę, przykleiwszy ucho do niedbale pomalowanej brązową farbą, krzywo osadzonej we framudze płyty, potem głośno przełknąwszy ślinę, wyjął delikatnie klucze z rąk zdenerwowanej kobiety. Z ociąganiem, ale precyzyjnie przekręcił klucz w zamku i lekko pchnął drzwi. Scena, która ukazała się ich oczom, była równie makabryczna, co groteskowa.

Środek pokoju zajmował sporych rozmiarów, przytuszczony z kuchni prostokątny stół. Przy jego czterech rogach ustawiono masywne świece, wetknięte w drewniane, lakierowane na czarno i wysokie na jakieś półtora metra lichtarze. Niewątpliwie nadgryzione zębem czasu, zostały wypożyczone przez proboszcza na ową smutną okoliczność.

Jegomość nie odmówił łkającej Łempickiej, której życie wydawało mu się jednym wielkim krzyżem, niesionym przez nią tyleż mozolnie, co dzielnie. Jeszcze tego samego dnia wygrzebał w składziku, w którym trzymał stary sprzęt liturgiczny, owe lichtarze i wysłał z nimi do Łempickiej ministrantów. Dzięki temu mogła kobiecina uświetnić uroczyste czuwanie przy Hance, a między jedną a drugą litanią nie omieszkała sąsiadek poinformować, jaki to zaszczyt jegomość jej uczynił.

Teraz świece były zgaszone, a krople zastygłego wosku przyłgnęły i do nich, i do świeczników. W zwyczajnych okolicznościach zmartwiłoby to z pewnością Łempicką i natychmiast rzuciłaby się do szorowania i odświeżania tej namacalnej oznaki proboszczowej przychylności, gdyby nie to, co działo się na stole.

- Jezusie, Maryjo... - wystękała ze zgrozą Łempicka, żegnając się wielokrotnie.

Na stole oczywiście stała skromna sosnowa trumna. W trumnie leżała nadal Hanka, martwa bez cienia wątpliwości, ale... na Hance leżał jakiś chłop, który okropnie sapiąc i podrygując mościł się na ciele dziewczyny. W oniemiałą ze zgrozy Łempicką wstąpiło szaleństwo.

- A ty skurwysynu pierdolony, żeby cię zaraza dopadła, bezbożniku, łachudro zasrana, bydlaku zawszony, knurze niemyty! - Kwiecistość przekleństw i wyzwisk, jakie miotała Łempicka, byłaby na pewno bardziej bogata i złożona, gdyby nie to, że jednocześnie kobieta wczepiła ręce w głowę i ramię chłopca, próbując ze wszystkich sił ściągnąć go z nieboszczki.

Dostała przy tym sporej zadyszki, bo chłop wielki był i ciężki. Łkał przy tym jak małe dziecko, wtulając zalaną łzami twarz w szyję dziewczyny.

- Hanuś moja, Hanula kochana.

- Co pan tak stoisz? Ruszże się wreszcie do cholery. Dzieciaka mi gwałcą! - zawyła Łempicka w stronę skamieniałego w progu Geometry.

Ten wzdrygnął się wyraźnie na całym ciele, po czym, walcząc z ogarniającym go uczuciem wstrętu, chwycił intruza za spodnie, które rozpięte z przodu po szarpnięciu obnażyły białe tłustawe pośladki pokryte rzadkim rudym włosem. Geometra może i był niepozornej postury i delikatnego obejścia, narażało go to zresztą na kpiny i docinki równie często jak jego nie do końca jasna postawa wobec kobiet, ale miał krzepę, o czym wiedzieli tylko nieliczni. Dwoma szarpnięciami ściągnął delikwenta z martwej niebogi. Łempicka błyskawicznie poprawiła na córce bieliznę i sukienkę. Trzeba będzie jeszcze raz myć - przemknęło jej przez głowę.

Na podłodze, bezwładnie, na wznak, z rozrzuconymi szeroko rękoma i z obnażonym, na wpół wzwidzionym członkiem, leżał Haniny „narzeczony”. Dwa strumienie łez ściekały mu teraz prosto do uszu, smarki z nosa pieniały się i bąbliły na ustach. Przepełnioną zgrozą ciszę przerwało głośne pierdnięcie, zaraz potem „narzeczony” przekręcił się na prawy bok i z wymiotował na rękaw swojej przepoconej koszuli non-iron. Był kompletnie zalany. Wymiotując, nie przestawał pierdzieć, a jego penis, tu i ówdzie nakrapiany

rdzawymi piegami, skurczył się, zmarszczył i złożył jak akordeon, po czym zniknął w plątaniu zlepionych brudem, skołtunionych, rudych włosów łonowych.

Geometra odwrócił litościwie, acz z wielkim niesmakiem głowę w bok, za to Łempicka *patrzała* (Oj, *patrzała*, bo nie było to zwykłe patrzenie!) jak zahipnotyzowana. To prawda, w swoim dość długim i sponiewieranym życiu widziała niemało. Rzyganie po alkoholu, pierdzenie, albo nawet szczanie czy sranie w gacie nie było jej obce. Ile to się naprała obrzydliwości po mężu czy starszych synach? A ile to obcy ludzie nanieśli, myśląc, że skoro prostytutka, to i wstyd nieduży, i milczenie łatwiej kupić? Ale takiego czegoś, jako żywo, nie zaznała. Nijak nie mogło jej się to w głowie pomieścić. Żeby tak z nieboszczką? Rozumiała, że chłop swoje potrzeby ma. A jakże. Ten jej nieraz brał ją – kiedy jeszcze wóda całkiem niezdolnym go do tych spraw nie uczyniła – będącą w głębokim śpiku, czy też w chorobie, kiedy to w malignie leżała, czy nawet w połogu, choć lekarz surowo zakazał. Ale martwej kobiecie się naprzykrzać? Toż to trzeba ostatnią kanalią być i krzty sumienia nie posiadać.

- Bierz pan to ścierwo za drzwi – zakomenderowała ze wzgardą Łempicka dość szybko, zważywszy na okoliczności, otrząsając się z osłupienia.

Jej wyciągnięta, konwulsyjnie trzęsąca się dłoń z szeroko rozczapierzonymi palcami, przypominającymi szpony jakiegoś drapieżnego ptaka, niebezpiecznie szybko zbliżyła się teraz do twarzy leżącego na podłodze mężczyzny. Geometra, widząc, co się święci, zwawo i bez zbędnej dyskusji chwycił

intruza za nogi i sprawnie wywłókł z mieszkania. „Narzeczony” nie stawiał oporu. Jego bezwładnie rozrzucone po bokach ramiona i wciąż szlochająca głowa obijały się kolejno o sprzęty, ściany, podłogę, a w końcu o drzwi wejściowe. Był mocno nietrzeźwy i to go uchroniło od poważniejszych kontuzji. Jego ciało było wiotkie i sflaczałe jak wielka wypchana gałganami kukła, tyle że wydająca dźwięki.

Za drzwiami Geometra puścił nogi mężczyzny, który zdążył podczas tej krótkiej „przejażdżki” zasnąć. Nie wiadomo, co było gorsze - jego szloch czy urywane chrapnięcia przywodzące Geometrę na myśl skrzyżowanie pochrząkiwania świni ze złowrogim, uwięzionym głęboko w krtani bulgotem zdenerwowanego psa większej postury - dobywające się teraz gdzieś z przepaści jego gardła przez otwarte usta. Obrazu ludzkiego upodlenia i ohydy dopełniała strużka śliny ściekająca kącikiem ust i zmierzająca wprost do owłosionego ucha oraz powiększająca się plama wilgoci w kroku spodni. Geometra z trudem opanował narastającą falę mdłości i zaczął się zastanawiać, co ma teraz począć z tą wielką kupą nieszczęścia. Najpilniejszą przeszkodą do pokonania wydawały się w tym momencie schody. No bo jak ściągnąć taki kawał nieprzytomnego ludzkiego mięsa na dół bez wyrządzenia mu większych szkód? Zostawić go pod drzwiami nieboszczki przecież nie można. Ocknie się łachudra i będzie próbował dokończyć swoje dzieło. Makabryczna wizja skłoniła Geometrę do pochylecia się, nie bez obrzydzenia, nad „wieprzem”, jak go teraz w myślach nazywał, i wyłuskania z jego mokrej i cuchnącej amoniakiem kieszeni kluczy do

mieszkania Hanki. No dobrze, ale co dalej? Nawet jeśli się bydlaka bezpiecznie na dół sprowadzi, to co wtedy? Wezwać milicję? Wykopać prosto na ulicę? Posłać po żonę? A może pozwolić się gdzie przespać? Na ten przykład w szopce Łempickiego? Albo... Myśl, że cuchnący zewłok mógłby zalegać w jego maleńkim mieszkaniu, przyprawiła mężczyznę o ponowny atak nudności, połączony tym razem z zawrotami głowy. Walący smród był w tej chwili nie do wytrzymania. Co do kurwy, zesrał się na dokładkę? - niezwykle jak na Geometrę dobór słów, choć niewypowiedzianych głośno, dobitnie zobrazował cały dramatyzm sytuacji.

- No i co go tak tu uwalił? Nocował tu będzie z nim? - W drzwiach pojawiła się Łempicka, która doprowadziła już do ładu zarówno Hankę, jak i zabrudzoną wymiocinami podłogę.

- Klucze mu zabrał? - Widząc posłusznie okazany przez Geometrę pęk kluczy, pokiwała aprobująco głową.

Stanowczym gestem wyciągnęła po niego zgrubiałą od mydlin i ługu niemal śnieżnobiałą rękę. W tym samym czasie drugą dłonią sprawnie przekręcała w zamkach klucze pochodzące z Haninego kompletu. Obydwa pęki wkrótce zniknęły w czeluści kieszeni jej fartucha.

- Zaczekaj pan tu, zawołam Jaśka, bo stary to pijaniutki jak ta lala jest. Chłopak nam to bydlaczysko na dół pomoże znieść. Pilnuj go pan, zaraz będziem z powrotem! A niech go, jak ścierwem wali! - żywo zbiegła ze schodów, żeby po krótkiej chwili pojawić się znowu w asyście syna, którego skwaszona mina wymownie świadczyła o jego stosunku do udziału w całym tym przedsięwzięciu.

- No, Jasiek, bierzem go za nogi, a pan chwyć za ramiona
- zakomenderowała w sposób niedopuszczający żadnego sprzeciwu.

Podróż po schodach w dół z wielkim, nieprzytomnym i cuchnącym wszelkimi możliwymi wydzielinami mężczyzną nie była łatwa. Wszyscy troje mocno zasapani i poczerwieniali z wysiłku stanęli w końcu przed drzwiami szopki starego Łempickiego. Zgodnie z życzeniem jego żony wrzucili „zewłok” do środka. Geometra przytomnie ułożył go na boku, żeby się własnymi wymiocinami nie udusił, po czym Łempicka zamknęła drzwiczki na skobel.

- Stary w domu śpi, to ten może tutaj do przytomności dojść - wyjaśniła. - A milicji nijakiej wzywać nie będziem, bo choć należałoby sukinsyna do więźnia posadzić, to wstyd wielki będzie, jak się rozniesie, że Hania po śmierci obracana była.

Po tych słowach wymownie popatrzyła na Geometrę, który w lot pojmując jej intencje, pokiwał w milczeniu głową.

- Ty, Jasiek, zara na kolonię polecisz i powiesz jego żonce, żeby sobie jutro z samiusieńkiego rana to ściervo zabrała. I to musowo, bo pojutrze pogrzeb jest i żadnych awantur nam tu nie trzeba. Dlatego gęba na kłódkę i staremu ani słowa. - Jasiek tylko wzruszył ramionami.

- A temu to nic nie będzie, toż to siła nieczysta jest - mruzczała już tylko do siebie, idąc w stronę kamienicy.

Pogrzeb był cichy i bardzo skromny. Pomimo tego Łempicka cały czas czuła uroczystą powagę i smutne, dostojne piękno tej chwili. Kwietniowy dzień wstał słoneczny, ale mocno rześki. W ogóle wiosna była latoś chłodna. Drzewa i krzewy okryły się z rzadka pąkami, które jednak wciąż nie miały odwagi rzucić łusek i uwolnić liści i kwiatów, choć była to już druga połowa miesiąca. Powietrze było przejrzyste i klarowne, a przy każdym głębszym wydechu z ust wybiegał niewielki obłoczek pary.

Chłodno, ale to i lepiej dla Hanuli. Najważniejsze, że padać nie będzie – myślała Łempicka, wpatrując się w nieskazitelnie błękitne niebo upstrzone tu i ówdzie niewielką pierzastą chmurką. Zadziwiło ją, że stary już o brzasku był na nogach świeżuteńki, jakby nigdy w życiu alkoholu w ustach nie miał. Bez niczyjej pomocy odprasował sobie białą, kościelną koszulę, którą Łempicka wyprała i wykrochmalila poprzedniego wieczoru. Nieskalanie biały kołnierzyk był tu i ówdzie mocno już poprzecierany i postrzępiony z powodu wieku oraz zbyt częstych spotkań ze szczotką ryżową. Zażółceń pod pachami nie udało się niestety wywabić nawet przy użyciu wybielacza, ale przecież znikną pod czarną, dawno już przyciasną marynarką w cieniutkie szare prążki. Łempicki wymył się starannie jak nigdy przedtem w wielkiej drewnianej balii, nagrzwawszy wcześniej na kuchni wody w kociołku do wygotowywania bielizny. Ogolił się dokładnie dość tępą i sfatygowaną brzytwą, z uporem walcząc z każdym wystającym włoskiem. Nie obyło się przy tym bez drobnych zadraśnień, z których krew wymknęła się

rubinowymi kropelkami, ale szybko wsiąkła w skrawki starej „Trybuny”, umiejętnie i ze znanstwem naklejone na policzki i szyję. Napomadował swoją bujną jeszcze, szpakowatą czuprynę, która po uniesieniu do góry odsłoniła szlachetnie wysokie czoło poorane poprzecznymi bruzdami. Końce włosów starannie zaczesał do tyłu gęstym, czarnym grzebykiem noszonym w tylnej kieszeni spodni wraz z niewielkim prostokątnym lusterkim, na odwrocie którego prężyla się długowłosa piękność o wydatnym biuście i kocim uśmiechu. Resztki pozostałej na palcach pomady wklepał w kark, uniemożliwiając przyklejonym kosmykom ucieczkę na boki czy na przód głowy. Sfatygowane, czarne półbuty potraktował wyschniętą i skawaloną pastą, którą cierpliwie nanosił grudka po grudce za pomocą flanelowej szmatki i wcierał z taką mocą, jakby od tego zależało czyjeś życie. Na pewno nie Hanine – pomyślała smutno Łempicka, dyskretnie przypatrując się odprawianym przez męża obrzędom.

Wyglądał wyjątkowo schludnie i świeżo. Tylko nabiegłe krwią, spuchnięte oczy i mocno obrzmiała twarz mogły świadczyć o wielkim upodobaniu właściciela do wysokoprocentowych trunków, ale też i o bezdennym smutku, który trwale umościł się na jego ramionach, przyciągając te kiedyś proste i rozłożyste bary do ziemi.

Skromną, polakierowaną na ciemno dla uzyskania efektu szlachetniejszego gatunku drewna trumnę wyniósł Łempicki z domu z pomocą dwóch, wypuszczonych na tę okoliczność z kryminału, najstarszych synów i Geometry. Ostrożnie umieścili skrzynkę z Hanką na furce użyczonej im w wielkiej

łasce przez Krystiana Rąga. Co to się musiała Łempicka napłakać i nalamentować do starej Rągowej. A i Eugenia, i nawet Luśka prosiły, choć ta ostatnia ponoć samego Krystiana. Wszyscy potem w głowę zachodzili, jak to możliwe, żeby takiej pośledniej kelnerce starczyło rezonu i odwagi iść po prośbie do takiego gospodarza. Koniec końców Krystian zmiękł i konia z furką użyczył. Dno furki Łempicka wymościła świeżo upranym na tę okazję chodniczkim. Długo wygładzała wszystkie fałdy, zmarszczenia i zagięcia, jak to matki w zwyczaju mają dopieszcząć posłania niemowląt. I żaden z czterech mężczyzn dzierżących trumnę nie śmiał jej popędzać w tej chwili, choć pot zaczął się im skraplać na czołach, a ostre krawędzie trumny wrzynać boleśnie w ramiona. Kobieta ocknęła się nareszcie, popatrzyła zaciągniętym mgłą wzrokiem na stojących z ciężarem na ramionach mężczyzn i jakby się czegoś bardzo zawstydziła.

- No, teraz się na pewno nie porysuje, bo co by ludzie powiedzieli w kościele albo i na cmentarzu, jakby była taka obdrapana? - Ni to pytanie, ni stwierdzenie skierowała w stronę męża, który w odpowiedzi skinął lekko głową.

Droga do kościoła była krótka. Pokonali ją w milczeniu, idąc za powożoną przez najstarszego z synów, Heńka, furką. Rodzina była niemal w komplecie. Brakowało tylko czwartego w kolejności - Romka, który dawno już nie dał znaku życia. Ostatnio jakieś pół roku temu pisał z Bieszczad, że robotę przy wycince ma. A potem jakby kamień w wodę. Wszystkie listy słane przez Łempicką wracały nazad z adnotacją „adresat nieznany”.

- Nic mu nie jest, pewnie u jakiejś baby pod pierzyną leży - zwykł mawiać Łempicki, kiedy mu żona te listy z przejęciem pokazywała.

No i Hania po raz ostatni z nami wszystkimi. - Łempicka szła tuż za mężem, prowadząc za ręce dwie najmłodsze córki, Zosię i Bronię. Ledwie nadążały za Starym Łempickim, który stawiał długie, zamaszyste kroki, cały czas trzymając prawą rękę na wieku trumny.

Przecie nie spadnie - myślała zdyszana kobieta, ciągnąc opierające się dziewczynki.

- Mama, ja nie daję rady. Nogi bolą, chcę na furkę - popłakiwała najmłodsza Zośka.

- O, jak ona na furkę, to ja też! - wykrzyknęła gniewnie niespełna rok starsza Bronia.

Umęczona Łempicka popatrzyła bezradnie do tyłu, gdzie, tuż za nią, szedł Władek z Geometrą.

- Nieść dziewuch nie będziem, mowy nie ma. Spodnie nam butami wysmarują, a i koszule pogniotą. Duże już są i za ciężkie, spokojnie mogą same na nogach dojść - powiedział twardo trzeci w kolejności młody Łempicki.

Jednak raz-dwa do Heńka podskoczył i coś mu tam szybko klarował. Heniek ściągnął lejce i powóz zatrzymał. Dość niespodziewane to było, dlatego też pogrążony w otępieniu Łempicki z całym impetem wpadł na furkę i porządnie grzmotnął czołem w wieko trumny. Odbił się od niej i runął na wznak na ziemię. Łempicka z przerażeniem patrzyła jak Heniek i Władek pomagają ojcu się podnieść. Strwożona czekała dalszego ciągu, który zazwyczaj w podobnej sytuacji

zakończyły się piekielną awanturą, oskarżeniami o „poniewieranie ojcem”, a pewnie i rękoczynami. Dobry Boże! Byle nie dziś, byle nie dziś – zaklinała w myślach Pana Boga.

Ale postawiony na nogi Łempicki w milczeniu tylko otrzepał marynarkę i rozcierając obolałe czoło, potulnie czekał, aż mężczyźni pomogą wdrapać się na kozioł młodszym siostronom. Rodzinny kondukt żałobny ruszył ponownie, zamykany przez trzymającego się w pewnej odległości Jaśka. Chłopak nonszalancko powłóczył nogami, z upodobaniem trąc zelówkami niezasznurowanych butów o asfalt. Zwiniętymi w pięści dłońmi wypchał kieszenie czarnych, kościelnych spodni, z których niechlujnie wystawały postrzępione nieco brzegi białej koszuli, tak pieczołowicie odprasowanej wczoraj przez matkę. Byłaby teraz wściekła, gdyby obejrzawszy się, ujrzała najmłodszego z synów tak rozchełstanego. Jasiek miał to kompletnie gdzieś. Całą drogę do kościoła pogwizdywał sobie buńczucznie, chociaż bardzo był uważny, żeby się do pozostałych zanadto nie zbliżyć i matki zachowaniem i wyglądem nie drażnić.

W niewielkim kościele panował chłód i półmrok. Uroczystą ciszę z rzadka zakłócało tłumione kasłanie, dość ostentacyjne wydmuchiwanie nosa czy przeciągłe westchnienia dobiegające z jedyne go w kościele konfesjonału, w którym ksiądz usiłował stawić czoła powszednim upadkom swoich owieczek. Ku zaskoczeniu Łempickiej ludzi było całkiem sporo. W pierwszych ławkach stłoczyli się wszyscy mieszkańcy kamienicy. Była też Eugenia z czterema córkami i matką.

Obecność Starszej Pani mocno zaskoczyła i onieśmieliła Łempicką. Zaraz przez głowę przemknęła jej myśl, czy rosół uszykowany na stypę nie jest aby zbyt wodnisty, makaron nie wyjdzie w gotowaniu za twardy albo całkiem rozciapany i czy kapustę do bigosu dostatecznie drobno poszatkowała. Roztargnionym wzrokiem zarejestrowała jeszcze Luškę z jakąś koleżanką, której nie znała, obie wciśnięte w boczną ławkę. Pewnie to jakaś kelnerka z knajpy. Stary by wiedział. – Łempicka skupiła teraz spojrzenie na mężczyznach wnoszących trumnę do kościoła.

Maszerowali główną nawą dość miarowo, w pełnym skupieniu. Dla lepszego balansu Łempicki z Heńkiem opasali się ramionami. Po chwili to samo uczynili Władek z Geometrą. Dobrze, nie uchodzi przecież bujać trumną w świętym miejscu i to jeszcze na ludzkich oczach – pokrzepiła się myślą Łempicka i wróciła do lustrowania obecnych.

O, jest też Różycka. – Odkiwnęła grzecznie głową korpulentnej bufetowej.

Jej wzrok nie przestawał dyskretnie przesuwac się po zebranych w kościele twarzach. Bez większego trudu rozpoznawała wszystkich. Większości przecież robiła pranie, nielicznych pozostałych znała z widzenia. Kilka osób z mleczarni. Ho, ho nawet szefowa zmiany! Malwina ze starą Rągową. Skulona, jakby chcąc przeniknąć w stan niewidzialności, bibliotekarka.

Była to stara panna, która nie mogła się do dzisiejszego ranka zdecydować, czy wypada jej pojawić się na pogrzebie największej grzesznicy w miasteczku? Kto jak kto, ale ona

powinna wyjątkowo dbać o swoją reputację. Ma przecież pozycję, na którą tak ciężko i długo pracowała. Nie to, co te miejscowe, proste i niewykształcone dziewczuchy bez polotu i ogłady, które zawsze robiły wokół siebie tyle hałasu, budząc w niej niesmak i zażenowanie. Koniec końców przełamała się i przyszła, bo Hankę nad wyraz lubiła i coś ją do niej ciągnęło. Nigdy nie przepuściła okazji, żeby z nią choć chwilę porozmawiać, kiedy jej matce zanosila pranie. Kilka razy wpadła też do niej do mleczarni, że niby miała po drodze do pracy. Zawsze pod tym samym pretekstem - podrzucała Hance nowe książki bądź umawiała się na zwrot przeczytanych. Było w tej relacji coś dziwnego. Zamknięta w sobie, opryskliwa i słabo wyedukowana Hanka wyraźnie łagodniała, a nierzadko uśmiechała się, rozmawiając z bibliotekarką. Stara panna ze zdumieniem odkryła, że Łempicczanka, choć niewykształcona, to jednak bardzo odcytana jest, pasję wielką do książek w sobie nosi i, w przeciwieństwie do całej swej rodziny i większości sąsiadów, posługuje się piękną, nieskażoną ni gwarą, ni żadnymi regionalizmami polszczyzną. W obecności tej prostej przecież dziewczyny z mleczarni coś się z nią takiego robiło, że ona - na co dzień wyniosła i niedostępna, skupiona na budowaniu swojej kariery i autorytetu - gwałtownie się rumieniła i głupkowato chichotała jak jakiś nieokrzesany podlotek. Z pewnym zakłopotaniem spostrzegła też, że ilekroć widzi Hankę, zaraz w jej głowie pojawia się opis Sienkiewiczowskiej Heleny Kurcewiczówny, a w brzuchu czuje dziwne łaskotanie. Taka śliczna, taka młoda. Nigdy jej już nie zobaczę - rozżaliła

się nad sobą bibliotekarka, dyskretnie ocierając spuszczone oczy.

Lustrowane przez Łempicką twarze zaczęły się powoli rozmazywać i ze sobą zlewać. To przez łzy, które teraz obficie napłynęły do jej oczu. Nie spodziewała się w tym miejscu tylu znaczących osób, w ogóle nie spodziewała się aż tylu osób na pogrzebie swojej „wyklętej” córki. Wzruszyła się, choć podejrzewała, że większość z nich przybyła tu tylko dla zaspokojenia ciekawości, co też ksiądz o Hance i jej życiu powie. Czy miejscowa jawnogrzesznica zostanie chociaż jednym słowem napiętnowana, skoro nie odmówiono jej katolickiego pochówku? Owi, tak pożądamy wymierzenia doczesnej sprawiedliwości ludzie obsiedli tylne ławki, manifestując wyraźnie, że żadnego uszanowania Hance oddawać nie będą, a i o pożegnaniu na cmentarzu mowy być nie może. Nikt z nich nie miał zresztą nawet marnego kwiatka. Chociaż? Łempicka przetarła załzawione oczy, żeby lepiej widzieć. Na końcu kościoła, niemal w kruchcie stał mężczyzna z bukietem białych narcyzów w rękach. Uporczywie skrywał się za filarem, ale od czasu do czasu wychylał zza kolumny ryżą głowę.

Toż to jest to ścierwo, nie inaczej! – Ze zgrozy i wstydu Łempicka zapomniała, że w świątyni nie godzi się używać pewnych słów, nawet w myślach.

W chowającym się mężczyźnie rozpoznała Hankowego „narzeczonego”. Zszokowana odkryciem, usiadła czym prędzej w pierwszej ławce prawego rzędu, między mężem a córkami. Trzej synowie wraz z Geometrą usadowili się po

drugiej stronie. Do tej pory stała samotnie przy trumnie, wykorzystując fakt, iż ksiądz nie skończył jeszcze spowiadać. Wydawała się być pochłonięta poprawianiem szarf na nielicznych i raczej skromnych wieńcach i wiązankach, ale tak naprawdę to miejsce było idealne, żeby dyskretnie obserwować cały kościół i przybyłych żałobników. Teraz, mocno zmieszana dokonany odkryciem, skuliła się obok męża i próbowała ochłonać. Żeby tylko dobrodziej go nie zauważył, bo się może jeszcze przeciw Hance obrócić. – Z rosnącym niepokojem obserwowała krzątających się przy ołtarzu ministrantów, wyraźny znak, że msza wkrótce się zacznie. – Powiedzieć co staremu albo chłopakom, żeby się łobuzem zajęli? Eeee, lepiej nie, bo może z tego być jaka grubsza awantura, a Henio z Władziem przecie na przepustce są. I zara ksiądz będzie odprawiał, nawet nie zdążą łachudry oporządzić.

Nieoczekiwane kłopoty wytrąciły Łempicką z nastroju uroczystej zadumy i żalu. Wpadające do kościoła przez bogato zdobione kolorowe witraże światło nie wydawało jej się już takie piękne. Przeciwnie, drażniło ją, że wyraźnie obnaża niedostatki trumny i wieńców. Twarze świętych z obrazów przybrały wyniosły i pogardliwy wyraz, choć przysięgłaby, że jeszcze przed chwilą spoglądały na nią – pogrążoną w żałobie i bolejącą matkę – z wyżyn same dobre i współczujące oczy. Łempicka była przerażona. Z całą mocą zacisnęła dłonie na sfatygowanym modlitewniku, aż jej zbiełały kostki. Nie ma rady, trza się zaraz uspokoić! – Czuła, że jej nerwowe ożywienie i rumieńce gniewu są teraz bardzo nie na miejscu.

Zupełnie tak samo, jak nie na miejscu wydał się jej ten zgrzyt, który pewnego razu wydała z siebie mocno już zużyta płyta gramofonowa, onegdaj tak często puszczana przez Helgę. Dumnym posiadaczem gramofonu był Geometra. Przywiózł go ponoć aż z Łodzi i bardzo ostrożnie się z nim obchodził, bo to rzadkość była i prawdziwy majstersztyk. Ciągłe to powtarzał, ale nie był sknerliwy, nie można powiedzieć. Właściwie to wszystkim młodym z ich kamienicy gramofonu chętnie użyczał i pozwalał słuchać do woli. Tylko dzieciakom pod żadnym pozorem nie wolno było dotykać ani płyt, ani „Karolinki”, jak pieszczotliwie nazywał to skomplikowane urządzenie. Inni mówili o nim krótko – adapter. Łempicka długo zapamiętywała to słowo i dziwiła się wszystkiemu. Jak to możliwe, że jak się tę igłę postawi na ten czarny krążek, to zamiast pisku i chrobotu słyszać muzykę? I że to dziura się nijaka nie robi, jak tak w kółko jeździ i trze? No bo przecież sama miała maszynę do szycia, to i dobrze wie, co by się z materiałem porobiło, gdyby tak jeździła po nim igłą w tę i nazad. Ale wstydziła się pytać. Jakoś nie wypadało. Wstydziła się też tak po prostu pójść do mieszkania Babki i posłuchać razem z dziewczuchami tych piosenek. Śliczne były, co niektóre tak ładne, że Łempickiej ścisnęło się serce, zaraz jakaś klucha stawała w gardle i tak dziwnie tęskno się robiło. Ale za czym? Nigdy nie mogła tego dojść. I myślała sobie wtedy, że nawet w kościele takiej muzyki nigdy nie słyszała.

Ilekcroć dziewczyny zmawiały się na słuchanie muzyki, Łempicka stawiała swoją balię do prania tuż przy drzwiach, które zostawiała celowo uchylone, że niby gorąc taki od tej

pary idzie i powietrza potrzebuje. Cieszyło ją nawet to, że Haniny „narzeczony” zabronił nosić adapter na górę, bo od tej muzyki to go głowa boli i tylko Hankę niepotrzebnie bałamuci. Muzyczne sesje odbywały się więc najczęściej tuż obok mieszkania Łempickich, u Babki i Helgi. Dużo młodych kręciło się wtedy po korytarzu. Często zachodziła Luśka, czasem przyprowadzała jakieś koleżanki z knajpy. Przychodziły obie Cedrowianki i jacyś koledzy od Geometry. Trudno było Łempickiej zapamiętać tych kawalerów, bo w większości przyjezdni byli i rzadko któren pojawił się dwa razy z rzędu. Zdarzało się też, że wpadła Eugenia. Niby tylko na chwilę, o coś się poradzić albo czegoś pożyczyć, bo wdowie przecież nie przystoi takie czasu mitrężenie, ale siedziała dobrą godzinę, albo i dwie. Rzadszym gościem bywała bibliotekarka, która prócz pakunku z praniem, będącym pretekstem jej wizyty, miała zawsze w zanadrzu kilka kolorowych pocztówek grających. Ile to było śmiechu i radości, a zdarzały się i tańce, i zbiorowe śpiewanie. Bywało też sentymentalnie, pannom się wtedy łzy kręciły w oczach i ciężko wzdychały. Łempickiej najbardziej podobała się taka piosenka o mgłach za szybą albo ta o wielkim smutku, jaki człowieka nachodzi, kiedy ktoś ukradnie mu serce. Nie rozróżniała dobrze słów, ale porywały ją te melodie, bardzo. Nuciała wtedy do wtóru, ale tak cichutko, żeby, Boże broń, nikt nie usłyszał.

Aż tu razu pewnego usłyszała ten przeraźliwy zgrzyt, potem muzyka rozbrzmiała na nowo i znowu zgrzyt. I tak kilka razy. Aż ją dreszcze na wskroś przeszły, taki to był paskudny dźwięk. Potem Hanka powiedziała, że się płyta porysowała

i na nic się już nie zda. To była grająca pocztówka z tą piosenką o mgłach. Nie wiedzieć czemu, zrobiło się Łempickiej tak przeraźliwie smutno, jakby ktoś umarł, ktoś kogo dobrze znała i lubiła. Ten smutek nosiła w sobie kilka ładnych dni. Pewnie musiało być po niej coś znać, bo nawet stary zapytał, co taka markotna łązi.

I podobny zgrzyt usłyszała w swojej głowie teraz, kiedy zdenerwowanie z powodu niespodziewanej obecności „narzeczonego” odebrało jej ten piękny, wewnętrzny smutek, który w jej mniemaniu przydawał wyjątkowości chwili i pozwalał pełniej przeżywać doznaną stratę. Zirytowana własną niemocą przywołania na powrót melancholijnego żalu, ukryła twarz w nieskazitelnie białej, obszytej piękną koronką chusteczce. Na szczęście z ratunkiem pospieszył jej sam ksiądz, który opuszczając konfesjonał, dał znak ministrantom do potrząśnięcia dzwonkami zwiastującymi rozpoczęcie mszy. Mechanicznie wypowiedane słowa liturgii pozwoliły Łempickiej jako tako ochłonąć i skupić się na przemowie proboszcza. No bo była to teraz rzecz największej wagi – co też dobrodziej w kazaniu naszykował? I srodze zawiedli się ci, co to Hankowego potępienia niecierpliwie wyglądali. Słysząc było, że ksiądz starannie waży słowa. Mówił o wielkim żalu, kiedy odchodzi osoba tak młoda. O jej dzielnie znoszonym cierpieniu za życia, które choć niedoskonałe, to ludzkie i chrześcijańskie przecież było. I o tym, że potępienie nie jest rolą owcy, kiedy sam Pasterz nie potępia, a wręcz przeciwnie, zagubione owieczki mają szczególne miejsce u Pańskiego stołu. Po tych słowach do uszu Łempickiej dotarł głuchy

pomruk niezadowolenia, który przetoczył się przez kościół. Musiał to usłyszeć również proboszcz, bo zamilkł na krótką chwilę, a potem, wyraźnie kierując surowe spojrzenie ku tylnym ławkom, rzekł:

- Kto jest bez grzechu, niechaj pierwszy rzuci kamieniem.
- I cisza zapadła jak makiem zasiał, no bo kto jak kto, ale proboszcz dobrze znał grzechy i grzeszki swojej owczarni.

Ulga, jaką po słowach dobrodzieja poczuła Łempicka, towarzyszyła jej na cmentarzu. Niewiele osób się tam za rodziną pofatygowało. Jeno mieszkańcy kamienicy, kilka Haninych koleżanek z mleczarni, no i oczywiście Luśka. „Narieczony” też gdzieś przepadł zaraz po wyjściu z kościoła, co ogromnie uspokoiło Łempicką i pozwoliło jej powrócić do uroczystego przeżywania żalu. No, nic złego się już nie wydarzy. Nic się nie popsuje – myślała gorączkowo, stojąc obok pogrążonego w otępieniu męża. Nie wiedziała, że kilkaset metrów dalej, pomiędzy nagrobkami, w cieniu rozłożystego klonu stał wysoki mężczyzna o ryżych włosach. W dłoniach trzymał białe, mocno przywędłe kwiaty, a po ceglanych, upstrzonych rdzawymi piegami, policzkach płynęły mu łzy.

7.

- No niedobrze, bardzo niedobrze pani Łempicka. Na chłopaka trzeba wpłynąć i to natychmiast, bo jak nic na złą drogę schodzi. Nie dość wam kłopotu ze starszymi?

Po tych słowach proboszcz zrobił efektowną pauzę

i surowo spojrział na kobietę, która przycupnąwszy na krawędzi krzesła, od dłuższej już chwili siedziała przed nim z opuszczoną głową. Milczała, bo co też miała powiedzieć? Gniew księdza słuszny był bez dwóch zdań. I nikt na caluteńkim świecie, tak jak ona teraz, nie miał chyba większego pragnienia i potrzeby, żeby się pod ziemię zapaść. Wstyd palił jej policzki i wyciskał łzy z oczu. Tyle dobrego, tyle pomocy i łaskawości doświadczyli ze strony dobrodzieja... Choćby tylko z pogrzebem Hanki... A oni sami jak najgorsi niewdzięcznicy, jak jakoweś judaszowe plemię... Ale też po prawdzie, ile ona się nagadała, napłakała ile, na zmianę to prosiła, to groziła. I nawet stary, kiedy cokolwiek przetrzeźwiał, pasa nie żałował. Ale teraz to już dużo trudniej jest. Jasiek ma już prawie siedemnaście lat, wszystko lepiej wie i taki hardy się zrobił jak ongi Hanula.

- Chłopak u bierzmowania nie był, na religii nie pojawia się prawie wcale, w kościele go nie widuję. Ostatni raz to było... zaraz, zaraz... na Wielkanoc chyba. Nie, nie! Na pogrzebie Hanki to było... ale wtedy to wiadomo...

Proboszcz miał wielki dar wzbudzania w swojej owczarni poczucia winy. Nigdy swych zasług nie wyliczał wprost. Nie, to byłoby poniżej godności tak zacnego i wykształconego przecież człowieka. W zupełności zadowalał się drobnymi aluzjami wypowiedzianymi łagodnym, wprawnie modulowanym głosem, któremu zazwyczaj towarzyszyło to smutne, ale niepozbowione wyrzutu spojrzenie rzucone znad okularów. Działo. I jak jeszcze. Ten i ów osobnik, choć prosty i na zasadach moralnych nie za bardzo wyznający się, skręcał się

z poczucia winy i nagłej, nieodpartej potrzeby zadośćuczynienia samemu dobrodziejowi i Najświętszej Pani, rzecz jasna. Co twardsze egzemplarze proboszcz łamał gniewnymi sapnięciami i chwytnością za serce. Wachlarz stosowanych przez niego środków był naprawdę szeroki, a księdzu raczej nie zdarzało się pomylić w wyborze odpowiedniego. Dobrze znał się na ludziach i jak nikt inny poznał niemal wszystkie sekrety i słabości większości swoich parafian.

- Ale przecie był ministrantem i dobrodziej sam... nooo sam powiedzieli, że się nie za bardzo nadaje... - Łempicka podjęła ostatnią próbę ratowania godności rodziny, ale szybko zamilkła, widząc jak dłonie proboszcza bieleją, zacisnąwszy się nerwowo na blacie mahoniowego biurka. Na twarz księdza nie odważyła się spojrzeć.

Jeszcze trzy lata temu, wbrew złym językom, wierzyła, że z Jaśka będą jednak ludzie. I taka była dumna, kiedy zaczął do mszy służyć. Uszyła mu prześliczną, bielusińką komżę. Nikt nie miał takiej, nawet syn Krystiana Rąga, a przecież wiadomo, że pieniędzy to im zbywa. I Jasiek też się z początku cieszył, a jaki przejęty był! Często wtedy z nią rozmawiał. Wprost nie mogli się nagadać. Gestykulował przy tym żywo, kiedy opowiadał, jakie to ważne jest, żeby wszystko w dobrej kolejności spamiętać. A jakie to było skomplikowane! W głowie jej się nieraz od tych zasad kręciło. Mogła go jednak słuchać godzinami. I słuchała. O tym, że trzeba bardzo uważać, żeby być po przeciwnej stronie do mszału, ale tylko wtedy, kiedy się służy w pojedynkę. Jeśli ministrantów jest

więcej, to jakoś inaczej jest, ale ona już nie pamiętała jak. A kiedy się mszał przenosi, to Boże broń kłaść na niego palce! I klękać wolno tylko na najniższym schodku ołtarza. A to dzwonięcie? Nigdy wcześniej Łempicka nie zastanawiała się, co oznacza ta różna liczba dzwonek w czasie całej mszy. A teraz duma ją rozpieierała, kiedy mogła tak sąsiadkom i klientkom, niby to od niechcienia, opowiadać, że do *sanctus*, to musowo po dwakroć potrząsnąć dzwonekami trzy razy z rzędu, co insze do podniesienia - tu trzeba pojedynczo i z wolna, ale też trzy razy, a tylko po razie w czas komunii - na otwarciu i zamknięciu tabernakulum. Co to za piękne i tajemnicze słowo jest - tabernakulum.

Było też trochę kłopotu, bo Jasiek był leworęczny. „Mańkut” - krzyczeli za nim w szkole i na podwórzu. A przecież wiadomo, że ministrant, kiedy ma coś zrobić jedną ręką, to musowo prawą. I Jaśkowi było trochę trudno, ale to tylko z początku. W zasadzie to przywykł raz-dwa. Gorzej w szkole było, bo zeszyty i ręce ciągle atramentem umazane. Nieraz nie szło w ogóle rozczytać, co tam było napisane, dlatego też tych pał z polskiego miał co niemiara.

Próbowała Łempicka Jaśka naprostować, kiedy jeszcze maleńki był. Robiła zatem to, co nakazała jej Helgowa babka. A i inne w miasteczku, których się radziła, też przekonywały, że sposób jest dobry i skuteczny. Owijała więc chłopakowi lewą rękę na grubo szmatami z podartych prześcieradeł w taki sposób, żeby niczego nie mógł nią chwycić. Ale na niewiele się to zdało, bo Jasiek zamiast używać ręki prawej, zagarniał potrzebny przedmiot całym lewym ramieniem

i przyciskał do siebie. Co mniejsze rzeczy brał w usta. Oj, od maleńkości był uparty! Wtedy Łempicka zdała się na sposób i zaczęła mu tę lewą rękę wiązać z tyłu, na plecach. Ile to było łez, wrzasku i rozpacz! Nie było rady, serce jej krwawiło i w końcu się poddała. Chociaż teraz to czasem żałuje, bo dzieciak w szkole życia nijakiego nie miał. Rówieśnicy dla jego inności nie mieli ani zrozumienia, ani litości. Toteż nie dziwota, że Jasiek często puszczał pięści w ruch. A i dorośli nie byli wiele lepsi. Szydzili z chłopaka wielokrotnie, choć w taki sposób, że on bardziej to czuł, niż słyszał. Tak, każda ułomność, to jak Jezusowy krzyż jest i trza go nieść przez caluteńkie życie. – Łempicka zadumała się przez chwilę nad losem własnych dzieci, zapominając całkiem o pretensjach proboszcza.

Z natchnionego stanu brutalnie wyrwał ją odgłos opróżniania nosa. Ksiądz z dezaprobatą spoglądał na nią załzawionymi i nieco przekrwionymi oczami znad wielkiej kraciastej chusteczki, do której hałaśliwie wydmuchiwał spuchnięty nos. Znała tę chusteczkę. Wszystkie proboszczowe rzeczy dobrze pamiętała, bo też i prała je ze szczególną atencją. Żadnej plamki. Pilnowała, żeby były nakrochmalone tak w sam raz. Nie za dużo, żeby jegomościa nie uwierały, ale też nie za mało, żeby fason i kształt zachować idealny. No bo kto jak kto, ale ksiądz musi być wyględny! Zawsze, kiedy prała proboszczowe rzeczy, zamykała skrzętnie drzwi na korytarz, żeby nie słyszeć tej muzyki puszczonej przez dziewczęta z gramofonu. Czuła, że tak się nie godzi, że nie wypada słuchać frywolnych piosenek, kiedy się dotyka rzeczy

ziemskiego łącznika z Bogiem. Zawodziła wtedy nad balią kościelne piosenki, a zdarzało się nierzadko, że i kolędy śpiewała letnią porą. Stary wówczas, jeśli nie leżał w szopce pijany, patrzył na nią tak jakoś dziwnie, jakby z niesmakiem. I nie wiedziała, czy chodziło mu o niedopasowanie repertuaru czy lekko nieczyste śpiewanie, albowiem słuch miał nad wyraz wrażliwy na fałszowanie.

- Co do Jaśkowego ministrantowania, to wszyscy dobrze wiemy, jak to było... - Tu proboszcz zawiesił głos, patrząc wymownie na Łempicką.

Westchnęła ciężko i skinęła głową. Co racja, to racja. Bolało ją matczyne serce na te wypominki, ale słuszności proboszczowej decyzji nijak nie szło odmówić.

Zaczął się od piątkowych spowiedzi. W każdy pierwszy piątek miesiąca wszyscy ministranci obowiązkowo szli do spowiedzi i przystępowali do komunii świętej. Jasiek bardzo się denerwował przed każdą spowiedzią. Stojąc w kolejce do konfesjonału, po raz tysięczny grzebał w zakamarkach pamięci, próbując wywlec na wierzch wszystkie poważniejsze grzechy i mniejsze grzeszki. Powtarzał je w myślach jak mantrę: nie służyłem rodziców, przeklinałem, kłamałem, biłem się, nie odrobiłem lekcji, i tak w kółko. Pociły mu się dłonie, a oddech stawał się ciężki, świszczący i urywany. Przy słowach „więcej grzechów nie pamiętam (tu zawsze umieszczał fakt podkradania ojcu wisionki i regularnego podglądania harcujących na łące Luśki i Krystiana Rąga), pokornie za nie żałuję i obiecuję poprawę życia” czuł, że zdenerwowanie sięga zenitu i zmusza serce do szalonego

pląsu, którego obłąkany rytm wypływał z jego uszu jednym wielkim stukotem. Był pewien, że wszyscy wokół słyszą ten gorszący hałas dobywający się z jego ciała. Zastanawiał się, kiedy to sam jegomość wychyli się z konfesjonału i karcącym spojrzeniem wskaże jego, jako winowajcę.

Pierwsze, wypowiedziane drżącym szeptem w kratkę konfesjonału słowa, których końcowe sylaby zamierały w gardle niczym strwożone ptaki i ani myślały opuścić swoje schronienie, stopniowo przynosiły jednak ulgę i wracały Jaškowi przytomność. Ta z kolei pozwoliła mu, nie bez pewnego zawodu, zauważyć, że proboszcz jest... jakby znudzony! Niby to słuchał Jaškowych wynurzeń, ale co rusz wzdychał, wiercił się i przebierał palcami, wystukując paznokciami jakiś rytm o obite pluszem siedzisko. Jasiek szybko jednak uznał, że to nie jest możliwe, sam siebie przywołał do porządku i uciszył swoje wątpliwości.

Po skończonej spowiedzi Jasiek zawsze czuł niebywałą ulgę i lekkość, jakby go w powietrze unosiły setki, a nawet tysiące baloników. Matka tłumaczyła mu wtedy, że to dlatego, że duszę oczyścił. No bo z duszą to jest kubek w kubek jak z firanką. Wisi sobie taka długi czas i wcale po niej nie widać, że brudna. Może tylko, co uważniejsze oko dostrzeże, że poszarzała nieco i takiego blasku jak zaraz po praniu i krochmaleniu już nie ma. Wtedy należy firanę zdjąć i wprzódy zamoczyć w wodzie z mydlinami. Przez całą noc niech poleży w takiej kąpieli. Dopiero na drugi dzień po jej wyjęciu widać po wodzie, ile to brudu miała w sobie. I właśnie spowiedź święta, jak tłumaczyła matka, jest dla duszy tym,

czym owa nocna kąpiel dla firany. Bo ten brud osadzony na firanie, a potem pieczołowicie wypłukany, jest jak grzech obrastający duszę dzień po dniu. I co do tego Jasiek nie miał żadnych wątpliwości i wierzył matce bez dwóch zdań, ale jego radość z oczyszczenia duszy nigdy nie była kompletna. Długo się zastanawiał dlaczego? Skąd to uczucie niedosytu? Aż po kolejnej spowiedzi doznał olśnienia! Uwierał go i to mocno, za każdym razem coraz bardziej, brak zainteresowania spowiednika i jego kiepsko ukrywane znudzenie. Ale co z tym począć? A może jegomość jest rozczarowany pośledniością Jaśkowych grzechów? Albo i też słowa wypowiedane przez chłopaka są zbyt proste? No bo dobrodziej to nawet na co dzień, nie żeby tylko podczas mszy świętej, tak mówi, że często trudno wszystko od razu zrozumieć. A bywa i tak, że pojąć nijak się nie zdoła. Ale przecież Jasiek nie w ciemną bitą jest i wie, jak dorosłym sprawia się przyjemność. Czynił tak wielokrotnie zarówno w stosunku do rodziców, co akurat nie było dla niego żadnym wyzwaniem, jak i nauczycieli, co było jednak ciut trudniejsze, zwłaszcza z tą żoną od polskiego, która go szczerze nienawidziła. Zresztą z wzajemnością.

Matka zawsze przy łóżku trzymała modlitewnik. Mocno sfatygowany. Wytarte do białości rogi okładek pochyliły się ku sobie. Zasklepiły pod sobą poźółkłe, tu i ówdzie luźne stronice wymęczone wielokrotnym dotykiem; kartkowaniem tam i z powrotem, pocieraniem ważkich słów w modlitwach, wodzeniem poślinionym palcem po liniijkach pieśni nabożnych, postukiwaniem zbyt ostrym paznokciem w rachunek sumienia. Ojciec często się na nią zżymał, że mu to wcale nie pomaga.

Jasiek długo nie rozumiał tych słów, słyszanych niemal co noc przez ścianę. Pojął je dopiero wówczas, kiedy pierwszy raz Rąga z Lušką na łące zobaczył. Musiała jakaś świętość być w tej małej książeczce, jakaś moc, która ludzi od nieprzyzwoitości odwodziła. Zatem musi być też w niej i coś, co Jaškowi uwagę, a może nawet, kto wie, proboszczowe uznanie zjedną? Zaczął więc Jasiek uważnie studiować mszalik. Robił to ukradkiem, w tajemnicy przed matką, bo też nie był pewien jej reakcji. A może dopuszcza się jakiegoś świętokradztwa? Ale trudno było chłopakowi przedrzeć się przez te wszystkie dziwaczne słowa. Takich to i nawet dobrodziej nie używał nigdy! I dobrze! Jakże on jegomościowi teraz zaimponuje i nareszcie udowodni, że on jest więcej wart niż ta cała reszta w komzach. Pokaże, że proboszcz się nigdy na nim nie zawiedzie, bo on murem za nim jak za własnym ojcem. Niespodziewane wspomnienie Łempickiego, jego czerwonej nalanej twarzy i bełkotliwego głosu, nawet jego łez wielkich jak grochy, toczących się po obwisłych policzkach, kiedy rozprawiał o Polsce i patriotyzmie, przyprawiły Jaška o mdłości. Chciało mu się rzygać na wspomnienie jego pełnych, cuchnących portek, cieknącej z ust piany i tych wszystkich wielkich słów, którymi obdzielał ich często i sownie w swoim pijackim widzie. Gardził tym sukinsynem. Wielki mi bohater. Ale on, Jasiek, udowodni wszystkim, że nie będzie jak ojciec albo i nawet starsi bracia. Udowodni matce, światu, a najwięcej proboszczowi udowodni. I się zasłuży jak nikt inny. Tak będzie i już. Dlatego też wertował matczyne modlitewnik, kiedy tylko znalazła się ku temu okazja. Ale co jest ważne?

Nad czym trzeba się podwójnie skupić? Tego nie wiedział. Po jakimś czasie wpadł na pomysł, że wszystko, co dotyczy sakramentu pokuty musi być szczególnie ważne w Kościele. Tedy dlaczego mądry i dobry proboszcz jest znudzony, słuchając spowiedzi? No bo ludzie robią to najwyraźniej w niewłaściwy sposób. I już. Zawodzą jegomością i rozczarowują. Ale Jasiek już wie, jak sobie z tym poradzić. On własnego ojca w wierze nie zawiedzie, co to, to nie.

Dużo czasu zajęło Jaškowi nauczenie się na pamięć trzech wersji rachunku sumienia. Po polsku, niemiecku i po łacinie. Słowo w słowo. Starannie powtarzał je po tysiącokroć, żeby żadnego nie uronić, ani nie dać Panie Boże coś pomylić lub przekręcić. Kiedy pczuł się gotowy, z powagą i drżącym jak zawsze sercem ukląkł przy konfesjonale. Mówił pewniej i głośniej niż zwykle, jakby chciał, żeby ta kunsztowna wypowiedź trafiła nie tylko do proboszczowych uszu. Milczenie po drugiej stronie kratki uznał za aprobatę. Tym razem nie słyszał westchnień, stękania czy proboszczowego wiercenia się. Nareszcie! Dobrodziej słucha go z zapartym tchem i dusza mu się najpewniej raduje na to Jaškowe zaangażowanie i pilność! Kiedy Jasiek przeszedł do recytowania trzeciej, łacińskiej wersji rachunku sumienia, rozpierała go duma. Mówił coraz pewniej i głośniej. Oczyma duszy widział siebie stojącego tuż obok ambony, z której to dobrodziej, wskazując go zamaszystym gestem, stawia za wzór wszystkim zgromadzonym w świątyni. Rozmarzony, nie usłyszał skrzypnięcia drzwiczek konfesjonału. Nie zauważył nawet, że od dłuższej chwili wypowiedane przez niego słowa

trafiają w próżnię, bo ksiądz stoi tuż za nim. Jego uszy nie zarejestrowały tłumionego chichotu i szeptanych drwiących uwag. Oprzytomniał, kiedy poczuł jak żelazny uścisk chwytą go za kołnierz i ciągnie do góry. Nie rozumiejąc, co się dzieje, w pierwszej chwili kurczowo uchwycił się klęcznika. Na nic się to zdało. Proboszcz miał krzepę. Jednym szarpnięciem odkleszczył go od drewnianego uchwytu. Nie luzując ani przez chwilę zaciśniętej na jego karku pięści, powłókł nieszczęśnika przez calutki kościół wprost do wyjścia.

- Ja ci gówniarzu pokażę! Żeby sobie żarty stroić ze świętego przybytku i ze mnie! Co za świętokradztwo! Mało ci było chowania paten po zakrystii? - ksiądz nieszczęśliwie nawiązał do niedawnego incydentu, kiedy to Jasiek, chcąc być pewnym, że to właśnie jemu przypadnie zaszczyt towarzyszenia dobrodziejowi przy udzielaniu wiernym komunii świętej, ukrył wszystkie trzy pateny. Niestety, z przejęcia sam zapomniał, gdzie je wetknął, więc kiedy nadszedł kulminacyjny moment, proboszcz stał przed wiernymi sam, dzierżąc cyborium i miotając gniewne spojrzenia w kierunku ławki ministrantów. Po mszy ostro natarł im uszu, skutecznie łamiąc solidarność milczenia. Pozostali szybko wskazali Jaśka jako głównego winowajcę i sprawcę nieszczęścia. Ksiądz zakazał Jaškowi zbliżania się do paten i tabernakulum. Straszny to był cios dla chłopaka. Dla Starej Łempickiej zresztą też. Jasiek długo dochodził do siebie, a wymyślona wtedy koncepcja spowiedzi miała mu pomóc w odzyskaniu względów dobrodzieja. Na próżno.

- Precz z moich oczu! Nie waź mi się komży

przywdziewać i próbować do mszy służyć! Skończyło się! Zrozumiano?!

Czego miał Jasiek nie rozumieć? Pojął wszystko doskonale. Bezmiar upokorzenia, wstydu i zawodu w jego mniemaniu już na zawsze wykluczył go z kościelnej wspólnoty. Noga jego więcej tam nie postanie. W żadnej świątyni. Nigdy, przenigdy! A na dobrodzieju bardziej się zawiódł niż kiedykolwiek na rodzonym ojcu. Jak on mógł mu to zrobić? Przecież to wszystko było tylko dla niego. Jednak i wśród osób duchownych trafiają się judasze. Nikomu już nie zaufa. Nigdy!

8.

Zmierzchało się. Od żeliwnej kuchni płynęło rozleniwiające ciepło. Na ścianie miarowo tykał wielki zegar. Cichutkie trzaskanie pod fajerkami i szmer przesuwającej się wskazówki odmierzającej sekundy były jedynymi słyszalnymi teraz odgłosami w mieszkaniu. Jeszcze chwilę wcześniej ten dwugłos wzbogacony był o skrzypienie stalówki po papierze i ciężkie westchnienia. Klara oparła czoło o blat kuchennego stołu i przymknęła ciężkie powieki. Przed nią leżały rozłożone książki i zeszyty. Jedyne napoczęte równanie straszło koślawymi cyframi i niezliczoną ilością kleksów i kleksików dookoła. Była taka zmęczona. Prócz zadań z algebry trzeba jeszcze napisać wypracowanie, a czasu jest coraz mniej. Niebawem wróci matka, która zabrała bliźniaczki i poszła z jakąś ważną sprawą do Różyckiej, ale Klara wiedziała, że tak naprawdę poszła tam na plotki.

Aleksandry nie było w domu już od kilku ładnych miesięcy. Zdolniacha. Przyjęli ją do renomowanego liceum z internatem w oddalonym o kilkadziesiąt kilometrów mieście powiatowym. Matka długo się nie chciała zgodzić, żeby Ola zmieniała szkołę w jedenastej klasie. Bo to wiadomo, obcy ludzie i miasto, a i wydatki ogromne. Internat, dojazdy, obiady i te wszystkie głupoty, które nagle muszą mieć młode dziewczęta, kiedy wyfruwają z domu. Ale Ola dostała stypendium i matkę ubłagała. Teraz zadziera nosa, kiedy z rzadka przyjeżdża w odwiedziny. Taka niby światowa jest. Ale trzeba przyznać, że wyładniała. Jej lniane niegdyś włosy pociemniały wyraźnie, ale nie straciły swoich popielatych refleksów. Nie nosiła już grubego warkocza będącego przedmiotem szczególnej troski Eugenii. Zresztą o to obcięcie włosów była cała awantura. Matka zamarła, kiedy ją zobaczyła przekraczającą próg pierwszy raz po dłuższej nieobecności w domu. Włosy, obcięte do linii brody, miała mocno natapirowane z tyłu i na czubku głowy. Końcówki wywinięte na zewnątrz, a nad czołem szeroka opaska z czarnej wstążki. Całość sztywna od lakieru. Klara też zaniemówiła, ale z zachwyty. Ona mogła jedynie pomarzyć o takiej super modnej fryzurce, którą nieraz widziała w gazetach zostawianych u Łempickiej przez klientki. Zawsze wtedy sobie wyobrażała, jak by to było być taką zgrabną, długonogą panią w tych wszystkich pięknych sukienkach i płaszczkach, z takimi cudnymi włosami. Na pewno nie musiałyby wtedy rozwiązywać tych strasznych równań z arytmetyki ani doić krowy o świcie i wieczorną porą. Jeszcze czego! Krowy! Te panie na pewno pięknie pachną

i myślą, że mleko bierze się ze sklepowych póltek.

Klara pamiętała, że Matka po chwili osłupienia zaczęła okropnie krzyczeć i tłuc garnkami na kuchni. Straszne to były słowa, które chyba pierwszy raz w życiu skierowane zostały do najstarszej córki. Różnej maści wywłoki i ladacznice. Ola bardzo poczerwieniała na twarzy, wybuchła płaczem i schroniła się w pokoju. Matce wnet przeszło i zaczęła do pierworodnej zagadywać, jakby nic się nie stało. Przykro było patrzeć, jak się do córki łąsiła. Ale przeprosić nie przeprosiła, bo kto to widział, żeby dorosły, w dodatku rodzic, smarkulę przepraszał. Po Aleksandrze wyraźnie znać było, że słowa Matki sprawiły jej dużą przykrość. Przy obiedzie siedziała milcząca i wyniośle wyprostowana, choć łaskawie pozwoliła się Matce adorować. Po tej historii Eugenia już nigdy niczego u Oli nie skrytykowała. Przeciwnie, wyglądała niecierpliwie każdego jej przyjazdu, a potem niemal nabożnie chłonęła jej widok i każde wypowiedziane słowo.

- Znowu usnęłaś, zamiast lekcje robić? - Surowy głos rodzicielki wyrwał Klarę z kojącego zmysły stanu zawieszenia pomiędzy snem a jawą. - Jak tam sobie chcesz, profesorem i tak nie zostaniesz. Może to i lepiej. Jak cię wyrzucą z wieczorówki, więcej mi przy domu pomożesz. A teraz zbieraj się. Trzeba iść do Rągowej stodoły, krowę wydoić. Lekcje dokończysz później.

Kiedy później, jak już prawie noc? - przemknęło Klarze przez głowę, ale nie odważyła się wypowiedzieć na głos swego żalu. Posłusznie wstała, zgarnęła z kuchennego blatu książki i zeszyty i przeszła do sieni, żeby się ubrać.

- Zimno jest, weź moją chustę. A i nie zapomnij Rągowej pozdrowić! - dobiegły ją jeszcze z kuchni słowa Matki.

Włożyła walonki, watowaną kurtkę i okutała się wełnianą, obszerną chustą Eugenii. Na ramie starego roweru, na haczyku powiesiła kanę na mleko. Blaszane, emaliowane na biało wiadro z włożoną do środka gazą przewiesiła przez kierownicę. Tak wyposażona ruszyła sprzed domu, pchając rower w stronę stodoły, w której dzięki życzliwości starej Rągowej, Matka trzymała ich krowę. Była przyzwyczajona do chodzenia po zmroku. Oczy szybko zaczęły odróżniać kształty w ciemnościach. Rześkie, mroźne powietrze przegoniło szybko resztki senności, choć ból i znużenie mięśni pozostały. Nie szła zatem szybko, raczej ospale, starając się wygrzebać w głowie jakieś myśli, którymi mogłaby zaprzątnąć swoją uwagę przez najbliższe dwie godziny. Drogę znała na pamięć. Nogi niosły ją same, nie angażując głowy w wynajdywanie punktów orientacyjnych. Koniec chodnika zasygnalizował bliskie już rogatki miasta. Trzeba iść jeszcze kilkaset metrów brzegiem szosy, potem skręcić w prawo, w polną drogę pnącą się na wzgórze, na którym stał dom Rągów. Przy nim obora, dwa chlewy i nieco dalej stodoła. U Rągów wszystko było jakby większe i liczniejsze. Budynki, pola, inwentarz i maszyny rolnicze. Ogromny dom imponował ilością oraz wielkością suto teraz oświetlonych okien. Nikt w miasteczku nie umiał do końca powiedzieć, ile tam może być izb. Wiadomo było, że każde z dzieci miało wydzielone mieszkanie z osobnym wejściem. Największe oczywiście miał Krystian i to u niego, w najmniejszej izbie, mieszkali starzy Rągowie.

Wepchnąwszy rower na wzgórze, Klara przystanąła, żeby nabrać oddechu i rozejrzeć się uważnie. Przezornie ukryła się za rozłożystą, zdziczałą jabłonią, którą przed ścięciem ochronił fakt, że nie było nikomu wiadomym, czy znajduje się jeszcze na terenie gminy czy już na Rągowej ziemi. Wiosną jabłoń okrywała się gęstwiną soczyście zielonych liści i lichym, bladoróżowym kwieciem. W skwarne lata dawała dużo cienia, a wczesną jesienią rodziła małe, zielone i często robaczywe owoce zwane powszechnie psiunami. Niewiele tego było, ale Krystian co roku kazał dzieciom wybierać jabłka co do jednego i wrzucić wszystkie do przerdzewiałego kotła stojącego przy wrotach od stodoły.

Kiedy Krystian dokupił trzeciego konia – bardziej paradnego, do bryczki i do siodła – najął robotników do powiększenia stodoły. A że miał chłop rozmach we wszystkim, co robił w gospodarstwie, stodoła urosła prawie drugie tyle. I tak oto znalazło się ciut miejsca obok Rągowych koni dla krowy Eugenii, bo obora to już im w szwach pękała. Nie za darmo oczywiście. Na takie marnotrawstwo Krystian nie pozwoliłby nigdy, ale w końcu, ulegając prośbom matki, zgodził się zamienić czynsz na robociznę. Posyłała zatem Eugenia Klarę do Rągów nader często, a to na przerywanie buraków, a to wykopki, grabienie siana czy też zwykłe plewienie zielska. Sama też przychodziła, bo miejsce dla krowy trzeba było trzymać także wiosną i latem, choć krasula wtedy była na pastwisku.

- Niedoczekanie wasze. Nigdzie zachodzić nie będę i nikomu się kłaniać! - mamrotała pod nosem Klara,

obserwując zza drzewa budynki gospodarstwa. Nie żeby nie lubiła czy też nie szanowała starej Rągowej. Nie można powiedzieć, że była to kobieta i Klarze przychylna. Ale nie mogła ryzykować spotkania z Rągówną, najstarszą córką Krystiana, z którą chodziła do jednej klasy i którą w myślach nazywała „zasraną dziedziczką”. Wiedziała, że gdyby tylko zajrzała do starej Rągowej, nazajutrz cała klasa znowu miałaby z niej ubaw, że na żebry do Rągówny przyszła.

Było to nie lada wyzwanie. Z obciążonym rowerem przemknąć niezauważenie do bocznych drzwi stodoły, w świetle latarki nagarnąć krowie siana i dać jej świeżej wody. I podczas gdy krasula będzie sobie przeżuwać kolację, wydoić ją, a mleko przelać z wiadra do kany, której otwór wlotowy najpierw trzeba porządnie owinąć gazą. Drugie precedzanie mleka robiła w domu Matka. Eugenia bardzo tego pilnowała i zawsze poznała, czy mleko było „czyszczone” tuż po dojeniu, czy też transportowane do domu z brudem stodoły. Klara wiedziała, że lepiej nie ryzykować gniewu Matki.

W obejściu nie było widać nikogo. Dziewczyna opuściła kryjówkę i niemal wstrzymując oddech, najciszej jak mogła, szybko pchała rower, szerokim łukiem omijając chlew i oborę. Ta część stodoły, przeznaczona dla koni, była solidnie ocieplona i podzielona na przestronne boksy. Nad nimi znajdował się półotwarty stryszek, na którym składowano siano. Miejsce przeznaczone na pokarm dla ich krasuli było oddzielone od reszty prowizoryczną ścianką z krzywo zbitych desek. Klara oparła rower o ścianę, wyciągnęła skobel ryglujący drzwi i obciążona bańką i wiadrem, weszła do

środku. W nozdrza uderzył ją znajomy odór zwierzęcego łajna i parującej sierści. Postanowiła nie zapalać wiszącej u powały żarówki. Nie chciała, żeby ktoś z domowników zobaczył światło w stodole i przyszedł sprawdzić, co się dzieje. Zawsze przychodzili, chociaż dobrze wiedzieli, że o tej porze może to być tylko ona lub Eugenia. Najczęściej Krystian posyłał do stodoły swoją żonę albo któreś z dzieci. Pod pretekstem zwykłej pogawędki stali tam i pilnowali, czy aby nie dają krasuli ich siana albo i tych psiunów trzymanyh w kotle. Eugenii to chyba nie przeszkadzało, ale Klara nie cierpiała tego. Robiła się czerwona na twarzy ze wstydu, zażenowania i wściekłości. Szarpała wtedy gwałtowniej strzyki krasuli, na co tamta odpowiadała pomrukami niezadowolenia.

Wyciągnęła z za pazuchy starą, masywną latarkę i przy jej pomocy znalazła drabinę. Ciężka była ogromnie, ale i Klara, mimo piętnastu lat, nie była wątła. Znojna praca fizyczna, którą wykonywała od najmłodszych lat, zrobiła z niej krzepką i zręczną istotę. Właściwie to ona wykonywała teraz w domu wszystkie męskie prace. Nauczyła się nawet powozić końmi, wprowadzając tym w osłupienie niejednego gospodarza. Teraz przestawiła drabinę i sprawnie wspięła się na wydzieloną im część stryszku. Nagarnęła porządne naręcze siana i zrzuciła je celnie wprost pod pysk krasuli. Drabina musiała wrócić na swoje miejsce. Na ścianie, po lewej stronie od drzwi, znajdował się kranik. Duma Krystiana, który jako pierwszy w gminie, pociągnął wodę ze studni do pomieszczeń gospodarczych. Klara szybko napełniła wiadro i weszła do boksu krowy. Trzymając latarkę pod brodą, przelała wodę do

koryta i zlustrowała podściółkę. Trzeba będzie niedługo wymienić - zmartwiła się. Przycupnęła na małym zydelku, specjalnie w tym celu trzymanym w boksie, zaczepiła latarkę o guzik waciaka i zaczęła dojenie. Regularny szum wstrzykiwanego do emaliowanego wiadra mleka odprężył ją i wprowadził w zadumę.

Co to będzie, jeśli rzeczywiście wyrzucą ją z wieczorówki? Już przecież powtarzała siódmą klasę i dalej nie szło jej najlepiej. Najgorzej z matematyką, bo polski bardzo lubiła. Z napisanych wypracowań nigdy nie dostała gorszej oceny niż czwórka. Ale też i dwój było sporo za brak pracy domowej czy nieprzeczytanie lektury. Wszystko przez brak czasu i to ciągle zmęczenie. Za to wiersze zapamiętywała bez problemu. Jakąś taką głowę miała do tego. Wystarczyło przeczytać coś dwa, trzy razy, a słowa same układały się w całe wersy, które często mruczała pod nosem, żeby dodać sobie otuchy, gdy chodziła po zmroku. To prawda, nie przepadała za szkołą, ale też było to jedyne miejsce, gdzie mogła bezkarnie przesiedzieć kilka godzin. W domu wiecznie było coś do zrobienia i tylko Oli wolno było odgrodzić się książką od wiecznego niezadowolenia Matki. A jeśli uda jej się przebrnąć przez siódmą klasę, to czy Matka pozwoli uczyć się dalej? Nie, nie marzyła o liceum. To było poza jej zasięgiem, ale może szkoła gastronomiczna albo fryzjerska? Cokolwiek, byle tylko wyrwać się z tego kieratu.

Niewesołe myśli bez reszty pochłonęły uwagę Klary. Szum mleka i pomrukiwanie krasuli zagłuszyły inne dźwięki. Dziewczyna nie usłyszała posapywania i ciężkich,

niezgrabnych kroków opuszczających się po drabinie. Nie zauważyła, że od dłuższej chwili ktoś się jej natrętnie przygląda.

Krystian Rąg ocknął się na stryszku, kiedy usłyszał szurgot przesuwanej drabiny. Dłuższą chwilę zajęło mu uświadomienie sobie, gdzie się znajduje i co tu robi. W garści trzymał ciągle blaszaną kwartę. I choć naczynie było puste, bijąca odeń ostra woń nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do charakteru wypitego płynu. Bimber. Ma moc skurczybyk - nie bez satysfakcji pomyślał Rąg. Łupało go trochę w głowie, a plecy miał obolałe, bo przysnął na grabiach rzuconych onegdaj na stertę siana i całkiem zapomnianych. Wyszarpnął drewno spod siebie i zaczął rozmasowywać krzyż. Powoli wracająca świadomość wypełniła mu głowę obrazami minionego dnia. „Durne babsko, niech ją...” - bezgłośnie zmełł w ustach przekleństwo.

Przypomniał mu się gniew, jaki go ogarnął, kiedy Luśka nie przyszła na umówione spotkanie, przez co zmarnował całe pół godziny, czekając na nią w opustoszałej i zrujnowanej cegielni tuż za miasteczkiem. Co tam pół godziny! Tego dnia tak mu się chciało ruchać, że cholera jasna go brała i na niczym nie szło się skupić. O żadnej robocie nie mogło być mowy. Wściekły, postanowił udać się do knajpy i dać dziewczce lekcję pokory. A niech tam, nawet i przy ludziach. Szedł przez miasteczko, sadząc długie kroki i burkliwie odpowiadając na pozdrowienia mijanych mieszkańców. Wszyscy przezornie ustępowali mu z drogi. W drzwiach knajpy władczo odepchnął chwiejącego się Czechowiaka.

- O sso chodzi szeffie? - czknął niziutki mężczyzna, ale zaraz skulił się w sobie i cofnął dwa kroki, rozpoznając, z kim ma do czynienia.

Rąg nie zwrócił nawet na niego uwagi. Trzema susami dopadł kontuaru, za którym królowała rozłożysta Różycka.

- Gdzie ta suka jest?! - wysyczał w twarz bufetowej.

Różycka nawet nie drgnęła. Zmierzyła Rąga długim, chłodnym spojrzeniem, z kieszonki fartucha wyjęła nienagannie białą, batystową chusteczkę i niespiesznie starła ze swojej twarzy, a potem z kontuaru, kropelki Krystianowej śliny.

- Podać coś? - Z uprzejmym tonem głosu kobiety kontrastował wyraz jej szarych, teraz stalowo chłodnych oczu. Patrzyły zimno i pogardliwie.

Rągowi wróciła przytomność. Nagle poczuł się bardzo nieswojo i jakoś tak głupio pod ciężarem tego spojrzenia. Rozejrzał się niepewnie po sali wypełnionej w jednej trzeciej wczesnymi klientami. Było cicho jak w kościele, a oczy większości obecnych uporczywie szukały czegoś na blatach stolików. Tylko nieliczni mieli dość odwagi, by z wielkim przejęciem obserwować niecodzienną i jakże osobliwą scenkę.

- Pytałem, gdzie jest Luśka?! - Krystian cofnął gwałtownie swoją czerwoną z gniewu twarz i znacznie zniżył głos. Bez wątpienia była w Różyckiej jakaś niepojęta władczość i majestat, które nawet jemu, samemu Krystianowi Rągowi, nakazywały okazanie kobiecie szacunku. Teraz prawie szeptał.

- Pani Różycka, o Luśkę mi się rozchodzi, bo miała u mnie dzisiaj przy krowach robić, a się nie pokazała. - Mówiąc to, dwumetrowy bezmała chłop spuścił szybko wzrok, nie mogąc wytrzymać ironicznego spojrzenia bufetowej.

- Chora jest i do ciotki na wieś pojechała. - W głosie Różyckiej brzęczała stal i trzaskał lód. - Nie wiem, kiedy będzie nazad, pewnie nieprędko. Podać coś? - Powtórzonym pytaniem kobieta dała do zrozumienia, że uznaje rozmowę za zakończoną, i nie czekając na odpowiedź Rąga, odwróciła się i zniknęła na zapleczu.

- To niech jej powie, że roboty u mnie nijakiej już nie znajdzie! - Zebrawszy się na odwagę, Krystian Rąg wykrzyczał te słowa w kierunku pleców bufetowej. Przełknął ślinę i odwrócił się w stronę sali. Właściwa mu buta wróciła błyskawicznie. Omiótł wzrokiem nielicznych nieszczęśników, którzy nie zdążyli odwrócić na czas spojrzeń, a jego zwięzione w szparki oczy zdawały się grozić. Wyszedł tak, jak wszedł, wyprostowany, sadząc długie kroki, nie spoglądając już na nikogo.

Nie ma rady, trza pójść do Malwiny - rozważał gniewnie wszystkie możliwości, wracając do domu. Nie będzie to łatwe, bo odkąd ludzie w miasteczku zaczęli gadać, jego stara i matka zaczęły mu się baczniej przyglądać, a każde sam na sam z siostrą zaraz było zakłócanie przez któregoś z domowników. Doszło do tego, że matka całkiem się ze spaniem przeniosła do Malwinowej części domu, tłumacząc to potrzebą opieki w nocy i odpoczynku od ojcowskiego chrapania.

Malwina była u siebie. Stał dłuższą chwilę w progu, podziwiając ten widok. Siostra nachylała się nad kuchnią, mieszając coś w skupieniu. Sądząc po zapachu, był to bigos. Na wielkiej patelni skwierczały mielone. Pewnie obiad dla ludzi pracujących przy wykopkach. Z przyjemnością patrzył na jej mocne, choć szczupłe plecy opięte kusą i spraną białą bluzką, której górnych guzików nie dawało się już dopiąć. Nie miała na sobie stanika. Przy każdym ruchu drewnianą chochłą z dekoltu wyskakiwały niesforne, pełne piersi. Upięte wysoko włosy odsłaniały niezbyt smukły kark, zaróżowiony od gorąca gotowanych potraw. Była Rągówną z krwi i kości. Obfita i dorodna jak wszystko tutaj.

Jak to dobrze, żem pognał tego darmozjada – pomyślał nieprzychylnie o jej mężu. – Z takim to poszłaby dziewczucha na zmarnowanie, a i jeszcze trzeba by majątek dzielić. A tak, my tu sobie wszystko razem pomału poukładamy. Znajdę jej kogo, byle nie takiego łajdusa. Ale to się nie pali, młoda jest, ma czas. A jak będzie okazja, to się i jakie unieważnienie ślubu załatwi i po sprawie. Nie takie rzeczy się przecie załatwiało.

Trzema susami pokonał odległość od drzwi wejściowych do kuchni i ciasno przywarł lędźwiami do bioder siostry. Jednym ramieniem opasał ją na wysokości klatki piersiowej, wypełniając lewą dłoń jej rozgrzaną pierś. Prawą rękę wsunął zręcznie pod spódnicę. Malwina znieruchomiała, jej mięśnie napięły się i zeszywniały. Nie broniła się. Dłoń Krystiana bez przeszkód dotarła do jej obficie owłosionego, wilgotniejszego łona. Nie nosiła majtek. Stała tak wyprężona, na szeroko rozstawionych nogach, pozwalając palcom brata

wnikać w siebie coraz głębiej. Jej sutki nabrzmiały, stając się teraz doskonale widoczne pod cienkim płótnem koszuli. Krystian masował je zręcznie koniuszkami palców. Dawno nie miała mężczyzny, a jej najstarszy brat umiał dogodzić każdej. Przekonała się o tym dawno temu.

- Matka mnie wysłała, żeby zobaczyć, co z obiadem dla robotników. - Głos starego Rąga wdarł się w pełną erotycznego napięcia ciszę jak kościelny dzwon w senność niedzielного poranka. Malwina szarpnęła się, ale Krystian przytrzymał ją przy sobie. Błyskawicznie wyciągnął dłoń spod jej spódnicy i spokojnie pogłaskał po głowie.

- Niepotrzebnie się ojciec fatygowali, ja sam wszystkiego doglądam. - Krystian odwrócił się ku ojcu i utkwiał w jego twarzy ciężkie, zimne spojrzenie.

Stary nie wytrzymał napięcia i spuścił wzrok, badając teraz każdy centymetr idealnie wyszorowanej podłogi.

- Kotlety już doszły, zaraz nakroję chleba i zaniosę na pole. - Malwina nie miała odwagi odwrócić się do ojca. Nerwowo zamieszała bigos, zbytnio pochylając się nad garnkiem. Gorąca para buchnęła jej w twarz, wyciskając z oczu łzy. Ukryła poczerwieniałą twarz w ścierce, szybko jednak doszła do siebie. - Dać też wódki? Bo pewnie zimno strasznie.

Stary Rąg spojrzał pytająco na syna. Krystian pokiwał w odpowiedzi głową:

- Bimbru. Ale nie za dużo, bo się pochleją i roboty nijakiej nie będzie.

- To ja ci córuś pomogę to zatargać na pole.

Zirytowany obecnością ojca, który uparcie tkwił w kuchennych drzwiach wsparty na swojej sękatej lasce, Krystian szybko opuścił mieszkanie Malwiny i skierował się do stodoły.

- Niech ich wszystkich jasny szlag. Zmówili się czy co? - Nie mając żadnych widoków na rozładowanie napięcia seksualnego, postanowił napić się bimbru, którego całą beczkę trzymał w stodole. Pierwszą i drugą kwartę wypił duszkiem, stojąc przy beczce. Z trzecią udał się na stryszek i wygodnie umościł na sianie. Błogie ciepło rozlało się po całym ciele, rozluźniając napięte mięśnie. Ogarnęła go senność.

Niby niebrzydka, ale jakieś to takie chude i niepozorne. Cycków nie widać, kuperek całkiem płaski. - Przyglądając się bez ogródek Klarze dojącej krowę w świetle latarki, Krystian masował przyrodzenie. - Co tam, nada się na ten jeden raz. Nie zniósłby trzeciej porażki w ciągu jednego dnia.

Jego uporczywe spojrzenie ściągnęło w końcu wzrok Klary. Zobaczyła ciemną zwalistą sylwetkę majaczącą na tle jaśniejszego wyjścia z boksu. Przerażona, poderwała się z zydelka, rozchlapując mleko z wiadra. Spłoszona krowa zaryczała i machnęła nerwowo ogonem.

- Spokojnie mała. Przyszedłem zobaczyć, czy wszystko w porządku, bo zobaczyłem światło w stodole. Nie bój się. Przelej mleko do kany, to ci pomogę wynieść na zewnątrz. - Zasypał ją uspokajającymi słowami i przyjaźnie pokiwał ręką.

Trzęsącymi się ze zdenerwowania rękoma Klara chwyciła wiadro i wlała mleko w owinięty gazą otwór kany. Zbyt szybko przelewany płyn pienił się na gazie, utrudniając spływanie do wnętrza bańki. Wyciekał na boki. Matka będzie wściekła. – Myśl o złości rodzicielki pozwoliła Klarze zapomnieć na chwilę o strachu, jaki zawsze czuła w obecności Krystiana Rąga. Uspokoila się na tyle, żeby nie uронić więcej mleka i sprawnie zamknąć kanę.

Krystian schylił się, bez najmniejszego trudu podniósł bańkę i ruszył do bocznego wyjścia stodoły, przy którym, niewidoczny od strony domu, stał rower Klary. Dziewczyna odetchnęła z ulgą, odstawiła zydę, poklepała krasulę i trzymając w jednej ręce latarkę, a w drugiej wiadro, posłusznie ruszyła za Rągiem. Zatrzymała się za drzwiczkami boksu, odstawiła wiadro i światłem latarki zaczęła szukać na klepisku kłódki. Ciagle zapominała, żeby po otwarciu drzwiczek zostawiać rozpiętą kłódkę w skoblu. Wreszcie natknęła się na zardzewiałe żelazo, podniosła je i z niemałym wysiłkiem zawiesiła na skoblu. Nie zamykały jej nigdy na klucz w obawie, że w razie pożaru nikt nie zdoła uwolnić krowy. Kiedy schylała się po wiadro ponownie, poczuła za plecami obecność Rąga. Odwróciła się błyskawicznie, kurczowo trzymając przed sobą blaszane naczynie. Krystian zbliżył swoją nalaną czeroną gębę do jej twarzy, wypełniając jej panicznie pulsujące nozdrza smrodem przetrawionego bibmbru. Wiedziała, że jest w pułapce.

9.

Zaczął się niecierpliwić. Było naprawdę zimno. Skostniały mu ręce i zdrętwiały nogi od siedzenia w bezruchu pośród gałęzi jabłunki. Nie miał zegarka, ale wiedział, że upłynęło już sporo czasu. Więcej niż zwykle. Nigdy to aż tyle nie trwało. Wiedział, że bardzo nie lubiła tu przychodzić i zawsze bardzo spieszyła się z dojeniem. Coś się musiało stać. Wahał się jeszcze jakąś chwilę. Nie chciał zdradzić swojego sekretu, ale niepokój był silniejszy.

Jasiek zgrabnie zeskoczył z jabłunki, ale pozbawione czucia nogi ugięły się pod nim i musiał zamortyzować upadek rękoma, żeby nie upaść na twarz. Zamarznięte błoto przyjęło nieprzyjaźnie jego dłonie i kolana, zdzierając naskórek do krwi. Syknął z bólu. Energicznie wytarł zmieszana z błotem krew w nogawki kusych, spranych spodni. Matka będzie wściekła. – Szybko odpędził tę myśl i z wprawą podkraśli się do bocznych drzwi stodoły. Rower Klary stał dalej oparty o ścianę. Tuż obok bańka z mlekiem. Dziewczyny ani śladu.

Może czego zapomniała albo jeszcze daje wody czy siana krasuli? – zastanawiał się, choć wiedział, że wszystkie te czynności wykonuje się przed dojeniem. Zajrzał ostrożnie przez małe, brudne okienko do wnętrza stodoły. Nic nie było widać. Splunął na szybę i kilkakrotnie potarł jej chropowatą powierzchnię rękawem kurtki. Teraz było ciut lepiej. Zobaczył słaby, ale nieruchomy blask latarki. Światło biegło od klepiska ku powale stodoły, a przecież powinno być w ruchu, jak zawsze. Wiedział, że Klara przy dojeniu i doglądaniu krowy wiesza latarkę na guziku waciaka. Siedząc na jabłonce, mógł

z łatwością obserwować odwzorowujący ruchy dziewczyny promień światła, dobrze widoczny w okienku stodoły. A teraz światełko było jakby martwe. Jego zaniepokojenie wzrosło. Nawet, jeśli odłożyła latarkę na klepisko, nie powinno to przecież trwać aż tak dugo! – Jeszcze przez chwilę bił się z myślami, a potem ostrożnie wszedł do środka.

Od razu zorientował się, że dzieje się coś złego. Niczego nie zobaczył, ale jego uszy pochwyciły odgłosy walki. Ktoś strasznie dyszał, sapał, pojękiwał i się szamotał. Jasiek zmartwiał w pierwszej chwili, a krew odpłynęła mu do stóp. Co tak stoisz niedojdo?! – zganił się w myślach. Tknięty złowrogim przecuciem, skierował się w stronę boksu, skąd dobiegały dźwięki. Przyzwyczajone do mroku oczy szybko rozróżniły dwa ciemniejsze kształty leżące na słomie. Krystian Rąg swoim zwalistym ciałem przygniatał szamoczącą się, ale już wyraźnie słabnącą Klarę. Wielkim łapskiem zasłaniał jej usta, drugą ręką szarpał zamek u spodni. Klara miała obnażone pośladki, zsunięte do połowy ud rajtuzy, a jej majtki były w strzępach.

- Ty jebany skurwysynu! Zabiję cię bydlaku! – Jasiek, niewiele myśląc, z całej siły kopnął Rąga najpierw w plecy, a potem w głowę. Raz, drugi i trzeci.

Z ucha napastnika popłynęła krew. Oszołomiony, puścił Klarę i osłonił głowę rękami. Jasiek wiedział, że w bezpośrednim starciu z tym wielkim chłopem nie ma żadnych szans. Chwycił półprzytomną z przerażenia Klarę za ręce i wywlókł z boksu. Błyskawicznie postawił ją na nogi i potrząsnął za ramiona.

- Uciekaj! No, ruszaj się!

Patrzył jeszcze chwilę za biegnącą do wyjścia dziewczyną, kiedy kątem oka spostrzegł opartą o ściankę boks solidną szufłę służącą do wygarniania krowiego łajna. Chwycił masywny drążek narzędzia i tak uzbrojony ponownie wszedł do boks.

Rąg przytomniał. Teraz już nie leżał, ale siedział na słomie. Ręce, ciągle obejmujące głowę, starały się zatamować krew płynącą z ucha. Twarz wykrzywił mu skurcz wściekłości, kiedy zobaczył w drzwiach boks Jaśka. Z wielkim wysiłkiem starał się dźwignąć z klepiska. Znieruchomiał na chwilę, kiedy spostrzegł w ręce chłopaka szufłę.

- Ani mi się waż, gówniarzu... - nie dokończył. Łopata wylądowała z impetem na jego klatce piersiowej, łamiąc mu żebra i porażając splot słoneczny. Runął na plecy, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Miał uczucie, że za chwilę się udusi. Płytki, rżący oddech sprawiał mu niewyobrażalny ból. Oczy zaszyły mgłą i popłynęły z nich dwie strużki łez.

Zwycięski Jasiek stanął nad nim i z pogardą i nienawiścią przyglądał się Wielkiemu Krystianowi, jak go ludzie nazywali w miasteczku. Nie był już wielki i groźny. Wydał się teraz Jaškowi żaloszny. Jest zupełnie jak ryba wyrzucona na piasek - pomyślał, a potem kopnął Rąga z całej siły w krocze. Jęk, który wydostał się z gardła chłopca, upewnił go, że tamten wciąż żyje.

- Dalej lubisz małe dziewczynki, ty chuju? - Jasiek splunął na Rąga i nieśpiesznie wyszedł ze stodoły.

Za drzwiami nie było ani Klary, ani roweru. Pomimo szoku

i bólu, dziewczyna najwyraźniej załadowała bańkę z mlekiem na rower i wróciła do domu. Jasiek dobrze znał jej lęk przed gniewem Eugenii. Wiedział, że na pewno nic matce nie powie o tym, co spotkało ją w stodole Rąga. Eugenia albo nie uwierzy i dziewczynę skrzyczy za wymyślanie bzdur, albo zlekceważy, mówiąc, że sama sobie winna. No bo co z tym począć? Narazić się takim potężnym i wpływowym Rągom i donieść na Krystiana na milicję? Przecież i tak mu nic nie zrobią, a one tylko na tym stracą. Co do tego Jasiek nie miał najmniejszych wątpliwości. Klara będzie milczała jak grób. Strasznie mu się jakoś żal zrobiło dziewczyny i coś go ścisnęło w piersiach. Przyśpieszył kroku. Może jeszcze ją dogoni.

Dopał ją w ostatniej chwili, kiedy mijała szopkę jego ojca. Stary Łempicki od śmierci Hanki spypiał wyłącznie w mieszkaniu, więc w szopce nie było nikogo. Jasiek delikatnie, ale stanowczo odebrał dziewczynie rower i oparł go o ścianę drewnianej budy. Bez słowa wziął ją za rękę i pociągnął w stronę szopki. Przewleczona przez skobel kłódka nie była zamknięta. Klara nie protestowała, w milczeniu weszli do pachnącego nieheblowanym drewnem, uryną i alkoholem pomieszczenia. Zdjął kurtkę i narzucił ją na ramiona dziewczyny. Cała dygotała. Czuł napiętą czujność jej ciała, kiedy ją delikatnie objął i przygarnął do siebie. W milczeniu gładził jej włosy. Po chwili jej sztywność zelżała, a Jasiek poczuł na piersiach, jak jego koszula nasiąka ciepłymi łzami.

ROZDZIAŁ TRZECI:

Nowe życie (1965-1966)

1.

- Różycka mnie zabije, jeśli zaraz nie wrócę. - Klara niecierpliwie kręciła się na krześle, za co zaraz oberwała grzebieniem od Kryśki Czechowianki.

- Siedź prosto, bo będziesz miała placek na głowie, a nie Brigitte. - Kryśka cmokała z niezadowoleniem i ciężko wzdychała, próbując nadać cienkim włosom Klary kształt charakterystycznej bombki. Tapirowaniu i lakierowaniu nie było końca. W końcu jednak nieruchomy hełm na głowie dziewczyny był gotowy. - Jutro możesz przynieść mi te swoje peruki, to ci je uczeszę.

- Przecież jutro Nowy Rok? - Klara popatrzyła z troską na przyjaciółkę. - Obiecałaś, że wpadniesz do knajpy dziś wieczór? Ja też będę sama.

- Ty to co innego. Ty tam będziesz w pracy, a ja nie muszę kątów wycierać i ludziom się pchać na języki. - Kryśka spaşowiała na twarzy i odwróciła głowę, unikając spojrzenia

odbitych w lustrze wielkich brązowych oczu.

- Ale przecież mówiłaś, że tak naprawdę go nie kochasz i cię denerwuje to jego „rrr”? - Klara, w poczuciu solidarności z przyjaciółką, mściwie zawibrowała dłużej niż wymagało tego zademonstrowanie wady wymowy Norberta. - W sumie to dobrze, że go zostawiłaś, znajdziesz sobie kogoś lepszego - pomimo całej determinacji, z jaką wypowiadała te słowa pocieszenia, wybrzmiała w nich jakaś fałszywa nuta.

Kryśka wzruszyła tylko ramionami. Obie dobrze wiedziały, że to nie ona rzuciła Erdzika i jaki był powód tego rozstania. Cud, że ich przyjaźń to w ogóle wytrzymała. Ale Kryśka zawsze mocno chodziła po ziemi. Już w szkole wiedziała, że serce Norberta należy do Klary. I chociaż może przez chwilę miała cień złudzenia, że to się z czasem zmieni, że wystarczy tylko trochę ciężiej popracować nad tym niepewnym siebie chłopakiem, to w duchu godziła się na to, że zawsze będzie dla niego tą drugą, ale za to oficjalną narzeczoną. Taką miała nadzieję. A dla niej, biednej dziewczyny z wielodzietnej rodziny, gra warta była świeczki. I to jeszcze jak. Na drugą taką partię mogłaby czekać latami, bez powodzenia i bez widoków. Jedynek, z bogatego domu, z perspektywami życia jak z bajki. Bo tak właśnie Kryśka wyobrażała sobie życie w Australii. A Norbert po maturze miał płynąć do ciotki, do Australii. Już miał zaproszenie i opłacony bilet. I Kryśka bardzo, ale to bardzo chciała się w tej jego bajce znaleźć. Jak najprędzej. Dlatego nie przeszkadzało jej, że Norbert nie jest ani specjalnie urodziwy, ani w niej specjalnie zakochany. Nie zwracała, jak inni, uwagi na to jego wibrujące „r” i lekkie

seplenienie. Nie reagowała na złośliwe przytyki znajomych, że „kawalera to sobie znalazła prima sort”. Więcej, wszystko to utwierdzało ją w przekonaniu, że jest w Norbercie śmiertelnie zakochana, a jej miłość do niego może góry przenosić i żadnego zła się nie ulęknie. I że wystarczy za oboje. Nie wystarczyła. Tuż przed Bożym Narodzeniem Norbert zaczął jej mętnie tłumaczyć, że on to teraz mało czasu ma, bo do matury musi się dobrze przygotować. A potem wyjeżdża do Australii i może wcale nie uda mu się jej tam ściągnąć. A wiadomo przecież, że związki na odległość nie są ani prawdziwe, ani udane, a on nie chce jej odbierać możliwości ułożenia sobie życia. I za każdym razem, kiedy próbowała zaprzeczać i przekonywać go o tym, jak to ona będzie na niego pięknie i wiernie czekała, powtarzał to swoje przemówienie, w ogóle na nią nie patrząc. Wreszcie Kryśka się poddała. Widać było pisane, że z tej mąki chleba nie będzie. Ale żal za utraconą szansą życia w bajce pozostał. A od tego żalu większa jeszcze była obawa o to, co teraz ludzie powiedzą? Jak bardzo i jak długo będą z niej szydzić? Bo w takich miścinach to wszyscy wszystko widzą i niczego się nie zapomina. Nikomu. No chyba, że się jest bogatym i z układami. A ona przecież nie była.

2.

- Klara, Klara, a ustańże w miejscu dziewczyno! Niechże ja na ciebie popatrzę! - Łempicki od godziny wodził wzrokiem za biegającą między stolikami panną.

Przychodził do knajpy codziennie, jeszcze przed jej otwarciem dla gości i zawsze siadał przy tym samym stoliku. W samym rogu, na końcu sali. Dziwne to trochę było, bo od pogrzebu Hanki kropli alkoholu do ust nie wziął. Ale z przyzwyczajenia przychodził i siedział do zamknięcia gospody. Różycka wcale się nie krzywiła, że po próznicy miejsce zajmuje, a i zawsze mu obiad i herbatę kazała podać. Na koszt firmy.

Dzisiaj nie było inaczej, choć sylwester. Łempicki przyszedł o zwykłej porze, ale jakiś taki inny był niż zazwyczaj. Staranniej ubrany i ogolony. To na pewno. Ale było coś jeszcze – coś, co się Różyckiej od razu rzuciło w oczy, ale nie umiała tego nazwać. To było w jego twarzy, a bardziej w spojrzeniu. Jakby mniej zasępione było, gdzieś tam czaił się nawet cień uśmiechu. Z dziewczętami też więcej rozmawiał, a szczególnie z Klarą. Pomógł jej nawet żyrandole pookręcać serpentynami. Widać było, że ją bardzo lubił. Tak serdecznie, po ojcowsku. Może dlatego, że dziewczyna bez ojca rosła na tym samym podwórku, a może dlatego, że do Hanki była bardzo podobna. Tak samo smągła i ciemnooka, wąska w przegubach i zwinna. I podobną czujność i nieufność do ludzi w sobie miała. Jak jakieś na wpół dzikie zwierzę, które obserwuje otoczenie w napięciu, w każdej chwili gotowe kąsać i uciekać. I tak też ludzie o Klarze myśleli, jak o Hance swego czasu. Że harda i nieprzystępna, nie wiedzieć czemu tak wysoko głowę nosi, bo ani mądra, ani wykształcona. Biedna w dodatku i pólsierota. Bolało Różycką serce, bo dobrze wiedziała, jak dziewczynie ciężko w życiu było, jest i będzie.

Takim jak ona, niekochanym, los nie odpuszcza ani na chwilę i niczego za darmo nie daje. Wszystko trzeba wyszarpywać. I Klara szarpała ile sił. Często na oślep.

- Oj tam, panie Łempicki! Nie ma na co patrzeć! - odkrzyknęła zadyszana, ale widać było, że prośby starego sprawiają jej przyjemność. Niby mimochodem stanęła przed nim zarumieniona, krzyżując ramiona na krągłych piersiach. - Tyle jeszcze mam roboty, a pan tu... - nie skończyła, spuszczać skromnie oczy. Nie była przyzwyczajona do poświęcania jej takiej uwagi. Wiedziała, że jest ładna i podoba się chłopcom, ale w tyle głowy zawsze dźwięczały jej słowa matki, że włosy słabe, nogi krzywe, nos za długi i lepiej, żeby się nie odzywała, bo nigdy nie ma nic mądrego do powiedzenia. Za to do roboty jest jakby stworzona; zręczna, szybka i pomyślunek do tego ma jak mało kto. Dlatego na każde zainteresowanie jej osobą odpowiadała podejrzliwością pomieszaną ze złością i strachem. Ale z Łempickim było jakoś inaczej. Ufała mu i go lubiła. Lgnęła do niego jak do Ojca, którego ledwo pamiętała, a który, gdyby tylko żył - tego była pewna - sprawiłby, że wszystko potoczyłoby się w jej życiu inaczej. Lepiej i bezpieczniej.

- Aleś ty śliczna. Całkiem jak jaka aktorka. Ty, Klarunia, uważaj z chłopakami, bo to gałgany i bałamuty. Ty musisz mierzyć wysoko. Wysoko, powiadam ci! Bo z ciebie taka rasowa kobietka jest, a takie z byle kim się nie zadają. Pamiętaj!

- Panie Łempicki, co też pan opowiada. Ja tam o takich rzeczach nie myślę! - Dziewczyna aż pokraśniała

z zadowolenia i zaczęła poprawiać biały fartuszek pięknie podkreślający jej szczupłą talię opiętą czarną wąską sukienką przed kolano.

- To i dobrze, bo masz jeszcze czas na te rzeczy. Może się i kto lepszy trafi. Na pewno się trafi, a tymi szalapeutami z miasteczka głowy sobie nie zaprzętaj. To same lenie i pijaki. Uważaj, żeby cię żaden nie ukrzywdził, tak jak moją Hanulę pokrzywdzono. - Po tych słowach sposepniał i zamilkł.

Klara chwilę jeszcze stała przed nim, jakby czekając dalszych rad bądź komplementów, ale po twarzy widząc jego nagłe pomieszenie i nieobecność, ruszyła kończyć nakrywać stoliki na wieczorną zabawę sylwestrową. Była taka podekscytowana. Wiedziała, że będzie miała dwa albo i nawet trzy razy więcej pracy niż zazwyczaj, ale miała nadzieję, że jednak uda jej się zatańczyć kilka razy tego wieczoru. Albo przynajmniej raz, ale wtedy musowo - tango.

3.

Sala była pełna. Gwar rozmów i pobrzękiwanie sztucców stłumiły niedbałe przygrywanie orkiestry. Nikt nie wyszedł jeszcze na parkiet. Muzycy oszczędzali siły i czekali, aż goście pokrzepieni alkoholem nabiorą ochoty i odwagi na tańce. Kelnerki biegały między stolikami, donosząc zmrożone kieliszki „żytki”. Różycka nie znosiła tego określenia extra żytniej. Nerwowo reagowała na okrzyki z sali: „więcej »żytki« kochanieńka”, „a powiedzże śliczna szefowej, żeby nam «żytki» nie żałowała”. Wodziła pogardliwym wzrokiem

po zaczerwienionych już twarzach i wprawnym okiem wyławiała gości, którym można już było zacząć dolewać wody do wódki. Skrzętnie notowała wszystko w zeszycie. Towarzystwo się rozochociło. Przewidziana w cenie zaproszenia ćwiartka na osobę skończyła się już po godzinie biesiadowania. Zaczęto zamawiać seryjnie pięćdziesiątki czystej. Kobiety przestały raczyć się oranżadą i przerzuciły się na cherry cordial i jarzębiak. Ale na takie zachcianki trzeba było mieć partnera z gestem i zasobnym portfelem.

Krystian Rąg siedział przy stoliku dyrektora PGR-u. Rozparł się dumnie na krześle i władczo położył rękę na karku żony. Kobieta, ubrana w szmaragdową suknię do ziemi z głębokim dekoltem i rozcięciem, z którego co rusz wyzierało tłustawe udo, siedziała sztywno obok dyrektorowej. Widać było, że czuje się nieswojo.

Ubranie krępowało ją i peszyło, ale była też z niego bardzo dumna. Kosztowało ją przecież tyle zachodu. I małą fortunę. Kiedy mąż powiedział, że idą na sylwestra do knajpy i w dodatku w takim towarzystwie, wpadła w panikę. Zaczęła protestować, że po co im takie koszty? No i ubrać się jakoś inaczej niż zwykle trzeba, ale z Krystianem Rągiem nie było żadnej dyskusji. Wręczył jej plik banknotów i kazał kieckę sprawić taką, żeby wszystkim oczy na wierzch powyłaziły. Nie było łatwo. Po kupon materiału musiała jeździć aż do powiatu. A tam na półkach tylko kremplina i elana, gdzieniegdzie półprzezroczysta żorzeta poliestrowa. I te kolory. Czarny albo fiolet wpadający w fuksję. A ona przecież musi wyglądać inaczej wśród powodzi czarnych sukien wieczorowych.

A w fiolecie jest jej, rudej blondynce, bardzo nie do twarzy. Płakać jej się chciało i musiała to mieć wypisane na twarzy, bo sprzedawczyni bez słowa poszła na zaplecze i przyniosła cienką już belę materiału.

- Krepa. Butelkowa zieleń. Jest podszewka w pasującym kolorze - oznajmiła, oszczędnie dawkując słowa, przy tym uważnie taksując Rągową wzrokiem. - Końcówka, więc policzę taniej, ale na suknię dla pani wystarczy.

Rągowa nie uwierzyła w ani jedno jej słowo. Wiedziała, że materiał jest sprzedawany spod lady i będzie ją słono kosztował. Ale nie mogła oczu od niego oderwać i była gotowa zapłacić każdą cenę.

- Dekolt i mankiety można obszyć cekinami. Akurat są. Mogą być czarne albo zielone. To teraz, wie pani, strasznie modne jest. Wszystkie aktorki tak robią.

Rągowa energicznie kiwała potakująco głową na każde wypowiedane przez ekspedientkę słowo. Oczyma wyobraźni widziała już siebie królującą na sali w pysznej szmaragdowej sukni mieniącej się tu i ówdzie cekinami. Łempicka będzie wiedziała, jak skroić i uszyć. Do niej wszystkie eleganki z miasteczka pranie przynoszą, to się napatrzyła, co teraz jest modne. A i tych gazet z modą też ma sporo, bo wszystkim dziewczętom w kamienicy szyje. Choć po śmierci Hanki pewnie mniej i niechętnie, ale jej przecież nie odmówi. I drogo pewnie też nie weźmie. Rągowa była w ekstazie i nie mrugnęła nawet okiem, kiedy ekspedientka zaśpiewała jej cenę materiału, podszewki, nici i cekinów.

Zarumieniła się teraz, gdy dyrektorowa kwaśno

pochwalała jej kreację. Zatrzepotała ciężkimi od tłustego, szmaragdowego cienia powiekami i wybąkała kilka zachwytów pod adresem sukni sąsiadki. W ogóle mówiła bardzo niewiele i cicho, za każdym razem pytająco spoglądając na męża. Ten dobrodusznie poklepywał ją po karku, kiedy aprobował jej słowa. Kiedy mówiła coś nie po jego myśli, czuła na szyi zaciskające się palce.

- No to bardzo proszę. Zapraszam. Zdrowie pięknych pań! - Krystian Rąg nadawał ton i tempo wznoszonym toastom. Czuł się tutaj znakomicie. Początkowe skrępowanie wyjątkowością towarzystwa przy stoliku szybko ustąpiło, kiedy po wypiciu przydziałowego alkoholu na stole pojawiła się butelka czystej dla panów i jarzębiak dla pań. Zamówione i zapłacone przez niego. Teraz był w swoim żywiole, uzupełniając kieliszki gościom. Miał czym zająć ręce, a i rozmowa kleiła się coraz bardziej. Denerwował go tylko ten nowy inżynier, którego nie wiedzieć po co dyrektorostwo przyprowadziło ze sobą. Nowy nabytek PGR-u. Magister. I co z tego? Krystian Rąg słuchał cierpliwie wywodu dyrektora o tym, jak to trudno było Magistra pozyskać do pracy w takim niewielkim gospodarstwie. I jak dzięki temu będzie nowocześniej, z duchem czasu i postępowo. Słuchał, ale swoje wiedział. Ziemia szkół nie potrzebuje. Jeno roboty i doświadczenia. Co taki studencik może o tym wiedzieć? I jeszcze żeby go od razu na zastępcę dyrektora dać? No bo jak toto wygląda? Takie niskie i chude? Gdzie to jaki posłuch będzie miało? Toż ludzi trzeba twardo za mordę trzymać, a takie chuchro jak sobie radę da?

Magister jakby czytał w myślach Krystiana Rąga. Uniósł jeszcze wyżej głowę i popatrzył na chłopca przeciągle, bez cienia sympatii w swoich wodnistych, zielonkawych oczach. Nie podobał mu się ten zwałisty mężczyzna o nalanej, czerwonej twarzy. Denerwowało go jego ciężkie łapsko zalegające na szyi żony, lisi uśmiezek, którym raczył dyrektorostwo i grubiańskie toasty. A najbardziej irytowało go jego obleśne spojrzenie, które przykleiło się do tej drobnej, czarnowłosej kelnerki. Zwrócił na nią uwagę od pierwszej chwili, od momentu, kiedy prowadziła go, trochę spóźnionego, do stolika. Teraz dyskretnie wodził za nią wzrokiem, nieznacznie poruszając głową nad sztywno wykrochmalonym kołnierzykiem. Właściwie to cały był jakiś sztywny. Od czubków wypastowanych i wypolerowanych na wysoki połysk butów przez nienagannie zaprasowane kanty spodni, wykrochmalone mankiety i kołnierzyk białej koszuli po wypomadowane włosy modnie zaczesane do góry. Siedział na brzegu krzesła, jakby kij połknął. Słuchał uważnie tego, co mówił o nim dyrektor. Wypowiadane komplementy przyjmował lekkim skinieniem głowy i oszczędnym uśmiechem, który nieznacznie odsłaniał rząd żółtawych, tu i ówdzie popsutych zębów. Reszcie towarzystwa i prowadzonej przez nich rozmowie nie poświęcał w ogóle uwagi. Kompletnie nie interesowali go ci ludzie i ich problemy. Sprawiał jednak odwrotne wrażenie. Kiedy ktoś do niego mówił, zwracał na rozmówcę swoje przenikliwe spojrzenie i pozwalał słowom płynąć w niezakłócony sposób. Mógł w dowolnym momencie powtórzyć bez zajknięcia i bez jednego błędu całe

wypowiedziane frazy. Dla rozmówcy był słuchaczem idealnym. Nie okazywał też znużenia czy zniecierpliwienia, choć od czasu do czasu jego brwi wędrowały nieznacznie do góry, a usta zaciskały się w jedną linię.

Ten wieczór nie był jednak stracony, choć takim się od początku zapowiadał. Sam pomysł spędzenia sylwestra w towarzystwie nieznanych sobie ludzi uważał za chybiony. Postanowił potraktować go jako jeszcze jeden z obowiązków, do których podchodził w sposób sumienny i zdyscyplinowany. Zgodnie z planem miał dyskretnie opuścić salę tuż po noworocznym toaście. Z doświadczenia wiedział, że ludzie są już wtedy mocno wstawieni i nie przywiązują najmniejszej wagi do konwenansów. Właściwie to już teraz całe towarzystwo było pijane. Mężczyźni pozdejmowali marynarki, odsłaniając przepocone pod pachami koszule, a kobiety z wypiekami na twarzy chichotały w odpowiedzi na sprośne żarty Rąga. Nikt nie zwracał uwagi na to, jak umiejętnie markuje wychylanie toastów „za zdrowie Magistra”. Mógłby teraz bez większych sensacji opuścić gospodę, ale znalazł się powód, dla którego postanowił zostać. Ta kelnerka. Dawno nie widział tak ładnej dziewczyny. Może nawet nigdy.

- Niczego sobie dziewczucha, co Magister? Może trochę za chuda, zawsze była taka chudzina, ale jak jej cycki tera urosły. Pierwsza klasa. - Słowa Rąga, zwieńczone cmoknięciem i pijackim czknięciem, poraziły Magistra. Poczul lód w klatce piersiowej, a cała krew odpłynęła mu do stóp. Patrzył teraz na chłopa z niczym niemaskowaną nienawiścią. - Miałem ją jeszcze bez tych cycków. Szkoda, tera to by była lepsza

zabawa - Krystian Rąg uniósł do góry rękę i władcym gestem przywołał do stolika Klarę. - Patrzy Magister - mrugnął porozumiewawczo i poprawił się na krześle.

Dziewczyna szła w ich kierunku ze spuszczoneym wzrokiem. Widać było, że jest mocno wystraszona. Do tej pory szybka i zwinna, teraz jej ruchy stały się spowolnione i niezgrabne. Odwlekała tę chwilę w nieskończoność. Czuła narastający niepokój od momentu, kiedy zobaczyła u Różyckiej listę gości do obsłużenia dzisiejszego wieczoru.

Gruba Różycka bardzo nie lubiła, kiedy po rozdzieleniu przez nią stolików dziewczęta zamieniały się między sobą. Nie znosiła bałaganu i chaosu. Nie akceptowała też okazywania niechęci klientom ani nadmiernej sympatii. Takie już miała żelazne zasady. Klarze przydzieliła stoliki dyrektora PGR-u, aptekarki i dyrektora mleczarni. Sama śmietanka. Zależało jej na sprawnej i miłej obsłudze akurat tych gości. Wiedziała, że nie będą się liczyć z groszem i sięgną po najdroższe alkohole. Na Klarze mogła polegać. Miała dziewczyna dryg do tej pracy, a i jej aparycja nie pozostawała bez znaczenia. Miło było na nią popatrzeć i choć poza gospodą nieprzystępna i opryskliwa, to w pracy była rzetelna, łagodna i słodka jak miód. Toteż z wielkim zdziwieniem i rosnącym niepokojem bufetowa obserwowała od dłuższego już czasu stolik dyrektora PGR-u. Odgrywał się tam przedziwny spektakl. Klara do stolika podeszła wszystkiego może ze dwa razy, prowadząc gości na miejsca. Nie można powiedzieć, że potem ich zlekceważyła i pozostawiła bez obsługi. Wręcz przeciwnie. Widać było, że obdarzała ich szczególną uwagą. Na każde skinienie czy

zawołanie biegła do Wandy i popychała ją lekko w stronę tego stolika. Sama w tym czasie zajmowała się jej gośćmi. Odbierała zamówienie od koleżanki, wszystkie razem realizowała migiem w kuchni u pana Miecia i w barze u Różyckiej i pełną tacę wręczała na powrót Wandzie. W ten sposób miała dwa razy więcej pracy i nikłą szansę na napiwki.

O co w tym wszystkim chodzi? - zachodziła w głowę Różycka.

Teraz jednak Klara była w pułapce. Krystian Rąg skinął na nią już trzeci raz. Wanda poszła do toalety, a Gruba Różycka zaczęła się jej bacznie przyglądać. Nijak nie szło dalej udawać, że nie zauważyła tych przywołań. Jej serce waliło jak oszalałe, kiedy stanęła przy stoliku. Nie miała siły podnieść wzroku i nic nie słyszała, bo w uszach pulsowała jej krew.

- Co z tobą? Głucha jesteś? Zatańczymy? - Krystian Rąg zirytowany milczeniem dziewczyny podniósł się z krzesła, nie zwracając uwagi na konsternację, jaką wywołała w towarzystwie jego propozycja. Najmniej pijane dyrektorowa i żona Rąga gwałtownie zamilkły. Dyrektor z rozpędu chichotał głupkowato. Wtórował mu usłużnie magazynier z żoną, a całkowicie trzeźwy Magister zeszywniał jeszcze bardziej. Nikt nie rozumiał, co się właściwie dzieje między tymi dwojgiem. Między zwałistym Rągiem i tą drobną, młodziutką kelnerką.

- Pani pozwoli. - Magister ujął delikatnie, ale stanowczo łokieć dziewczyny i skierował ją na parkiet. Położył jej dłoń na swoim ramieniu i nienachalnie, ale z wyraźną przyjemnością objął ją w wąskiej talii.

Orkiestra zagrała tango. Zrobił się spory ruch i mnóstwo par ruszyło w tany. Szybko zniknęli w tłumie tańczących. Krystian Rąg był skonsternowany. Nie wiedział, czy ma ruszyć za tańczącymi i dochodzić swoich praw, czy zignorować afront. Podrapał się niezręcznie po głowie i usiadł niepewnie obok żony, która raptownie zaczęła zbyt głośno komplementować biżuterię dyrektorowej. Towarzystwo podjęło przerwane rozmowy.

Świetnie tańczy. Szkoda, że taki niski – pomyślała Klara, obserwując spod współprzymkniętych powiek wyprostowaną jak struna sylwetkę Magistra.

Z rozmarzenia wyrwał ją głos dziewczyny, która zręcznie lawirując pośród tańczących, niosła przewieszony przez szyję płytki kosz wypełniony po brzegi tabliczkami czekolady „22 lipca d. E. Wedel”. Szeroka, seledynowa wstążka naprężona od ciężaru słodczy w widoczny sposób wrzynała się w jej szczupły kark, pozostawiając na nim pąsowe pręgi i kolorystycznie kasała wąską sukienkę w kolorze fuksji. Dziewczę było już wyraźnie zmęczone i zniechęcone. Czekolad z koszyka nie ubywało, a nagabywani przez nią, mocno już wstawieni mężczyźni, stawali się coraz bardziej opryskliwi. Bezsprzecznie woleli wydać swoje uciulane z niemałym trudem pieniądze na wódkę, niż zmarnować je na wątpliwy podarunek dla żon czy narzeczonych.

- Może słodki upominek dla panienki? - dziewczyna bez większej nadziei na sukces wepchnęła swój koszyk między Klarę i Magistra. Znużone spojrzenie powędrowało do twarzy zaskoczonego tą nagłą impertynencją mężczyzny.

- Cóż... hmmm... Ta pani nie jada czekolady - Magister stanowczym ruchem odsunął dzielącą go od Klary przeszkodę i niezrażony gniewnymi sykami tak potraktowanej dziewczyny kontynuował przerwany taniec.

Promyk światła, który tego wieczoru na chwilę zapalił się w oczach Klary, zgasł bezpowrotnie. Nagle zaczął ją drażnić ten niski, sztywny jak kołek, dużo od niej starszy mężczyzna. Tańczy tak jakoś... bez polotu - zagryzła usta i wbiła wzrok w czubki poruszających się w takt muzyki pantofelków.

4.

- Mama jej powie, że się nadaje. I że się powinna cieszyć, że ją w ogóle chce. Tyle innych za nim lata. Nie tylko z naszego miasteczka. U mnie w internacie, jak się dziewczuchy zwiedziały, że u nas jest taki, co do Australii jedzie, zaraz zaczęły o niego wypytywać i na wyścigi liściki posyłać - Ola rozłożyła przed sobą na kuchennym stole zestaw do manicure w postaci pilnika i lakieru do paznokci w kolorze wściekłego różu.

Eugenię często zastanawiało, skąd jej starsza córka bierze pieniądze na te wszystkie kobiece cudenka. Przecież pieniądze, które jej sama dawała, szły w całości na opłacenie internatu. Aleksandra miała jeszcze stypendium socjalne i parę groszy renty po ojcu, ale tego starczało ledwie na książki, zeszyty, jakieś ubrania i miesięczne utrzymanie. Gospodarna jest, nie inaczej. Po mnie to ma. - Stanowczo przepędziła niewygodne myśli i skupiła uwagę na rozmowie

córek.

- To sama za niego idź. I daj mi już spokój - Klara wydeła usta i z zazdrością patrzyła na błyskawicznie różowiejące paznokcie siostry.

- Tłumaczę ci niedojdo, że mam jeszcze jeden semestr szkoły. I że ja się nie nadaję do życia przy mężu - Aleksandra przerwała nakładanie lakieru i popatrzyła z wyższością na młodszą siostrę.

Miała powody do dumy. Za niespełna pół roku miała odebrać dyplom pielęgniarski. Już jej matura wywołała niemałe poruszenie w kamienicy i sąsiedztwie. A teraz jeszcze najprawdziwszy dyplom. Eugenia nie posiadała się z radości. Sama skończyła tylko trzy klasy szkoły podstawowej. Klara rzuciła liceum wieczorowe, bo nie dała rady pogodzić pracy z nauką, a bliźniaczki też uczyły się nietęgo. A Olunia taka zdolna i do tego śliczna jak aniołek. Wykapana Marylka.

- Co racja, to racja. Lepszego kandydata nie znajdziesz. Mężatką zostaniesz, to ludzie przestaną gadać i Rąg ci da nareszcie spokój. Do Australii zaraz pojedziesz, pracę lepszą jaką dostaniesz i Oleńkę ściągniesz. Pielęgniarki pewnie tam zarabiają krocie - rozmarzyła się Eugenia.

- Ale ja nie chcę, ja go nie kocham.

- Z kochania nic dobrego jeszcze nikomu nie przyszło. Jeno bieda i kupa dzieciaków. Ty patrzaj jakiej lepszej przyszłości dla siebie. Kochanie zostaw bogatym. I siostrze pomożesz. I się lepiej pospiesz z tą decyzją, bo on długo na ciebie nie będzie czekał. Kolejka się do niego ustawi, co ja gadam - już się ustawiła! A pierwsza w kolejce będzie Kryśka

Czechowianka. Pono twoja przyjaciółka?

- Ale on mi się nawet nie podoba. Ja tak nie mogę... Nie chcę... I to tak strasznie daleko...

- A kto ci się podoba?! Pewnie Jasiek Łempickich, co? Takie samo ladaco i powsinoga jak ojciec będzie. Już teraz z domu wyfrunął i nie wiadomo, gdzie jest i z kim przestaje. Ty za nim nie czekaj, bo i nie ma po co. Daleko, niedaleko. Tak od razu tam nie pojedziesz. Erdzik najprzód sam pojedzie na zaproszenie od ciotki. Urządzi się trochę, to cię ściągnie. A ty potem Oluškę. We dwie będziecie, to będzie zaraz różniej. Tylko ślub tu zawczasu weźmiesz, żebyś tam jak się należy, jako żona jechała, a nie jakaś latawica. To i Erdzik będzie spokojniejszy, i w gospodzie poszanowania będziesz więcej miała, a złe języki w końcu przestaną gadać, żeś Rągowa kochanica.

- Ale mama przecież wie, jak było... Ja nic...

- Co było, to było. Ja krowy nie mam gdzie trzymać i z Rągami wojny nijakiej toczyć nie będę z powodu jakiejś fanaberii. Ty się pilnuj. To twój obowiązek jest, nie inaczej. I za Erdzika za mąż idź, póki on chętny. Dobrze ci Aleksandra radzi. Słuchaj siostry.

5.

- Ładnie żeś się synek tu urządził. Czysto masz i wszystko, co potrzeba. - Matka z uznaniem kiwała głową. Kręciła się już dobre pół godziny po służbowym mieszkaniu Magistra. Niby pokój z kuchnią, a miejsc do zajrzenia i skontrolowania

matczynym okiem – bez liku. Widać po niej było, że rada jest i uspokojona. Poprawiała zasłonki w oknach i strzepywała niewidzialne okruchy z serwety przykrywającej kuchenny stół.

– O! A nad kuchnią, to sobie taką makatkę powiesz, jak mamy w domu. Przywiozę następnym razem.

Za to ojciec siedział przy kuchennym stole mroczny i posepny jak chmura gradowa i nie wypowiedział jeszcze ani jednego słowa. Mimo podeszłego wieku wyprostowany niczym mocno napięta struna, wspierał muskularne ramiona na lasce – dla fasonu raczej niż z jakiej zdrowotnej potrzeby. Ciemne, choć przymglone z powodu wieku oczy ukrył gniewnie pod krzaczastymi, całkowicie już srebrnymi brwiami. Niezadowolenie emanowało z całej jego postaci i zawisło w tej niewielkiej przestrzeni, nie pozwalając się już dłużej ignorować matce i synowi.

– Popatrz no, ojciec. Woda sama ze ściany idzie, wystarczy tylko ten kurek przekręcić, a i wychodek w domu jest. Nie trzeba latać do studni co i rusz czy na pole za potrzebą. Takie luksusy, kto by pomyślał. – Matka swoim świergotaniem próbowała rozproszyć gęstniejącą ciszę. Napięcie między ojcem i synem, wyczuwalne od pierwszej chwili, teraz można było kroić nożem.

– No i o co ojciec mają ciągle pretensje?! O te studia czy o pracę?! Ojciec powinien dumny chodzić jak paw! Wie ojciec, ile to pracy i wysiłku mnie kosztowało?! Ile wyrzeczeń?! – Latami ćwiczone przez Magistra opanowanie i spokój, mające stwarzać wrażenie, że oto stoi przed wami człowiek dojrzały, poglądowo ukształtowany i w słuszności swoich racji dawno

okrzepły, przysło jak bańka mydlana w zderzeniu z pełnym dezaprobaty milczeniem ojca. Zapodziały się też gdzieś jego chłód i sztywność. Poczzerwieniał na twarzy. Głos opuścił dolne rejestry melodyjnego barytonu i podązał w kierunku piskliwego falsetu, a dłonie zaczęły kreślić w powietrzu przeróżne kształty. - No, ilu ojciec ma w rodzinie z dyplomem?! Ilu, pytam się?! A ilu jest we wsi? I wie ojciec co? Ja tu zastępcą dyrektora jestem! I ludzie mi się pierwsi kłaniają! Poważają mnie!

- Poważają, powiadasz - starszy pan zdecydował się przerwać milczenie. - A za co cię tak poważają?

- Jak to za co? - Magister aż się zagotował ze złości. - Tłumaczę przecież ojcu...

- Ty mi tłumaczyć niczego nie musisz. Ja szkół nie kończyłem, książek nie czytałem, ale wiele w życiu widziałem i swoje wiem. Taki wstyd, taki wstyd.

- Jaki znowu wstyd?! Co ojciec bredzi?! Ojcu na starość się w głowie pomieszało!

- Ano wstyd mi po wsi chodzić, ludziom się odkłaniać. To i w chałupie teraz całymi dniami siedzę. Do kościoła przestałem chodzić, grzech na swoje sumienie ściągam. I wszystko przez to, że się takiego syna doczekał!

- Jakiego?! No, jakiego?! Niech ojciec w końcu powie, co mu na wątrobie zalega! Co ojcu tak doskwiera?! Że czerwony, że komunista! Tak?!

- Ja po tym świecie już długo chodzę. Dwie wojny Bóg pozwolił przeżyć, i okupację. Stalina tak samo. Mnie ani czerwony, ani komunista niestraszny. Każdy jeden stworzenie

Boże i ma prawo chodzić po tym świecie. Każdy jeden ma prawo mieć swoje przekonania. Ale w domu! – huknął starszy pan, uderzając pięścią w stół. – Jak ty już ziemię obrobisz i o zwierzęta zadbasz, to w domu możesz być nawet cesarzem! Nikomu nic do tego i nikt ci nie zabroni.

Magister zaniemówił. Osłupiały wpatrywał się w ojca nierozumiejącym wzrokiem. To musi być starcza demencja. Nie inaczej. Albo jakies *déjà vu*.

Dokładnie taką rozmowę odbyli ze sobą sześć lat temu, kiedy oznajmił rodzicom, że wybiera się na studia rolnicze. Ileż to było lamentu, krzyków i gróźb. Był w domu drugi w kolejności z całej piątki, ale najstarszy, Gieniek, chorowity był od dziecka. Serce miał słabe. Oczywiście dla wszystkich było, że to młodszy syn przejmie gospodarstwo po rodzicach. Dla wszystkich, prócz niego. Nigdy się jakoś specjalnie nie garnał do robót w polu czy oporządzania zwierząt. Wolał czytać. Czytał wszystko, co mu wpadło w ręce, ale na wsi było tego naprawdę niewiele.

Jeszcze w czasie okupacji, w 1942, kiedy Hitler szedł na Wschód, we wsi stacjonowało wojsko niemieckie. W ich chałupie, z racji tego, że najokazalsza, mieszkał dowódca. Zdaje się, w stopniu porucznika był. Bardzo wykształcony to był człowiek i w książkach niezwykle gustujący, bo woził ze sobą skrzynię drewnianą, wyładowaną nimi po brzegi. Każdą wolną chwilę poświęcał na czytanie, a i rozmawiać z ludźmi też lubił. Ze wszystkimi bez różnicy, bo choć Niemiec, to po polsku trochę mówił. Śmiesznie bardzo, wszystkie słowa przekręcał, ale za to dużo rozumiał. Rodzice jego niewielki

majątek na Kaszubach mieli, a za piastunkę miał młodą Kaszubkę ze wsi. Strasznie ciekawy był wszystkich i wszystkiego, a obejście spokojne miał i łagodne. Całkiem do wojskowego niepasujące. Toteż się z niego żołnierze podśmiewali, że przed wojną był nauczycielem, a teraz nimi na wojnie dowodzi. Najwięcej to z Magistra ojcem rozmawiał, bo ten, choć nieuczony, to kawał świata pod Piłsudskim zjeździł i ciekawie opowiadał.

Magister miał wtedy pięć lat. Czytać nie umiał, ale uwielbiał patrzeć, jak porucznik swoje książki wertował. Często się też do skrzyni podkradał i bez pytania w niej grzebał. Przyciągał go zapach zakurzonego papieru i kształt tych dziwnych liter, zupełnie innych niż wszystkie, które widział do tej pory. Matka zaraz go ze ścierką i krzykiem przeganiała, ale to było silniejsze od niego. Kiedy front ruszył i Niemcy z wioski wyjeżdżali, porucznik zostawił skrzynię ojcu na przechowanie. Strasznie się bał, że książki u ruskich utracić może. Mówił, że niedługo będą wracać, to skrzynię odbierze. Nigdy nie wrócił. Ale i skrzynia się nie ostała. Zaraz po wyjeździe żołnierzy ojciec zamknął ją na strychu i ruszać surowo zabronił. Pod groźbą lania. Na nic się to zdało, bo bez mała co noc syn na strych chodził i książki przy świeczce wertował. Któregoś razu ogień zaprószył i wszystko spłonęło. Książki, strych i cała chałupa. Ledwie oni sami z życiem uszli. Przez długie lata od tego zdarzenia ojciec w złości powtarzał, że gdyby wtedy wiedział, że to jego robota, w ogień by go wrzucił. Do tych książek.

Taki już był od małego uparty do nauki. Jakby miał jakiś

przymus wewnętrzny. Rodzice z początku cieszyli się, kiedy im oznajmił, że do technikum po szkole podstawowej się wybiera. Patrzyli przez palce, że mniej im w gospodarstwie pomaga i często go w domu nie ma. Pierwszy raz ojciec się zaniepokoił, kiedy syn się do Związku Młodzieży Wiejskiej zapisał. Nie rozumiał, po co to i na co? Sam tkwił w mocnym przekonaniu, że z nową władzą w żadne układy wchodzić nie należy. Zwłaszcza jak się ma kawałek ziemi na własność. Syn tłumaczył ojcu, że to taka stara organizacja jest, jeszcze przedwojenna i z tradycjami. I że zaszczyt jest do niej należeć, a z polityką nie ma to nic wspólnego. Ojciec słuchał, kiwał głową, ale widział, że traci wspólny język z synem. I że chłopaka ojcowizna coraz mniej interesuje. Pierwsze iskry poszły, kiedy Magister zaczął ojcu zacofanie zarzucać i brak ideowego myślenia. Ale prawdziwe trzęsienie ziemi nastąpiło, kiedy się dowiedzieli, że syn wcale na gospodarstwo wracać nie ma zamiaru, tylko studiować planuje. W mieście. Do tego do ZMS wstąpił i innych młodych ze wsi do tego namawia. Ojca krew zalała. Za ramię chwycił i łać próbował, ale i siły już nie te i syn inny. Jakby nie swój, podmieniony.

- Tobie rozum całkiem w tych szkołach uszkodzili! Ty durnowaty zapomniał, kim ty jesteś i jaką powinność masz wobec ziemi i rodziców!

- Ojciec nic nie rozumie, bo ojciec zacofany jest. A tu trzeba iść do przodu, po nowemu myśleć. Uczyć się trzeba, czego ziemia potrzebuje, żeby było najbardziej wydajnie i efektywnie. Trzeba korzystać z nauki i zmieniać. Zmieniać trzeba, ojciec! Wszystko, co się da! A jak się nie da, to też

trzeba zmieniać! Na przymus! Tak, żeby się dało!

- Co zmieniać?! Jak zmieniać?! Jaki znowu przymus?! Co ty mi tu za farmazony i herezje jakieś wygadujesz?! Coś ty za jeden, pytam się, szczeniaku?! Ja! - starszy pan huknął się w piersi zaciśniętą pięścią. - Ja wiem, co jest dla ziemi najlepsze! Nikt mi tego nie musi w książkach opisywać, bo ja się z tą wiedzą już urodziłem! I każdy jeden, co gospodarstwo ma, to samo ci powie! Trzeba mieć serce do tej pracy i dobrą rękę. I powinność trzeba czuć! Tak! Powinność! To najważniejsze! Szkół do tego nijakich nie trzeba! Zbyteczne są! A jakże! A zmieniać to ty sobie możesz portki w domu na świąteczne, jak już w polu i obejściu wszystko obrobisz!

Taka to była rozmowa. Krzyczeli na siebie długo jeszcze. Potem syn, tak jak stał, z domu wyszedł i drzwi za sobą głośno zamknął. Sześć lat się nie widzieli, a teraz oboje rodzice najzwyczajniej w świecie siedzieli przy jego kuchennym stole. Jakby tej sześćioletniej przerwy w ogóle nie było i jakby kończyli właśnie tamtą rozmowę.

- Gieniuś jest w szpitalu. Ze sercem znowu gorzej. - Matce wreszcie udało się wykorzystać chwilę milczenia, jakie zapadło między ojcem i synem. - Martwim się z ojcem strasznie. Pomyślelim, że chciałbyś go odwiedzić. My właśnie jedziem od niego i ojciec powiedział, że musowo do ciebie wstąpić, skoro to po drodze będzie... Następnym razem przywiozę ci jajek i śmietany, i tą makatkę zabiorę, bo doktor powiedział, że Gieniuś jakiś czas poleży... - matce głos się załamał.

Po tych słowach ojciec sposepniał i jakby się w sobie

skurczył. Magister zastygł na moment z otwartymi ustami, z których miał właśnie popłynąć nowy strumień pretensji.

- Co? Jak to w szpitalu? Tak, oczywiście, że pojedę. Jutro pojedę... Może wam czego potrzeba? Może herbaty zrobię? Zaraz naparzę - Magister zaczął nerwowo krzątać się po kuchni.

- Herbaty to ja bym się z chęcią napił - ojciec łaskawie przypieczętował ten kruchy rozejm.

6.

- Małżonkowie mogą teraz wymienić obrączki.

Klara w skupieniu przyglądała się wsuwanemu na serdeczny palec prawej ręki złotemu krążkowi. Temu drobnemu przedmiotowi poświęciła teraz całą swoją uwagę. Jakie to dziwne - myślała. - Teraz jestem mężatką. Ot, tak. Pstryk i już. Ciekawe, czy jak to ściągnę z palca, będzie jak dawniej? Na pewno będzie. Nikt się przecież nie zorientuje. - Ta myśl nawet ją rozbawiła. Rozejrzała się po twarzach zgromadzonych osób, jakby szukając w ich spojrzeniach zrozumienia dla żartu, który odbywał się właśnie na ich oczach.

Nikt się nie uśmiechał. Rodzice Erdzika mieli zrezygnowany wyraz twarzy, oczy Eugenii wprawdzie tryskały satysfakcją, ale usta pozostały zaciśnięte w surową linię. Znudzona Aleksandra oglądała z uwagą swoje różowe paznokcie, a bliźniaczki chichotały nerwowo, co rusz gromione spojrzeniem przez Eugenię. Kryśka Czechowianka

rozpląkała się tuż przed ceremonią i wybiegła z sali. W roli świadka zastąpiła ją Ola.

- Proszę małżonków o pozostawienie w sekretariacie Urzędu dowodów osobistych w celu naniesienia odpowiednich adnotacji dotyczących faktu zawarcia związku małżeńskiego. Należy też jak najszybciej złożyć wnioski o wydanie nowych dowodów, zgodnych z aktualnym stanem cywilnym. - Monotonne pouczenie urzędnika wytrąciło Klarę z letargu. Gwałtownie podniosła głowę, przez co usta próbującego złożyć na jej wargach pieczętujący pocałunek małżeński Erdzika wylądowały na jej podbródku. Wzdrygnęła się.

- Ale ja nie mam, to znaczy zapomniałam zabrać dowód osobisty... - wydukała nerwowo w stronę zdejmującego łańcuch urzędnika.

- Proszę jak najszybciej donieść - rzucił sucho przez ramię mężczyzna, mijając ich w drodze do wyjścia.

Klara posłusznie pokiwała głową.

- Jeszcze tylko obiadek u rodziców i będziemy mieli godzinkę tylko dla siebie. Może nawet ze dwie... Taka nasza mała noc poślubna. He, he... Pociąg jest dopiero o dziewiątej... - Erdzik szeptał jej gorączkowo do ucha, mnąc sukienkę w talii. Poczwała do niego wstręt.

Był teraz zupełnie inny niż zwykle. Wyprostowany jak naprężona struna, wydawał się wysoki i barczysty. Oczy mu wyraźnie pojaśniały. Z szerokim uśmiechem na twarzy przyjmował składane młodej parze gratulacje. Lewą ręką uporczywie przygarniał Klarę do siebie, jakby w obawie, że ten wprawdzie już przyszpilony motyl w jakiś nieoczekiwany

sposób zerwie się w ostatnim momencie do lotu i ucieknie. Ciągłe nie dowierzał swojemu szczęściu.

Świeżo poślubiona dziewczyna jednak nie zniknęła. Stała posłusznie obok, automatycznie nadstawiając policzki do pocałunków i odbierając kwiaty, których spore naręcze przekazała Aleksandrze. O co mu chodziło z tą godzinką? – przemknęło jej raptem przez głowę, ale zaraz wróciła myślami do wyobrażania sobie, jak to będzie teraz podawać do stołu gościom w knajpie z tą dziwną błyskotką na palcu. Pewnie będą jej zadawać pytania. Ciekawe, czy napiwki będą teraz większe? Takim ustatkowanym kobietom na pewno daje się więcej. Ustatkowane – dziwne i śmieszne słowo. I co w ogóle ono oznacza?

- Aha, i zaraz jak dostaniesz ode mnie pierwsze pieniądze, masz rzucić pracę w knajpie. Rozumiesz?! To będą dolary... Australijskie, ale dolary... Bardzo dziękujemy za życzenia... Nie ma potrzeby, żeby moja żona wycierała się w jakiejś gospodzie... Serdecznie dziękuję i zapraszam na obiad w imieniu naszym i rodziców...

Co on mówi? Jakie dolary? Jak to rzucić pracę? A z czego będę żyła? Przecież on za chwilę wyjeżdża i nie wiadomo, czy się jeszcze zobaczą. Do tej Australii podobno kawał drogi jest. Trzeba miesiącami płynąć statkiem. Tak ludzie gadali w knajpie. – Klara zaczęła się zastanawiać, dlaczego Erdzik nagle wydaje jej polecenia i w dodatku takie dziwne.

- A właściwie to, jakim prawem?! – ostatnie myśli wypowiedziały się jej na głos. Sama przeraziła się tym okrzykiem. Zagryzła usta i pełna konsternacji, popatrzyła na

Eugenię. Gwar rozmów raptownie ucichł. Zgromadzeni patrzyli teraz na nią, próbując dociec, co też miała na myśli.

- Ale co, jakim prawem? - Norbert zdawał się nie dostrzegać kłopotliwości sytuacji. Przysunął się jeszcze bliżej i z troską zajrzał jej w twarz. Łzy frustracji, napływające w tej chwili do tych sarnich oczu, które tak bardzo kochał, ogromnie go poruszyły. - Nie bądź smutna. Ja się tam w mig uwinę i ciebie ściągnę. To długo nie potrwa... Zobacysz...

Co mnie to obchodzi?! Co ja mam z tym wszystkim wspólnego?! - Już, już miała mu to wykrzyknąć prosto w tę jego dobroduszną twarz, kiedy poczuła szorstkie palce ciasno oplatające jej nadgarstek żelaznym uściskiem.

Przy Klarze stanęła Matka. Uśmiechała się szeroko, ale jej oczy pozostały zimne. Tym stalowoszarym spojrzeniem, zamkniętym w wąskich szparkach, przywoływała teraz Klarę do porządku. Skutecznie.

- Jak to dobrze nareszcie zobaczyć was razem. O Klarę nic się nie martw, ja tu wszystkiego dopilnuję. Nie damy jej zmarnieć z tęsknoty. Jak tylko się urządzisz, to ją do ciebie pošlemy. Może i Ola od razu pojedzie, żeby się nią zaopiekować... Starsza jest, rozważniejsza. Będzie Klarze raźniej z siostrą w obcym kraju.

- Ola? Ale... - zaskoczony Norbert przestępował z nogi na nogę. Nic nie rozumiał.

- Nie ma o czym gadać. Na razie - Eugenia machnęła ręką i przygarnęła zięcia w gratulacyjnym uścisku. - Najważniejsze, że teraz jesteśmy rodziną. Jedną rodziną - podkreśliła wymownie, spoglądając na Klarę. - Wszystko inne

się ułoży.

W tym momencie przez głowę Klary przebiegła straszna myśl, że Matka może się mylić, że nic nie musi się wcale ułożyć. I jak to ułożyć? Co ułożyć? Dla kogo? Do gardła podpełzł jej strach. Nie, nie był to zwykły strach. Była to panika. Dziewczyna drugi raz w życiu poczuła się jak zwierzę schwyte w śmiertelną pułapkę.

Po wystawnym obiedzie u rodziców Erdzika, podczas którego odzywała się niewiele i niechętnie, Klara z ulgą przyjęła propozycję pana młodego, żeby odpocząć w jego pokoju na górze. Bywała tu dość często wcześniej, kiedy jeszcze razem chodzili do szkoły i obecny mąż pomagał jej w lekcjach. W końcu za namową Matki szkołę rzuciła i poszła do pracy. Pracowała bardzo ciężko, najpierw w koszykarni, potem w mleczarni. Przez cały czas nadal pomagała Matce w ich maleńkim gospodarstwie i u Rągów. Od tej fizycznej harówki mięśnie jej stwardniały, zrobiła się krzepka i po męsku silna. Gdyby nie okazały biust, który jej urósł nie wiadomo kiedy, z łatwością można było ją wziąć za pełnego wigoru młodego chłopca, bo też nosiła się po chłopięcemu. Krótkie włosy, szerokie spodnie i wpuszczona w nie koszula były na porządku dziennym. Zresztą nie miała zbyt wielu ubrań, a fryzura była praktyczna i wygodna.

Pierwszą sukienkę kupiła sobie, kiedy dostała etat kelnerki w gospodzie. Taki był wymóg. Gruba Różycka kazała jej kupić dwie, żeby miała na zmianę. Najlepiej czarne, wąskie, o długości tuż przed kolano. Do tego dostała maleńki, biały fartuszek i opaskę na włosy. Białe. Musiała to prac

i krochmalić codziennie, ale dla niej nie stanowiło to żadnego problemu. W porównaniu z wcześniej wykonywanymi pracami trafiła do raju. A raj ten pełen był ludzi, którzy ją lubili i codziennie się do niej uśmiechali. Kiedy Różycka pierwszy raz ją pochwaliła, o mało nie zemdląła z wrażenia. Chwalić za taką drobnostkę! Zrobiło jej się słabo i duszno, a świat wokół zawirował. Zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy dostała pierwszej miesiączki. Miała wtedy osiemnaście lat i blade pojęcie o tym, co się dzieje z jej ciałem. W końcu przerażona, że krwawienie nie ustaje i zatamować tego nijak się nie daje, powiedziała Matce. Eugenia, nie mrugnawszy nawet okiem, wyjaśniła, jak się z tym „czymś” obchodzić, a na koniec surowo przykazała trzymać się z daleka od chłopców. Tak jakby wcześniej Klara za nimi latała.

A teraz ten raj miał zostać jej odebrany. Za sprawą Matki i Erdzika. Nie, nie może na to pozwolić!

- Posłuchaj, Norbert... Ja, ja nie mogę zrezygnować... Nikogo nie znajdą na moje miejsce, a nawet jak znajdą, to i tak nie wypada... - nie dokończyła, bo czerwonawa, spocona twarz chłopaka nagle znalazła się tuż przed nią. Ciasno przylgnął do niej swoim zwalistym ciałem.

- Bardzo cię kocham, Klaruniu! Zawsze cię kochałem! - Norbert nie wytrzymał napięcia i obsypał ją pocałunkami. Był w siódmym niebie. Marzył o tym od zawsze, a teraz nareszcie było mu wolno. Dygotał cały, kiedy przesuwiał dłońmi po szyi, ramionach i piersiach dziewczyny.

Klara zesztyniała. Lęk, który w niej drzemał od tamtego pamiętnego dnia w Rągowej stodole, rozlał się teraz szeroką

falą w jej piersi. Krtań zacisnęła się w spazmie przerażenia. Nie mogła ani nabrać powietrza, ani wydobyć głosu. Bezwładnie, jak szmaciana lalka, upadła na tapczan popchnięta lekko przez Erdzika. Z całych sił zacisnęła powieki, aż z kącików popłynęły łzy.

- Nie płacz kochana. Ja też, ja też... - stękał Norbert, nieporadnie zsuwając jej majtki.

Klara postanowiła nie czuć nic.

7.

- Magister dzwoni! Magister dzwoni!

Głos Różyckiej wyrwał Klarę z otępienia. Poderwała głowę i spojrzała pytająco w stronę bufetowej. Tamta przecząco pokręciła głową.

- Nie, nie do ciebie. Do Cedrowianki.

Klara w milczeniu patrzyła na Wandę Cedrowską maszerującą wolno i dostojnie do telefonu. Dziewczyna triumfalnie kołysała zbyt szerokimi biodrami. Ujęła słuchawkę i nie przestając spoglądać na Klarę z wyższością i satysfakcją, zaczęła szczebiotać do aparatu. Nie zważając na pełne niezadowolenie spojrzenie Różyckiej, wsparła łokcie o blat baru, uniosła prawą stopę i zsunęła z pięty pantofel. Kołysała nim nonszalancko w przód i w tył, raz po raz wybuchając sztucznym, wymuszonym śmiechem.

- Dziś wieczorem? Oczywiście, że mam czas, panie Stanisławie, to znaczy... Stachu - wyraźnie się zaczerwieniła, wypowiadając imię Magistra. - Zaraz po pracy? Pewnie, że

możesz po mnie przyjść... No, ale myślałam, że jak zwykle zjesz u nas obiadek... Mamy dziś zraziki z gryczaną... I buraczki... tak jak lubisz...

Klara nie słuchała dalej. Obiadek, zraziki, buraczki... - przedrzeźniała w myślach Cedrowiankę. Zmarszczyła brwi i ze złością popatrzyła na złotą obrączkę. Z prawdziwego złota. Żaden tam tombak. Matka się dobrze zna. „Szeroka i ciężka” - mówiła, kiwając głową z uznaniem.

A przecież to wszystko nie tak miało być. Erdzik dawno już wyjechał, a ona w jakiś tajemniczy i niezrozumiały dla siebie sposób znalazła się na marginesie życia towarzyskiego. Dawni wielbiciel przestali zagadywać i prawić komplementy, koleżanki jej unikały, jakby w obawie, że i one mogą się tym czymś zarazić. Nagle wokół powstała pustka. Z początku myślała, że to złudzenie, że jej się tylko tak wydaje. Potem, że to szybko minie, bo dziewczyny najpewniej zazdroszczą, a chłopcy są zwyczajnie zakłopotani. Ale to trwało i trwało. Poczowała się oszukana. Ta obrączka na palcu miała przecież dodać jej atrakcyjności, być takim niewinnym zarcikiem, z którego będą się wszyscy razem z nią śmiali. Nic podobnego. Została z tym zupełnie sama. Straciła nawet Kryskę Czechowiankę, która od dnia ślubu nie odezwała się nawet półsłowem. Tylko Matka z Olą nie posiadały się z radości. Miały taki swój rytuał. Raz w tygodniu kazały jej siadać i dyktowały jedna przez drugą list do Erdzika. I Klara pisała. Jak to jej smutno dni upływają, bo tęskni. Że wkrótce, tak jak prosił, skończy pracować w knajpie, ale na razie nie może, bo nie mają nikogo na jej miejsce, a i w domu się im nie

przelewa, to i każdy grosz się liczy. A jakby co od niego przyszło, to Matka przykazała listonoszce, że wpierw do jej rąk ma trafić. I trafiało. Potem Klara dostawała przeczytane listy, a pieniądze lądowały w szufladzie, którą Eugenia skrzętnie zamykała na klucz.

A teraz też Magister. Jej Magister. Wtedy, na balu sylwestrowym tak ładnie się zachował. Można powiedzieć, że ją uratował. A już jej reputację to z całą pewnością. Wielka szkoda, że nie był ani trochę przystojny. Taki niski i chuderlawy. I te paskudne zęby... Właściwie to się jej wcale nie podobał, ale była mu bardzo wdzięczna. Bardzo. Ujął ją tą swoją rycerskością. I był w tym taki stanowczy. Łagodny, ale stanowczy. Nie znała takich mężczyzn. Nikt nigdy nie stanął w jej obronie. Erdzik też nie, choć się wielokrotnie zaklinał, że ją tak kocha bezgranicznie.

A może jednak był ktoś taki? Kiedyś, raz, Jasiek... Wtedy, w tej stodole... - Wspomnienie młodego Łempickiego przyprawiło ją o szybsze bicie serca. Zalała ją nagła fala gorąca. - Co się właściwie z nim stało? Całkiem się zapadł pod ziemię. Po prostu wyjechał i już. Wieści nijakich nie ma. Nawet stara Łempicka nic nie wie.

I tak jak Jasiek wcześniej, to teraz Magister z Rągowych łąp ją wyratował. Ale na tym podobieństwa z Jaśkiem się kończą. Magister jest bardzo mądry i wykształcony. Wszyscy wokół tak o nim mówią. I patrzcie, pomimo tego zainteresował się nią - prostą dziewczyną bez szkół. Przynajmniej tak było do czasu tego idiotycznego ślubu. Zaprosił ją kilka razy na spacer, często dzwonił do niej, do knajpy. Bardzo jej to

schlebiało. I tak jak się nagle zaczęło, tak wszystko się nagle urwało. Bezpowrotnie. Bezpowrotnie? Klara nie może zapomnieć, w jaki sposób patrzył na jej dłonie, kiedy jak zwykle serwowała mu obiad. Potem spojrzał jej prosto w oczy. Z wyrzutem. Powiało chłodem. I czymś jeszcze... Trudno jej było znaleźć odpowiednie słowo. Jakby pogardą? Nie powiedział ani słowa, ale od tamtej pory wyraźnie jej unikał. Nie, nie unikał. Ignorował. Kompletnie nie zauważał, jakby była niewidzialna. Dalej stołował się w knajpie, ale ostentacyjnie siadał przy stolikach obsługiwanych przez Wandę. I dzisiaj, z tego, co usłyszała, też miał tu przyjść. Do Cedrowianki. Co miała zrobić? Stanąć przed nim i krzyczeć: „Jestem tu! Popatrz na mnie! Oni mnie do tego zmusili! Ja nie wiedziałam...!”. Nie ma mowy. Tak nisko jeszcze nie upadła. Ale Magistra mus jest odzyskać. Tak czy siak.

Z ponurych myśli wyrwał ją gwar wchodzących do knajpy gości. Hałaśliwy sznur mężczyzn przesunął się gęsiego przed nosem Klary i skierował prosto do bufetu. Wyglądało to tak, jakby ci ludzie stali w blokach startowych przed gospodą i po usłyszeniu wystrzału wbiegli truchtem do środka. Klara spojrzała na zegar wiszący nad szynkwasem. Wszystko jasne. Dwie po trzynastej. Wzdrygnęła się i ruszyła na odsiecz obleżonej Różyckiej.

- Siadać do stolików! Wszystko się poda! Nie stać mi tu, bo powietrza brakuje! - bufetowa wachlowała się chusteczką. Była przyzwyczajona do duchoty i nieświeżych zapachów, ale odór przetrawionego alkoholu zmieszany z fetorem dawno niemytych ludzkich ciał i zwierzęcego łajna w takim natężeniu

był i dla niej nie lada wyzwaniem.

- Rączki całujem pani Różycka... Pewnie, że już siadamy... Nie trzeba się tak denerwować... - Mężczyźni posłusznie zaczęli zajmować stoliki i składać zamówienia Wandzie i Klarze. Dziewczęta mogłyby właściwie zacząć roznosić wódkę i zakąski w ciemno, ale grzecznie krążyły między stolikami i bazgrały w swoich bloczkach.

Tuż po piętnastej uchyliły się drzwi i do środka wmaszerował Magister. Wyprostowany i sztywny jak zwykle. Bez zastanowienia skierował się do stolika, przy którym zwykł siadać po odkryciu „niewierności” Klary. W połowie drogi zdał sobie sprawę, że stolik jest zajęty. Pozostałe, należące do Wandy, również. Zatrzymał się. Lekko zmieszany, rozejrzał się po sali. Co do diabła? Skąd ten tłum? - zajęło mu dobrą chwilę, zanim uświadomił sobie, że to jest dzień wypłaty i na szybkie zwolnienie stolika raczej nie ma co liczyć. A dosiadania się do kogoś nie znosił. Nie wyobrażał sobie towarzyskiej, niezobowiązującej rozmowy z całkiem obcym człowiekiem, a już wspólny posiłek był wykluczony. No bo niby o czym? I w imię czego? Zresztą nie ma z kim. Poziom tych pijaczków jest zniesmaczający. Mógłby odebrać apetyt. Opanował konsternację i z wysoko uniesioną głową usadowił się przy jednym z pozostałych dwóch wolnych stolików. Czekał na Klarę, bębnił palcami w blat stołu. Dłonie miał niewielkie, białe z perfekcyjnie obcięzonymi paznokciami.

- Dzień dobry, panie Stachu. Czym mogę służyć? - Klara niemal wyszeptała te słowa, stając przed Magistrem ze spuszczoną głową. Pilnie liczyła coś w swoim bloczku.

- Ponoć dzisiaj są zrazy z kaszą gryczaną. Wanda wspominała. Poproszę. I setkę żytniej. Tylko żeby była dobrze schłodzona – nie spojrzał na nią nawet przez sekundę, ale doskonale wiedział, jak była ubrana i uczesana i jak ślicznie jej z tą białą opaską we włosach. Wanda się do niej nie umywała. Dziewczyna była jak z obrazka. Nigdy wcześniej takiej nie spotkał. Takie jak ona zwyczajnie nie istniały. Tylko co u licha robiła ta obrączka na jej serdecznym palcu?

Nie czekał długo. Klara zlekceważyła kilku natarczywych, dobrze już podchmielonych klientów i pobiegła wprost do kuchni zrealizować zamówienie Magistra. Wprowadziła w niego lada zdumienie kucharza – pana Miecia, instruując go jak ma nakładać kaszę na talerz, żeby nie zmieszała się z buraczkami. Wybiegając z kuchni, schwyciła w locie podany jej przez Różycką, wypełniony po brzegi kieliszek wódki. Przebiegła przez całą salę. Tuż przed stolikiem Magistra postanowiła zwolnić i domaszerować z godnością, ale podeszwy jej tanich pantofli straciły nagle przyczepność na śliskiej posadzce i runęła z tacą na ziemię. W knajpie zapanowała nagle cisza, ktoś w drugim końcu sali zachłysnął się pijackim rechotem, który jednak szybko zgasł, stłumiony brakiem odzewu.

Klara na kolanach zbierała skorupy. Do buraczków kapały jej łzy większe od grudek posklejanej kaszy gryczanej, która zmieszana z sosem do zrazów i wódką utworzyła na posadzce małe, wydające ostrą woń bajorko. Nawet nie poczuła, kiedy w dłoń wbił jej się ostry fragment kieliszka. Jaskrawoczerwona krew popłynęła wartkim strumyczkiem.

Tego było już za wiele. Magister nie wytrzymał napięcia. Podrywając się od stolika, wyszarpnął z butonierki nieskazitelnie białą chusteczkę. W chwilę później klęczał przy dziewczynie i obwiązywał nią jej dłoń. Nikt nawet nie drgnął. Gruba Różycka stała nieruchomo za barem i w skupieniu obserwowała tę dziwną scenę, jakby żywcem wyjętą z niemego filmu bardzo pośledniej klasy. Magister łagodnie uniósł skaleczoną dłoń Klary powyżej serca. Nie puszczając jej ręki, pomógł dziewczynie podnieść się z podłogi. Narzucił jej swój płaszcz na ramiona i skierował do wyjścia.

- Ambulatorium w przychodni powinno być jeszcze czynne. Zaprowadzę cię. Może trzeba będzie szyć. Nie płacz, nie będzie bolało.

- Wandziu, co się tak gapisz? Trzeba to posprzątać. Samo się nie zrobi. Raz-dwa, dziewczyno - słodkim jak miód głosem Różycka dotknęła niewidzialnego przełącznika, wypełniając salę na powrót gwarem i dźwiękami.

8.

- Niepotrzebnie się pan fatygował. Klary nie ma i nie będzie. - Eugenia mierzyła niechętnym spojrzeniem Magistra, od dłuższej chwili stojącego nieruchomo w jej ciasnej kuchni. Zastygł tuż przy drzwiach, wyprostowany i sztywny jak zwykle. Ciemny garnitur, na nim nienaganny prochowiec, a w dłoni czarny parasol z rzeźbioną drewnianą rączką. Było co podziwiać. I Magister podziwiał. Nie odrywał spojrzenia od własnego odbicia pyszniącego się w lustrze wielkości dorosłej

osoby, które z braku miejsca zawieszono zostało na bocznej ścianie olbrzymiego kredensu królującego tuż przy drzwiach łączących się z kuchnią. Na Eugenię nie patrzył prawie wcale. W ogóle nie zauważył bliźniaczek, które siedziały przy kuchennym stole i gapiły się na niego z rozdziawionymi buziami.

Całe szczęście, że dziewczuchy ogarnęły nieporządek – pomyślała z ulgą Eugenia. – I tak już dość jest powodów do wstydu.

– Jak to nie ma? Przecież byliśmy umówieni? Miałem ją zawieźć na wizytę kontrolną, czy aby noga się dobrze zrasta. No i szwy z kolana najwyższy czas zdjąć.

– Powtarzam panu, że nie ma. I nie będzie. Jest gdzie indziej, pod dobrą opieką. Jak panu z pewnością wiadomo, Klara jest mężatką i nie umawia się z mężczyznami... – Eugenia urwała, bo zza zamkniętych drzwi prowadzących do pokoju, do którego broniła dostępu własnym ciałem, dobiegły stłumione odgłosy, coś na kształt szarpaniny. Ktoś poruszył kilkakrotnie klamkę.

– A co to znaczy? – zupełnie niezbity z tropu Magister oskarżycielsko wycelował palcem wskazującym w klamkę, która – jak na zawołanie – znowu się poruszyła. Drzwi się uchyliły i w kuchni pojawiła się spocona i lekko potargana Aleksandra.

– To?! To Olenia, moja najstarsza. O! Tę pan sobie weź. Jest niezamężna i wykształcona! I dużo od Klary ładniejsza!

– Ale co też mama opowiada! – dziewczyna zaczerwieniła się jeszcze bardziej i spojrzała na Matkę z wyrzutem.

- A pani, to widzę, że córki jak kozy traktuje. Jak tak można? Ja jestem, proszę pani, z Klarą umówiony. Panno Aleksandro, czy wiadomo pani, gdzie jest siostra? - Jak na osobę tak bardzo niepożądaną i niemile widzianą Magister poczynał sobie niezwykle śmiało. Ani na chwilę nie stracił rezonu i pewności siebie. - Mnie się wydaje, że pani przetrzymuje córkę siłą, wbrew jej woli. Pani córka jest osobą dorosłą i to, co pani robi, jest przestępstwem.

- Co pan mi tu za brednie opowiada?! Ja nikogo nie przetrzymuję! Ja moje córki znam, sama je wychowałam. Samiuteńka! Bez niczyjej pomocy! Bez ojca! To są spokojne i bardzo posłuszne dziewczyny. I zrobią, co ja im każę! Rozumie pan?! Tylko ja! Zawsze! A pan tu przyszedł szargać opinię Klary. Niby taki wykształcony! Pan się wynosi! Natychmiast!

- Klara prosiła, żeby panu przekazać, że nie będzie się z panem widywać, że kocha męża i niedługo do niego pojedzie. Do Australii znaczy się. Zresztą tu jest wszystko napisane. Proszę... To jest od niej list. - Aleksandra uznała, że najwyższy czas zażegnać kroczącą wielkimi krokami awanturę. Ze spuszczonego wzrokiem podszła do Magistra i wręczyła mu wymięty świstek papieru. Mężczyzna ujął list w dwa palce, spojrzął na niego z niedowierzaniem i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Rozmyślił się, zacisnął wargi w poziomą, wąską kreskę, a na jego policzkach wyraźnie zarysowały się pracujące mięśnie żuchwy. Bez słowa obrócił się na pięcie, w przelocie obdarzył swoje odbicie ostatnim gniewnym spojrzeniem i wyszedł.

Co to za rodzina jest? – wściekał się, maszerując przez podwórko. – Matka wariatka i stręczycielka. Córunie też nie lepsze. I Klara... Tego się po niej nie spodziewał. Mała cwaniara i oszustka. A jakie mu bajki opowiadała! Bidulka! Ty idioto! Kiedy się wreszcie nauczysz, że te baby wszystkie jednakie? Magister sięgnął do kieszeni i kolejny raz przebiegł wzrokiem po literach, które złożyły się w upokarzającą go treść. Narzuca się?! On jej?! Bezczelna dziewczucha! W dodatku co za koszmarne błędy! – Ponownie zmiął kartkę i już miał ją cisnąć na ziemię, kiedy coś go zastanowiło. – Błędy? Ten list wyglądał tak, jakby napisała go osoba nie za bardzo radząca sobie z formułowaniem zdań w ojczystym języku. Pal licha ten wysyp błędów ortograficznych, ale składnia! Tragiczna! – Magister wprawdzie nie wiedział, jak z ortografią radzi sobie Klara, ale pamiętał, że zawsze mówiła ładnie, potoczyście i poprawnie. Lubił jej słuchać, kiedy coś opowiadała. I to była wielka rzadkość, bo zazwyczaj nie słuchał nikogo. Zafrapowany dokonany odkryciem starannie wygładził pomiętą kartkę papieru, schował ją do kieszeni płaszcza i skierował się do gospody. Żeby tylko była Różycka – pomyślał.

Bufetowa była na miejscu. Jak zwykle królowała za barem z ołówkiem w dłoni. Coś skrzętnie liczyła, kreśląc w zeszycie długie kolumny. Od czasu do czasu podnosiła wzrok i kontrolowała salę uważnym spojrzeniem.

– To już będzie trzeci dzisiaj. Wystarczy, panie Mieciu.

Magister stanął jak wryty tuż przed barem, nijak nie mogąc zrozumieć znaczenia tych słów. Różycka nawet nie

drgnęła, tylko jej prawa brew leciutko powędrowała do góry. Dopiero po chwili Magister dostrzegł za plecami Różyckiej, w drzwiach prowadzących na zaplecze i do kuchni, łysiejącą głowę kucharza – pana Miecia. Stał tam jeszcze jakąś chwilę, grzecznie i cichutko, z pustą literatką w dłoni. Kiedy dotarło do niego, że bufetowa nie zmieni zdania i nie uzupełni mu szklaneczki, pokiwał smutno głową i zniknął tak samo bezszelestnie, jak się pojawił.

Magister z podziwem popatrzył na Różycką.

- Ma jakąś sprawę czy na obiad wcześniej przyszedł? - Konkretność i bezpośredniość tej kobiety zaczynały go fascynować.

- Ja... Tak... Dzień dobry... To znaczy...

- A dzień dobry. Będzie mi się tu jąkał cały dzień? - Magister oniemiał. Nigdy w swoim życiu nie doświadczył takiej obcesowości skierowanej wprost do niego. Zesztywniał jeszcze bardziej i spochmurniał.

- Jeśli o Klarę się rozchodzi, to jej nie ma. Na zwolnieniu jest. Coś z kolanem sobie zrobiła.

- Tak, wiem. Hmm – chrząknął kilka razy. - Uczyłem ją jeździć na komarze i tak niefortunnie...

- Niefortunnie? - Różycka dopiero teraz podniosła głowę i spojrzała z zainteresowaniem na Magistra. - Ano niefortunnie, bo ponoć szwy miała zakładane. Trzy albo i cztery.

- No tak... Tego się nie dało przewidzieć. Niestety. - Magistrowi było naprawdę przykro. Różycka pokiwała pojednawczo głową. - Ja to właściwie miałem się z Klarą

dzisiaj u niej w domu zobaczyć, ale...

- U niej w domu? - przerwała Różycka wyraźnie zaskoczona. - I co? Zobaczył się?

- No niestety nie. Jej matka powiedziała, że Klary nie ma, co już jest samo w sobie bardzo dziwne, ale jeszcze dziwniejszy jest ten list, który dostałem i który rzekomo jest autorstwa Klary. - Magister jakby nabrał wiatru w żagle w swojej opowieści, kompletnie nie zważając na ironiczne spojrzenie bufetowej. - No właśnie. To! - Tu postukał palcem w rozłożony w międzyczasie na kontuarze spłachetek papieru. - To jest bardzo dziwne. Ten list. Nic się tu nie zgadza, ja nic z tego nie rozumiem. No i te paskudne błędy! Chodzi o to... Chodzi o to, pani Różycka, czy ten list na pewno napisała Klara? - ośmielony zainteresowaniem, jakie wywołał, utkwiał swoje wodniste oczy w twarzy Różyckiej.

- Skaranie z wami, młodymi, i z tą waszą miłością - westchnęła bufetowa. - Eugenia będzie wściekła, ale trudno... Sama jej mówiłam, że z tym ślubem to głupi pomysł, i że będzie to musiała wziąć na swoje sumienie. Daj pan to bliżej, zaraz sprawdzimy. Tu gdzieś są bloczki Klary.

Szperała chwilę w szufladzie, po czym wyciągnęła z niej dwa grube, całkiem zapisane bloczki zamówień. Z kieszeni fartucha wyjęła potężne okulary i założyła je na nos.

- Strasznie mi się wzrok w nich męczy, toteż staram się nie używać za często... - wyjaśniła lekko zaskoczonemu Magistrowi. - Do liczenia nie potrzebuję. - Na jej ustach wykwitło coś na kształt uśmiechu zadowolenia.

- Tak jak myślałam. To nie Klara pisała ten list. To jest

pewne – podsunęła pod nos Magistrowi list i jeden z bloczków. W jednym i drugim zakreśliła ołówkiem imię Klara. – Niech sobie porówna. To nie jej charakter pisma.

Magister uważnie wpatrywał się we wskazane słowa. Pokiwał głową. Zamyślił się, a właściwie zastygł przy kontuarze z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Różycka przyglądała mu się z wielkim zainteresowaniem. I jakoś tak pobłażliwie. W końcu uznała, że czas wracać do pracy.

– No, to ma teraz zupełną jasność. I co z tym dalej myśli zrobić? – Na to pytanie, które rzuciła przez ramię, wcale nie oczekiwała odpowiedzi. Od dłuższej już chwili demonstrowała Magistrowi swoje okazałe plecy.

9.

Klara patrzyła w sufit. Z jej oczu obficie płynęły łzy. Sama już nie wiedziała, czy to z powodu bólu tego przeklętego kolana, czy ze złości na Matkę i siostry? A może z żalu nad sobą samą i obecnym, tak bardzo przygnębiającym położeniem? Leżała tu już trzeci tydzień z zagipsowaną nogą ułożoną na stercie pierzyn i poduszek. Sprawa była bardzo poważna. Poharatane kolano zszyto w kilku miejscach, pęknięta kość wymagała usztywnienia. W taki to opłakany sposób zakończyła się romantyczna randka, na której Magister uczył ją jazdy komarem. Martwiła się, bo motorower całkiem się pogruchotał, a przecież pożyczony był z PGR-u. Żeby tylko Magister nie miał z tego powodu jakich nieprzyjemności. Bo z pracy to go chyba za to nie wyrzucą?

Po tym upadku wszystko zaczęło się dziać jakby obok niej. Jak na niemy filmie, który oglądała z pewnym zaciekawieniem, ale też bez zbytniego zaangażowania. Przed oczyma przesuwwały się obrazy, których chronologii dziś już nie pamiętała. Magister razem z nią w ambulansie i potem na korytarzu szpitala, w oczekiwaniu na wieści o jej nodze. Jego kredowobiała, przerażona twarz. Zapodziała się gdzieś wtedy całkowicie ta jego zwykła sztywność. Klara miała wrażenie, że był bardzo bliski płaczu. Na szczęście nie trzeba było operować. Złamanie okazało się proste, bez przemieszczenia, a rany, choć dość głębokie i długie, to jednak po oczyszczeniu dały się ładnie pozszywać. Ale blizny na pewno będą widoczne. Pal licha blizny! Najgorszą przeprawę mieli z Matką. Dostała spazmów wściekłości. Wyzywała Klarę od najgorszych. Nie zważając na jej stan, chciała ją bić skórzanym pasem. Magister cudem ją powstrzymał i jakoś uspokoił, ale długo po jego wyjściu krzyczała, że teraz wszyscy w miasteczku będą je palcami wytykać. Całą rodzinę. I to wszystko za jej sprawą, bo jak żyje nie widziała, żeby jakaś mężatka tak się prowadziła. I że na pewno już tego traktowania posmakowała w drodze do domu. I niech się przyzwyczajają, bo to już będzie jej chleb powszedni. I nie ma innego wyjścia, tylko jechać do męża, do Australii. Koniec, kropka, klamka zapadła.

Mówiła prawdę. Cała kamienica wyległa, kiedy Magister prowadził kuśtykającą Klarę od taksówki do drzwi chałupy. Gapili się zachłannie, niezdrowo, wężąc skandal i tanią sensację. Klara nie lubiła ich i mało znała. Nie chciała ich

poznawać. Może dlatego, że pozajmowali mieszkania po osobach bliskich jej sercu. Ze starych lokatorów ostali się tylko Łempiccy z najmłodszymi córkami.

Niedługo po śmierci Hanki zmarła Helgowa babka. Helga bardzo to przeżyła. Klara pamięta, że ta śliczna kobieta zapadła wtedy w jakieś otępienie. Nigdzie nie wychodziła, z nikim nie rozmawiała. Całkiem nie było z nią kontaktu. Nic już potem nie było takie samo. Właściwie to zmiany w relacjach między mieszkańcami kamienicy zaczęły się już od choroby Ojca. Wyglądało to tak, jakby z jego powrotem do domu przywlokło się jakieś fatum i rozgościło na dobre. Wszystko zaczęło się psuć. Najperw bardzo ochłodziły się stosunki między Eugenią a Helgą. Klara nie mogła zrozumieć, dlaczego te dwie kobiety, które do tej pory tak bardzo się lubiły, raptem zaczęły się unikać. Ledwie się sobie kłaniały, a po dawnej przyjaźni i zażyłości zostało jedynie mgliste wspomnienie. Dziewczyna pamiętała, ile to musiała się w tamtym okresie nagimnastykować, żeby jej pozwolono, jak dawniej, pójść do Helgi i Babki. Obie były na pogrzebie Ojca, ale w kościele siedziały w bocznej nawie, z dala od rodziny i reszty mieszkańców kamienicy. A na cmentarzu Klara wypatrzyła je dopiero, kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić do domów w wielkim niezadowoleniu z powodu braku stypy. No bo kto to słyszał, żeby nawet obiadu nie podać żałobnikom? Matka nie miała do tego głowy. Była cały czas pod wpływem leków uspokajających. Codziennie jeden zastrzyk. Bez tego nie była w stanie funkcjonować i zajmować się dziećmi ani domem. Klara wiedziała, że Gruba Różycka chciała tę stypę

zrobić w gospodzie. Rozmawiała o tym nawet ze Starszą Panią, babką Klary, ale nic z tego nie wyszło, bo Matka bardzo temu pomysłowi była przeciwna. Nawet któregoś razu z jakąś złością wykrzyczała, że nikogo ku pamięci Jana karmić nie będzie. Sama też nie chce pamiętać. I stypy nie było.

Potem wszystko przybrało efekt domina. Lata płynęły, a życie w kamienicy zaczęło obumierać. Cały świat Klary rozpadał się, cegielka po cegielce. Choroba i śmierć HANKI Łempicczanki. Wyjazd Geometry gdzieś na drugi kraniec Polski. Próba gwałtu, z której cudem ją JASIEK wyratował, a potem sam przepadł jak kamień w wodę. Klara nie zdążyła się nawet zastanowić, czy coś do niego czuje. Teraz często o nim rozmyślała, przeważnie, kiedy było jej bardzo źle i smutno, i robiło jej się od tego jakoś lżej i cieplej w środku. Wreszcie śmierć Helgowej babki i niedługo potem wyjazd Helgi do Niemiec. Klara nie mogła w to uwierzyć, choć od dawna po kamienicy chodziły słuchy, że odnalzła się w NRD jakaś ich kuzynka, która długo słała listy, chcąc do siebie ściągnąć obie – Helgę i Babkę, ale póki Babka żyła, nie chciała o tym w ogóle słyszeć. Po jej śmierci Helga się załamała. Klara pamiętała, jak któregoś razu pojawiła się w kamienicy obca, wysoka blondynka. Kubek w kubek Helga, tylko starsza i bardzo elegancka. Pięknie pachniała i miała prawdziwe skórzane rękawiczki na dłoniach. Mówiła tylko po niemiecku, ale nie to sprawiało, że wydawała się Klarze niedostępna. Patrzyła na wszystko i wszystkich z góry, pogardliwie i jakby z odrazą. I właśnie ta kobieta zabrała Klarze Helgę. Na zawsze.

Wspomnienie tej straty, tak ciągle żywe i nigdy naprawdę nieprzebolełe, wydarło z jej piersi głośny szloch.

- Czego znowu ryczysz? - dobiegł ją od progu głos Matki.
- Sama sobie jesteś winna.

- To był Magister? Ola nie pozwoliła mi zobaczyć...

- Magister nie magister, to bez znaczenia. O nim zapomnij. Bóg cię pokarał tą nogą, żebyś do rozumu wreszcie doszła. Męża masz i przyszłość z nim. Dobre życie będziesz miała. Lekkie. Nie to, co tu. I Oli pomożesz. O tym myśl, nie o jakichś mrzonkach.

- Ale ja...

- Jakie ja?! Jakie ja?! Ty masz obowiązki wobec rodziny, wobec sióstr. Głupia jesteś, zawsze byłaś. Szkoda, że na ciebie trafiło, a nie na Oluškę. Trudno. Ale to jest wielka szansa i ja nie pozwolę ci jej zmarnować. Choćbym miała trupem paść!

- Mamo, ale ja nie mogę... Ja nie mogę!

- A co to za jakieś bzdury znowu są? Ja ci tu uroczyście przysięgam, że możesz. Nie tylko możesz, ty musisz! I będziesz! Przysięgam Erdzikowi i słowa dotrzymam! - Eugenia wpadła w szal.

Złość Matki zawsze działała na Klarę paraliżująco. Kiedy tylko Eugenia podnosiła głos, Klara starała się być niewidzialna. Milkła i nieruchomiała. Niezdolna była do stawienia Matce oporu. Jakikowlek sprzeciw był nie do pomyślenia. Najgorszy był lęk, który ścisnął za gardło i świadomość, że to wszystko przez nią, że znowu jest winna kolejnej katastrofy. Zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy pocięła matczyną firankę. W takich chwilach czuła, że najlepiej byłoby

przestać istnieć. I Klara robiła wszystko, żeby nie istnieć. Nawet wstrzymywała oddech.

Ale tym razem coś w niej pękło. Była jak więziony w klatce ptak, któremu systematycznie wyrywa się pióra, gdy tylko zaczyna się szamotać. Tylko po to, żeby z całym okrucieństwem uświadomić mu, że wcale nie został stworzony do latania. Po latach takim ptakom zostawia się drzwiczki klatki otwarte na oścież. I tak nigdzie już nie polecą. Zostaną w klatce do końca, do własnej śmierci, niezdolne nawet do podjęcia próby sprawdzenia, czy z reszty piór, która im pozostała, mogą jeszcze zrobić jakiś użytek.

Klara nagle poczuła, że to ostatni moment, żeby sprzeciwić się Matce. Gromadzone latami strach, żal i frustracja spiętrzyły się w stos desperacji, która wzmocniona fizycznym cierpieniem wydarła z jej trzewi coś na kształt skowytu. Zniosła się tym zwierzęcym krzykiem, wypełniając pokój dźwiękami, których te ściany nigdy nie słyszały i nie były w stanie zrozumieć. Eugenia patrzyła na córkę w osłupieniu, zaskoczona, ale bez przestachu czy zmieszania.

- Co tobie?! Oszalałaś?! Ludzie usłyszą!

- Boże, Boże, Boże... - jęczała udręczona Klara. Dłońmi chwyciła swoje ciemne kosmyki z taką mocą, że zbieleły jej knykcie. I tak jak znenacka zaczęła krzyczeć i płakać, tak samo niespodziewanie przestała. Wyplątała ręce z włosów i wierzchem dłoni otarła mokre policzki. Wyprostowała się w sobie i spojrzawszy twardo i nieustępliwie na Matkę, oznajmiła:

- Jestem w ciąży.

Eugenia przysiadła całym ciężarem swego szczupłego, krzepkiego jeszcze ciała na drugiej wersalce. Po twarzy było widać, że myśli bardzo intensywnie. W pewnym momencie zaczęła sobie coś obliczać na palcach.

- Niech mama się nie męczy. To nie jest dziecko Erdzika. - Klara wydawała się zaskoczona satysfakcją, jaką sprawiły jej te słowa. Nie chodziło o ich treść, ale o wywołany przez nie efekt. Smagnęła więc Matkę jeszcze raz:

- Będzie trzeci miesiąc, jak nie mam miesiączki. Magister jest ojcem.

- Ty... ty na pewno coś poplątałaś. To pewnie piąty miesiąc. Po mnie też długo nie było nic widać. Za każdym razem... jak was cztery urodziłam... wszyscy się dziwili...

- Pięć - powiedziała twardo Klara. - O Marysi mama nie pamięta? Nic nie poplątałam. Doktor mnie badał, jak kolano mi pozszywali. Wtedy powiedział, że drugi, to teraz będzie początek trzeciego.

- To nie może być prawda. Nie może być... Tobie się pewnie wydaje... Miesiączki nie masz z nerwów po tym wypadku... Tak, to jest możliwe... A te doktory to same nic nie wiedzą. W kółko się mylą. Twojego ojca na kaszel najpierw leczyli, potem na płuca, jak się zorientowali, że to rak krtani, było już za późno... Tak, to na pewno jest pomyłka... Jak tylko gips ci zdejmą, zaraz do Erdzika pojedziesz.

- Nigdzie nie pojedę. To koniec. Rozumie mama? Koniec Australii, Erdzika i tego durnego małżeństwa. Koniec.

To było bardzo dziwne. Ta hardość u Klary. I jej stanowczość. Eugenia nigdy tego nie doświadczyła ze strony

młodszej córki. Przez myśl jej nawet nie przeszło, że Klara może być do tego zdolna. Więcej. Zaskoczyło ją, że ta prosta i głupiutka dziewczyna może mieć jakieś swoje pragnienia i oczekiwania względem życia. I że może wymknąć się spod jej kontroli.

Eugenia poczuła strach. Właściwie strach to zbyt duże słowo. Ogarnął ją niepokój, jaki czuła za każdym razem, kiedy stawiała twarzą w twarz z niewiadomą. Nie znosiła sytuacji, których nie mogła kontrolować albo przynajmniej przewidzieć ich zakończenia. Nie zdarzało jej się to często. Raptem kilka razy w życiu. Prawdziwy strach czuła tylko raz. Wtedy, kiedy dotarło do niej, że Jan nie wyzdrowieje i nijak nie mogła sobie w głowie ułożyć równania, w którym go zabraknie. Bo Jan był niezbędną częścią składową każdego równania dotyczącego jej życia. Nawet wtedy, gdy był fizycznie nieobecny. To było bez znaczenia. Jan BYŁ zawsze. Długo trwało, zanim oduczyła się myśleć, że Jan JEST. Umieblowanie nowej rzeczywistości – PO Janie, zajęło jej wtedy tylko chwilę.

Dźwignęła się z wersalki, podeszła do Klary i uderzyła ją z całej siły w twarz.

- Ty mała, wredna kurwo. Zajmiemy się tym bękartem, jak tylko zdejmą ci gips. Zaraz potem popłyniesz do Erdzika. Koniec z tym twoim chodzeniem samopas! I koniec Magistra! Słyszysz?! Koniec! - obróciła się na pięcie w poszukiwaniu czegoś. Na haku przy drzwiach wisiał szeroki, skórzany pas z ciężką, metalową klamrą. Eugenia chwyciła go i podsunęła Klarze pod oczy. - Zrozumiałaś?!

Klara rozumiała. Bardzo dobrze. Znała ten pas od

najwcześniejszych lat swojego dzieciństwa. Nie żeby często doświadczała go na własnej skórze. Nie było takiej potrzeby. Wystarczała jej świadomość, że ten pas jest i wiedziała, do czego jest zdolny w rękach Matki. Nigdy nie zapomni nieprzytomnej Kasi leżącej na kuchennej podłodze w kałuży krwi. Zawsze potem, bijąc którąś z córek, Matka starała się trzymać ciężką, masywnie kutą klamrę mocno w rękę. Nie było to łatwe z uwagi na jej rozmiary. Klara przyglądała się teraz tej klamrze okrągłymi, nieruchomymi źrenicami. Zastanawiała się, ile swoich rzeczy zdoła zabrać ze sobą, opuszczając dom dziś w nocy.

10.

- A kogo tam czort znowu niesie?! Co to za pomysły, żeby o tej porze ludziom głowę zawracać? Pali się czy co?! - Zrządzeniu Różyckiej nie było końca, ale gdy doczłapała się do drzwi wejściowych, otworzyła je bez wahania, nie sprawdzając, kto za nimi stoi.

Taka już była. Nieustraszona. Inna sprawa, że w miasteczku to się raczej jej bano. A szacunek i posłuch to miała u wszystkich bez wyjątku. Z jej zdaniem liczył się każdy jeden, nawet ksiądz i sekretarz, nawet Krystian Rąg. Ten ostatni to unikał jej jak ognia od czasu, kiedy Luśkę pod knajpą pobił i Różycka wezwała milicję. Zabrali go na posterunek, ale nic mu nie zrobili, nawet go do wytrzeźwiająki nie zawieźli, choć mocno pijany był. Zamiast tego do domu go odwieźli i pouczenie dali, a Luśce odradzili jakąkolwiek skargę

składać. Strasznie to rozsierdziło Różycką, ale nic nie mogła zrobić. Luśce jeno poradziła, żeby z miasteczka jak najszybciej wyjechała. Sama jej zaraz pracę wyszukała w innym województwie. Od tej pory Rąg do gospody nie przychodził w ogóle. Widywała go czasem z żoną i dziećmi w kościele. Parę razy jej się niepewnie uklonił. Widać było po nim, że był wielce zawstydzony. Różycka nie odkloniła się ani razu, ale za każdym razem twardo patrzyła mu w twarz. Bardzo to Rąga konfundowało. Udawał wtedy, że nie dostrzega tej jawnej konfrontacji, a nieme pytanie wypisane na twarzy żony zbywał wzruszeniem ramion. Ot, Różyckiej coś się na babskie humory zebrało albo i w głowie ze starości się miesza, bo lata to już swoje ma. Po takich afrontach, jakie mu bufetowa publicznie uczyniła, Krystian przestał ją w ogóle pozdrawiać, a i od chodzenia do kościoła w niedziele zaczął się regularnie robotą wykręcać.

Zaspany wzrok Różyckiej spoczął na stojącej pod drzwiami kupce nieszczęścia. Zziębnięta Klara ścisnęła w dłoni rączkę starej, tekturowej walizki obwiązanej rzemieniem. Drugą ręką przytrzymała pod brodą połę liczego płaszczyka, zarzuconego wprost na długą koszulę nocną, spod której wystawała gruba, foliowa torba z kolorowym nadrukiem. Torba, którą Klara założyła na zagipsowaną nogę przyciągnęła uwagę Różyckiej. Nigdy takiej nie widziała. Dłuższą chwilę próbowała złożyć kolorowe litery w słowa, które miałyby jakikolwiek sens. Wysilek był spory, bo zaczęła bezwiednie poruszać ustami.

- To po australijsku, pani Różycka. Nikt tego nie rozumie.

- Klara zaszczękała zębami. Była przemoczona i zziębnięta. Od siebie do domu Różyckiej miała spory kawałek.

To nie było łatwe. Czekala dobrych kilka godzin, aż rozmowy sióstr umilkną, a ich oddechy przejdą w równe i głębokie posapywania. Wiedziała, że Matka już dawno śpi za ścianą. Zawsze zasypiała najszybciej, a jej pochrapywanie niosło się po całym domu. Pierwsza też wstawała, jeszcze przed świtem.

Klara najciszej jak mogła zsunęła się z posłania i pokuśtykała w kierunku wielkiej, dębowej szafy z okazałym lustrem umocowanym na środkowych z trojga drzwi. Ostrożnie stawiała stopy na palcach, unikając stukania gipsem o drewnianą podłogę. Bardzo bolało. Z trudem wspięła się na drewniany zydelek i ściągnęła mocno zakurzoną tekturową walizkę, która ostatni raz była w użyciu, kiedy Matka przywiozła rzeczy Ojca ze szpitala. Postawiła ją wtedy w kuchni, przy swoim tapczanie i długo nie otwierała. W tamtym czasie, wielokrotnie zdarzyło się Klarze widzieć Matkę siedzącą nieruchomo ze wzrokiem opartym na tej walizce. Właśnie takie było wrażenie Klary - spojrzenie Matki nie było utkwione w tym tekturowym, podniszczonym pudle, ale się jakoś miękko o nie opierało. Takiego wzroku u Matki Klara nie widywała często. Dużo później Eugenia tak czasem patrzyła na Olę, kiedy ta przyjeżdżała do domu z internatu po dłuższej nieobecności. Była wtedy jakby zawieszona gdzieś pomiędzy tu i teraz a niewiadomym. Klarę bardzo fascynował ten stan u rodzicielki. Ich babkę chyba mniej, bo kiedy raz zaskoczyła Eugenię w takim momencie, kompletnie

nieprzygotowaną do jej wizyty, chciała walizkę natychmiast wrzucić do ognia. Eugenia stanowczo się matce wtedy sprzeciwiła, ale walizkę tego samego wieczora rozpakowała i umieściła na szafie. Nikt jej od tamtej pory nie ruszał.

Klara nie miała zbyt wielu rzeczy do zapakowania. Spódniczka i trzy bluzeczki, dwie sukienki, które nosiła w pracy, trochę bielizny, jakiś sweterek i para roboczych portek. Przez chwilę wahała się, ale ostatecznie cofnęła dłoń, która zawisała nad nowiuteńkim kompletem pościeli z adamaszku. Wiedziała, że Eugenia kupiła ją za dolary australijskie przysyłane w listach od Erdzika. Od niego, mojego męża. Nie, nie chcę - przemknęło jej przez głowę. Zamiast tego zabrała foliową torbę, w którą Matka zapakowała pościel, żeby nie wyblakła. Tę torbę, wypełnioną słodyczami, dostały w paczce. Od razu było widać, że ktoś w niej już gorączkowo grzebał, ale i tak od tych kolorów i zapachów zakręciło im się w głowach. Samej torbie też nie mogły się nadziwić. Z czego to było zrobione? I co tam było napisane? Eugenia nie pozwoliła im jednak zbyt długo się nad tym zastanawiać. Starannie złożyła ją w kwadrat i pieczołowicie umieściła w szafie. Na półce z nigdy nieużywaną pościelą, którą Bóg jeden raczy wiedzieć, dla kogo gromadziła z taką pasją. Przyda się do owinięcia gipsu - pomyślała mściwie Klara, ściągając plastikową reklamówkę z pościeli. Zamykając wieko, przyjrzała się zawartości walizki. Zaskoczyło ją, jak niewiele posiadała. A przecież tak ciężko pracowała od najmłodszych lat. Ostrożnie skradając się przez kuchnię, chwyciła swoją torebkę wiszącą na oparciu krzesła.

Pewnie przeszukana i wypatroszona jak zwykle. Grosza tam nie uświadczysz - pomyślała, ale nie było czasu na sprawdzanie, czy zostały w niej jakieś pieniądze. Zresztą już dawno oduczyła się wkładania większych sum do torebki. Wypłatę przechowywała zazwyczaj w szafce w knajpie. Do domu zabierała tyle, ile Matka chciała od niej za utrzymanie i jakieś drobne, które notorycznie podkradały jej bliźniaczki. Zakładając w sieni płaszcz, słyszała, jak Eugenia mamrocze coś przez sen. Nie rozróżniała wypowiedanych słów, nie była ciekawa. Cicho zamknęła za sobą drzwi i weszła w zimną, deszczową, listopadową noc.

- A ty dlaczego nie wchodzisz? - Różycka nagle przypomniała sobie i o gościnności, i o opiekuńczości względem Klary. - Suchej nitki na tobie dziewczyno nie uświadczysz. Chora będziesz bez dwóch zdań. Co ja gadam! Ty już jesteś chora! - wykrzykiwała, lustrując sine usta i szczękające zęby nocnego gościa.

Stanowczym ruchem wciągnęła Klarę do środka, wyjęła jej z ręki walizkę i zabrała przemoczony płaszczyk. Popchnęła dziewczynę w kierunku ciągle tłącej się przyjaznym ciepłem kafłowej kuchni, a sama pospiesznie zniknęła za drzwiami prowadzącymi w głąb domu. Przytulona do gładkich kafli, Klara wyobrażała sobie rozkład pomieszczeń. Nigdy tu nie była i nie znała wnętrza tego domu. Wiedziała, że jest dużo obszerniejszy od jej rodzinnej przybudówki. Zastanawiała się, ile ma pokoi i czy jest tu łazienka, czy trzeba wychodzić na dwór za potrzebą. Wciągnęła w nozdrza zapach tego miejsca. Był inny niż u niej w domu. Nie chodziło o woń pozostałą po

gotowaniu ani o zapach, jaki roztaczali zamieszkujący tu ludzie i zwierzęta. To było coś innego. Coś nieuchwytnego, ale jednocześnie wyczuwalnego od pierwszej chwili. Już wiedziała. Tak pachnie spokój i bezpieczeństwo. Albo tak powinny pachnieć.

- No, przebieraj się raz-dwa. Zrzuć te mokre łachy. No, bez ceregieli. Nikogo tu poza nami nie ma. - Różycka, która pojawiła się jak duch, wcisnęła Klarze do rąk gruby, obszerny szlafrok w szaroburym kolorze długo gotowanych kartoflowych łupin.

Kiedy dziewczyna ścigała przez głowę mokrą koszulę nocną, bufetowa sięgnęła do kredensu i wyjęła stamtąd okazałą butelkę w dwóch trzecich wypełnioną przezroczystym płynem. Odkorkowała i napełniła dwa spore, wysokie kieliszki z grubo rżniętego szkła. Ostry zapach alkoholu natychmiast podrażnił nozdrza Klary.

- Samogonek pierwsza klasa. Nieśmierdzący, mocny i zdrowy. Od pana Miecia - podała jeden kieliszek Klarze. - No dalej, pij. Bez ceregieli. - Można było odnieść wrażenie, że są to ulubione zwroty Różyckiej. - No, na zdrowie. Byle czego bym ci nie dawała.

Jednym haustem wychyliła swoją szklaneczkę i z dezaprobatą przyglądała się próbom czynionym przez Klarę. Dziewczyna kilkakrotnie zbliżyła samogon do ust, by go natychmiast, z widoczną odrazą odsunąć od siebie na wyciągnięcie ręki. W końcu zdesperowana zacisnęła nozdrza palcami i przełknęła ostry płyn. W tej samej sekundzie jej oczy nabiegły łzami, które dwoma wartkimi strumyczkami spłynęły

po zaczerwienionych od emocji i alkoholu policzkach. Zastygła, by po chwili zatrzepotać rękoma. Znowu znieruchomiła, tym razem ze wzniesionymi do góry dłońmi, z palcami rozcapierzonymi tak, jakby próbowała się czegoś uchwycić. Zatrzepotała ponownie i z rozpaczą zasłoniła usta ręką, nie pozwalając wydobyć się zawartości żołądka na zewnątrz. Oniemiała Różycka pokazała jej palcem niewielkie boczne drzwi ukryte we wnęce za kredensem. Klara pobiegła tam natychmiast, odprowadzona stroskanym spojrzeniem bufetowej.

- Dlaczegoś mi nie powiedziała? - zapytała z wyrzutem, kiedy zielonkawa na twarzy Klara mościła się ostrożnie za stołem. Z widoczną irytacją zignorowała wypisane na twarzy dziewczyny nieme pytanie. - Który to miesiąc? Magister jest ojcem?

Klara w milczeniu pokiwała głową. Patrzyła w napięciu na Różycką.

- On wie?

- Nikt nie wie. Tylko pani i Matka.

- Wyrzuciła cię?

- Nie, nie! Ja sama... bo...

- Dobra, dobra. Wszystko wiem. Idziemy spać. Po nocy nic mądrego się nie wymyśli. Za dnia to co innego. Przyjdzie dzień, będzie rada. No, nie becz mi tu. Ja życie znam. Zawsze się jakoś poukłada. Lepiej, gorzej, ale się poukłada. A ty młoda jesteś i silna. Dasz radę. Bez dwóch zdań.

Po tych słowach Klara zaniósła się głośnym płaczem. Nie było wiadomo, czy tak wzruszyła ją dobroć Różyckiej, czy

przeraziło słowo „jakoś” albo „gorzej”. Bufetowa chciała jeszcze coś powiedzieć, ale tylko machnęła ręką i przygarnęła do siebie łkającą dziewczynę.

11.

Pociąg był jak zwykle sporo spóźniony. Wprawdzie był dopiero wczesny wieczór, ale przy tej pogodzie równie dobrze mógłby być już środek nocy. Niebo zawisło nisko brudnoszarymi, złowrogo zwalistymi chmurami. Deszcz zmieszany ze śniegiem zacinał gęsto, skracając widoczność na długość wyciągniętego ramienia dorosłego człowieka. Strużki wody spływały po szybach pociągu, szukając szpar, przez które sprawnie przedostawały się do środka. Ogrzewanie znowu nie działało i zimna wilgoć oplotła mackami siedzenia i nielicznych pasażerów. Nikt nie miał ochoty na żadne pogawędki. Przenikliwość chłodu wykluczała drzemkę i budziła tylko rozdrażnienie i irytację.

Boże drogi, żeby tylko czekał! – Klara gorączkowo modliła się w myślach, zagryzając nerwowo usta. Co rusz naciągała poły kusego płaszczyka na wydatny brzuch. Siódmy miesiąc. Już od kilku tygodni nie mogła zapiąć płaszczka, dlatego zakładała pod niego obszerny sweter z ciemnoszarej wełny, podarowany jej przez Magistra. Przesiąkła wilgocią wełna tworzyła teraz na jej brzuchu coś na kształt ciężkiego pancerza i wydawała tę nieprzyjemną woń, która przyprawiała Klarę o mdłości. – Żeby tylko był!

Klara od stycznia pracowała w kawiarni w miejscowości

oddalonej od miasteczka o jakieś trzydzieści kilometrów. Różycka wyszukała jej tę pracę zaraz po tym, jak któregoś dnia, tuż po nocnej ucieczce dziewczyny z domu, do knajpy wtargnęła Eugenia. Wydarzenie było tak niecodzienne, że nawet bufetowa oniemiała – choć zdarzało jej się to nader rzadko – a wraz z nią zaniemówili wszyscy obecni. Eugenia wparowała do gospody w ubraniu, w którym chodziła w pole. Włosy miała w nieładzie, a gumowe buty były mocno ubłocone. Tego się nikt nie spodziewał po tej drobnej, zamkniętej w sobie i wyniosłej kobiecie. Zatrzymała się na środku sali, wyłowiła spojrzeniem Klarę i bez wstępów zaczęła wyzywać i lżyć córkę od najgorszych. Używała przy tym określeń, z którymi Różycka, zaprawiony przecież świadek pijackich burd, stykała się nieczęsto, i które nawet u niej wywoływały rumieniec zażenowania. Kobieta była w amoku. Wymachiwała rękoma, a z jej wykrzywionych nienawistnie ust co rusz wystrzeliwały w powietrze kropelki śliny, towarzysząc obelgom wyrzucanym z gardła chrapliwym głosem.

Klara schroniła się za Różycką. Sponad ramienia bufetowej spoglądała jak zahipnotyzowana na Matkę. Nie słyszała wykrzykiwanych przez nią słów. Jedyny dźwięk, który do niej docierał, to szum pulsującej w uszach krwi. Dziwne to było uczucie. Dobrze znany strach mieszał się teraz z przekonaniem, że nie może się jej przecież stać już żadna krzywda, bo dokonała właściwych wyborów. Poczwała, że Matka nie ma już nad nią tej absolutnej władzy, którą do tej pory królowała niepodzielnie w myśli, mowie i uczynku córki. To uczucie przyniosło jej coś na kształt ulgi. Wysunęła się zza

pleców Różyckiej i stanęła przed Eugenią.

- Niech się mama uspokoi. Ja do domu nie wrócę. To postanowione.

- Ciebie zły duch opętał, ty mała suko, ale ja cię do porządku doprowadzę i złożonej przysięgi dotrzymam!

- Co też mama plecie? Jakiej znowu przysięgi?

- Twojemu mężowi na rany Chrystusa przysięgam, że do niego popłyniesz. I popłyniesz!

- Mama jemu przysięga?! Na rany Chrystusa?! Jakim prawem?! - Krzyk Klary rozniósł się po sali i wywabił z kuchni pana Miecia oraz pozostałe kelnerki.

Napięcie między matką a córką urosło w oczach i stało się niemal namacalne. Eugenia zamilkła i bezradnie patrzyła na córkę. Klara nigdy dotąd nie podniosła na nią głosu. Wyjątkowość tej sytuacji uświadomiła jej, że poniosła porażkę. Nie będzie Australii ani lepszego życia dla Oli. Nie będzie już Klary, którą miała przecież na własność. Od wewnątrz ścisnął ją chłód. Całe ciało ogarnął dygot, nad którym nie mogła nijak zapanować. Zrobiło jej się słabo. Odwróciła się na pięcie i zrobiła kilka kroków w stronę drzwi. Upadając, nie czuła ani twardości, ani zimna kamiennej posadzki.

Pociąg zatrzymał się. Klara otworzyła ciężkie drzwi i niepewnie zsunęła się po schodkach. Jedyna sprawna latarnia nędznie oświetlała tablicę z nazwą miejscowości, pozostawiając resztę peronu pogrążoną w mroku. Razem z nią wysiadły jeszcze dwie osoby, które szybko zniknęły za zasłoną gęstniejącego śniegu. Był środek marca, a wkoło szalała zimowa zawieja. Klara rozejrzała się bezradnie,

próbując przebić wzrokiem suto okraszone śniegiem ciemności. Nikogo nie zobaczyła. Magistra nie było też pod daszkiem skromnej wiaty. A przecież obiecał, że będzie na nią czekał i odprowadzi do hotelu robotniczego, w którym dzieliła pokój z Mariolką, nową kelnerką, która przyszła na jej miejsce do gospody.

Tak ustalili. Właściwie to ona się uparła, że do orzeczenia rozwodu nie będą mieszkali razem. Dość miała złych języków, a ludzie gadali bez opamiętania. Że latawica i puszczańska, że ledwie mąż ją z oka spuścił, zaraz poszła w tango i miało ją pół miasteczka. Że dziecko nie wiadomo czyje, a pójdzie na konto Erdzika. Biedny chłopina, oj biedny, cudzego bękarta będzie chował. Że Magistrowi teraz w głowie zawróciła jakimś cudem, bo niemożliwością jest, żeby taka prosta i głupia dziewczucha miała takiemu mężczyźnie coś do zaoferowania. Ani chybi urok jakiś na niego rzuciła. Nie inaczej, bo wkoło tyle o niebo lepszych za nim oczy wypatruje, a on jak zahipnotyzowany za tym niewydarzonym chuchrem biega. Zadała mu czegoś, to pewne. Diabelskie nasienie. Niewiele było głosów w jej obronie. Mało kto chciał słuchać Różyckiej czy Starego Łempickiego, że dziewczyna porządna jest, tylko w życiu ma ciężko i niesprawiedliwie od maleńkości. Bo jak to się da wytłumaczyć, że rodzona matka się od niej odwróciła i z domu wygnała? Ano nie da się.

Ale teraz Klara nie była już taka pewna, że podjęła dobrą decyzję. Sprawa w sądzie ślimaczyła się, bo sędzina uparła się, że ściągnie Erdzika z Australii. A tamten przepadł jak kamień w wodę. Listy wracały, a razem z nimi odsyłane przez

Klarę pieniądze, których nie zdołała przejąć Matka. Było jej coraz ciężej. Rosnący brzuch bardzo przeszkadzał w pracy, nogi puchły. Szybko się męczyła, a odpocząć nie było gdzie. W pracy siedzieć za długo nie wypadało, zresztą nie było też jak. Klientów do obsłużenia sporo, a nieprzyjemni i niecierpliwi przy tym, aż przykro. Nie to, co u Różyckiej. Tam wszyscy ją znali i lubili. Klarunia do niej wołali, a do bufetowej chwalili bardzo i napiwków nie żalowali. W nowej pracy nawet szefowa krzywo na nią patrzyła. Najchętniej pozbyłaby się jej raz-dwa, ale że Klara w ciąży, to i nie wypada, i nie wolno.

W hotelu też bywało różnie. Nigdy nie wiedziała, co też zastanie po powrocie z pracy. Mariolka była bardzo rozrywkową dziewczyną. Często wracała w środku nocy albo nad ranem, wyrywając Klarę ze snu. Często przyprowadzała ze sobą zawiane towarzystwo. Mężczyźni się zmieniali, ale łączyła ich jedna wspólna cecha. Kompletnie nie przeszkadzał im świadek ich mocno pijanych, erotycznych podbojów, w postaci ciężarnej dziewczyny. W takie noce Klarę ogarniało zwątpienie. Nie wierzyła już w odmianę swojego losu. Więcej, wątpiła w słuszność obranej drogi i podjętych decyzji. Słabła jej wiara w zapewnienia Magistra o wspólnym, lepszym życiu, o prawdziwym domu i pełnej rodzinie. Wpadała wtedy w czarną, bezdenną dziurę, która wciągała ją głębiej i głębiej, owijała ciasnym kokonem lęku i ssała od wewnątrz, pochłaniając resztki siły, radości i energii. Tak powstała pustkę przeraźliwie trudno było czymś wypełnić. Podejmowała ten mozolny trud każdego ranka, bo ból, który niosła ze sobą ta

próżnia, był nie do zniesienia. Intuicyjnie wiedziała, że jeśli się podda i pozwoli zwątpieniu pożreć ostatni kęs swojej duszy, bezpowrotnie przegra walkę o życie własne i dziecka. Pogrąży się w odmętach tej ciemności na zawsze i nie znajdzie już sił, żeby wydostać się na powierzchnię. Najbardziej przerażało ją to, że w takich chwilach tęskniła za Matką i za życiem, które tylko co odrzuciła. To nowe okazało się tak strasznie trudne i nieprzyjazne. Miała uczucie, że rozłazi się jej w dłoniach jak pocięty przez mole wełniany szal. Płakała wtedy bezgłośnie, pozwalając obfitym łzom bez przeszkód płynąć po policzkach i wsiąkać w poduszkę.

- Ty!? Piękna!? A co tak beczysz? - Mariolka bezceremonialnie wypchnęła swojego gościa za drzwi, uprzednio opróżniwszy dyskretnie jego portfel. Przysiadła na łóżku Klary i bez ceregieli zajrzała w jej mokrą twarz. - Przecież cicho był? Obudził cię? Trochę sapał, ale bez przesady. Chłop posapać musi, w końcu to fizyczna robota jest. Sama przecież wiesz - klepnęła lekko wystający brzuch Klary. To przelało czarę goryczy. Dziewczyna załkała głośno i ukryła twarz w poduszkę.

- Ej, co jest?! Zabolało? Przecież ja lekko... - zaniepokoiła się Mariolka. - Nic się przecież nie stało... Chyba? - dodała niepewnie. - Kiedy rodzisz? Masz już imię? Pewnie będzie chłopak, bo córka matce urodę kradnie. Ja się na tym znam.

Zmiana tematu pomogła. Klara trochę się uspokoila, a napomknięcie o dziecku wywołało na jej twarzy leciutki uśmiech.

- Bardzo bym chciała chłopca. Nawet nie wiesz, jak

bardzo. Myślałam, żeby mu dać Jan. Jasiek. Po dziadku. Moim ojcu znaczy się... – dodała pośpiesznie, jakby bojąc się, że Mariolka może skojarzyć imię z kimś zupełnie innym. – Ale Magister... to znaczy Stach... – poprawiła się i mocno przy tych słowach zarumieniła w ciemnościach – woli inaczej. Nowocześniej. Z duchem czasu.

– Czyli jak? Bo chyba nie Norbert? – Mariolka zaśmiała się złośliwie, ale szybko się zreflektowała i zasypała Klarę potokiem słów. – Jest tyle ładnych imion męskich. Ja się na tym znam, bo nie spałam z dwoma facetami o tym samym imieniu. Nie zdarzyło mi się. A może? Sama już nie wiem... Kiedyś miałam takiego o imieniu Wiktor. Milutki był. Traktorzysta. Hi, hi, hi... Kto daje traktorzyście na imię Wiktor? O! I jeszcze Waldemar mi się podoba. Bardzo przystojny był ten mój Waldek, bardzo. I bardzo dobry w łóżku był... Za niego mogłabym za męża wyjść. Bez dwóch zdań, ale gdzieś przepadł. Taki niebieski ptak to był. Słuchaj, a co powiesz na Krystiana? To jest imię dla prawdziwego mężczyzny! Do nas, do knajpy, teraz przychodzi taki Krystian Rąg. Starszy już trochę, ale widać, że fest chłop i ciągle w formie! I gapi się na mnie tak natarczywie, że aż mi się gorąco robi!

– Co ty mówisz?! Krystian Rąg? Dobrze ci radzę Mariolka, trzymaj się od niego z daleka! To bardzo zły i niebezpieczny człowiek jest. – Przerażona Klara aż usiadła na łóżku. – Poza tym jest żonaty.

Mariolka popatrzyła na nią z niekłamany rozbawieniem. Na końcu języka miała pytanie: a ty? Nie jesteś przypadkiem mężatką? – ale ugryzła się w język. Położyła się obok Klary

i przygarnęła ją do siebie.

- Nie musi być Krystian. Sama zdecyduj, to twoje dziecko. A ten twój Magister to choć dobry dla ciebie jest? I chce się żenić?

Klara w milczeniu pokiwała głową, choć teraz wcale nie była już taka pewna własnej przyszłości u boku Magistra. W odpowiedzi Mariolka pogładziła ją po włosach i przełamując sztywność dziewczyny, ciasno objęła ją ramionami. Nikt Klary nigdy tak nie tulił. Może dawno temu Helga. Tak, to na pewno była Helga - myślała Klara, wsłuchując się w bicie serca Mariolki. Zasnęły obie.

A teraz stała w tej marcowej zawiei bezradna i przerażona. I całkiem sama. Czy już nigdy się to nie zmieni? Do końca swojego nędznego życia będzie tak brnęła sama? Gdzie sens tego wszystkiego? Po co to wszystko? - zaczęła głośno płakać. - Ja już nie mam siły! Boże! Boże! Ja już nie chcę, już tak dłużej nie mogę...!

W jej rozpacz wdarł się gwizd pociągu. Uświadomiła sobie, że za chwilę wraz z jego odjazdem zniknie jedyne dostępne na tym pustkowiu źródło światła. Latarnia oświetlająca tablicę zaczęła niebezpiecznie mrugać i przygasać. Klara wpadła w panikę. Zaczęła biec wzdłuż nabierającego prędkości pociągu. Nogi grzęzły w mokrym śniegu. Poły płaszcza rozwiały wiatr, tworząc z nich ciężkie skrzydła stawiające dodatkowy opór. Ale strach był silniejszy. Byle tylko zdążyć dobiec do drogi! - gorączkowo modliła się w myślach. - Tam jeszcze będą ludzie, a przy parku są latarnie.

Do głównej drogi prowadzącej do miasteczka miała niecały kilometr. W innych okolicznościach pokonanie takiej odległości nie stanowiłoby żadnego problemu. Przeciwnie. Bardzo lubiła długie, samotne spacerowanie, podczas których wymyślała swoją przyszłość. Czas, kiedy wszystko będzie już takie, jakie powinno być. A powinno być zawsze ciepło i bezpiecznie. I koniecznie zrozumiale pod każdym względem, bo do łamania sobie głowy to ona nie jest stworzona. Zatem musi być ten ktoś, kto będzie sobie łamał głowę za nich dwoje. Mądry musi być, porządny i stateczny. Najlepiej sporo starszy, nie żaden gówniarz, których pełno dookoła. I dobrze by było, żeby do Ojca trochę podobny był. Znaczący przystojny jak Ojciec, a nie taki wiecznie nieobecny, niebieski ptak.

Kiedy w jej świecie pojawił się Magister, była pewna, że oto ma do czynienia z właściwym mężczyzną. Z jednym wyjątkiem. Magister nie był niestety przystojny, ale Klara przymknęła na to oko, wiedząc już, że w życiu wszystkiego mieć nigdy nie będzie. Poza tym od urody była przecież ona. On ma i tak dużo do roboty. On musi ją uratować. Od biedy i zimna, od wiecznie niezadowolonej z niej Matki, od nachalnego Krystiana Rąga, niekochanego Erdzika, zbyt ciężkiej pracy i losu Mariolki. Od wszystkiego, co stanie się jej udziałem, jeśli jego w jej życiu zabraknie. A ona go pokocha i wszystko będzie dobrze. Już na zawsze.

Dlatego nieobecność Magistra na stacji tak bardzo ją przeraziła. Nie chodziło tylko o to, że w tych ciemnościach całkiem sama musi dotrzeć do hotelu. A co jeśli on się rozmyślił i nie będzie z nią układał swojej przyszłości? Co z nią

się wtedy stanie? Co z dzieckiem, które według prawa jest Erdzikowe, a którego Erdzik na pewno nie uzna? A może mu się coś stało i zwyczajnie nie mógł po nią wyjść? Trzeba to sprawdzić.

Myśli kotłowały się w jej głowie, kiedy dopadła upragnionej drogi. Krew pulsowała w skroniach, płuca ledwo mieściły się w klatce piersiowej, żołądek podchodził do gardła. Było jej niedobrze i miała uczucie, że za chwilę zemdleje. Bieganie w zaawansowanej ciąży po mokrym i ciężkim śniegu było potwornie wyczerpujące, nawet dla tak silnej młodej dziewczyny jak ona. Zatrzymała się niedaleko parku i oparła o jedną z czterech czynnych latarni. Płytkimi, rwanymi haustami zagarniała powietrze. Nie pomogło. Zwymiotowała. Raz, drugi. Torsje przechodzące w konwulsje szarpały jej ciałem. Kiedy się trochę uspokoiły, schyliła się i nagarnęła garść topniejącego śniegu. Brunatną breję przytknęła do ust.

- A ty, co? Bękartą rodzisz na ulicy? - Jadem zawartym w głosie Matki można było posmarować chleb.

Klara podniosła się i spojrzała na kobietę wychodzącą z parku. Eugenia pchała z wysiłkiem rower obładowany bańkami z mlekiem. Wracała na skróty, przez park, z Rągowej stodoły. Była cała spocona i czerwona na twarzy. Rozpoznała córkę i zatrzymała się.

- Mama tu... Może ja mamie pomogę? - drżącym głosem zapytała Klara.

- Obejdzcie się, onuco. Od takich jak ty ja nie potrzebuję pomocy. Stałam, żeby zobaczyć, czy dobrze widzę, że Bóg cię sprawiedliwie karze.

- Ale co też mama?! Nie trzeba tak mówić! Dziecku może zaszkodzić...

- Dziecku?! Jakiemu dziecku?! Obyś potwory porodziła za moją i Oleńki krzywdę! - Eugenia oparła rower o drzewo i zaczęła iść w stronę córki.

Klara patrzyła na Matkę z przerażeniem. Była pewna, że kobieta oszalała. Nagle zobaczyła w jej ręku nóż, którego używały do rozdrabniania buraków cukrowych na paszę dla krasuli. Zimową porą Eugenia nosiła go stale ze sobą, Klara zostawiała narzędzie w stodole, kiedy była jej kolej uporządku. Patrząc na zbliżającą się Matkę, poczuła dławiący strach. I rozpacz. Nie miała już siły uciekać. Brzuch ścisnęły bolesne skurcze.

Boże, tylko nie to! Przecież za wcześnie! I nie tutaj! Nie teraz! - Zrobiło się jej ciemno przed oczami i z przeszywającego bólu zgięła się w pół.

- Pani szybko wsiada, bo ta stara wariatka zrobi pani jakąś krzywdę! - Tuż przy kulającej się dziewczynie zahamowało z piskiem opon auto. Kierowca zdecydowanym pchnięciem otworzył drzwi po stronie pasażera na oścież.

Nie zastanawiając się, Klara dopadła samochodu i z niemałym trudem wgramoliła się do środka. Mężczyzna ruszył natychmiast, zostawiając w tyle zaskoczoną Eugenię. Długo spoglądał w lusterko wsteczne, zanim się odezwał.

- No co, Klarunia? Nie poznajesz mnie?

Dopiero teraz dziewczyna uświadomiła sobie, że dobrze zna ten głos. Uchyliła zaciśnięte ze strachu i bólu powieki. Koło niej siedział Jasiek. Jej Jasiek. Ale nie, myliła się, nie był

to już jej Jasiek. To była inna wersja Jaśka. Starsza i jakby obca. Przystojna i pewna siebie. Wersja prowadząca z gracją auto, które miał nie wiadomo skąd. Po dawnym zbuntowanym, chmurnym i mrukliwym chłopaku nie było śladu.

- Co to było, Klarunia? To była twoja matka? Ta wariatka? Co się dzieje? Będiesz rodzić? Wyszłaś za męża? - młody mężczyzna zasypał ją gradem pytań. - Nie czekałaś na mnie? - dorzucił niby żartobliwie.

Klara nie była w stanie wydusić z siebie słowa. W milczeniu połykała łzy.

- Boli cię? Na pewno cię boli. Zawiozę cię do szpitala. Tak?

W odpowiedzi dziewczyna pokręciła przecząco głową i ukryła twarz w dłoniach.

- Nie bój się i nie płacz. To ja jestem przecież! Jasiek! Nic złego już ci się nie przydarzy. Obiecuję! Nie chcesz do szpitala, to nie. Zawiozę cię tam, gdzie sobie życzysz. Nawet do twojego męża, choć nie cierpię faceta. Ale tego mi nie zrobisz, prawda? - roześmiał się perliście jak z dobrego żartu. - To gdzie pani mego serca sobie życzy?

Te lekkie jak puch, skrzące się dowcipem słowa zderzyły się z napięciem i żalem latami gromadzonymi przez Klarę. Nie hamowała się już dłużej. Zaniosała się głośnym szlochem wydartym własnym tkankom. Trwało to długie chwile, ale Jasiek, nieco zbity z tropu, nie poganiał jej. W końcu, uspokoiwszy się jako tako, powiedziała twardo:

- Zawieź mnie do Magistra. To znaczy zastępcy dyrektora PGR-u - wyprostowała się dumnie na siedzeniu. - To jego

dziecko. Wychodzę za niego za mąż. Już wkrótce. To te domki koło PGR-u. Drogę znasz.

Deficyt

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-520-7

© Klaudia Zalewska i Wydawnictwo Novae Res 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Agata Sawicka-Korgol

KOREKTA: Elżbieta Zasempa

OKŁADKA: Wiola Pierzgalska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

